

Hans Hellmut Kirst

KAMRACI

Tom 1

Dwudziestego kwietnia 1961 roku — szesnaście lat po ostatniej (na razie) wojnie — w pewnym mieście zachodnioniemieckim (nazwijmy je Rheine-Bergen) znaleziono trupa mężczyzny. W toku śledztwa wstępnego stwierdzono, że śmierć nastąpiła tego samego dnia od strzału w serce.

Z dalszych badań wynikało, że człowiek ów był już raz zarejestrowany jako zmarły, i to przed szesnastu laty, w roku 1945, w ostatnich dniach ostatniej (na razie) wojny.

Pewien człowiek, niejaki K. R., zebrał wszystkie szczegóły dotyczące tej sprawy, a tym samym materiał do niniejszej książki. To, co się stało, nazwijmy morderstwem popełnionym przez solidarnych kamratów.

Poniżej opowiadane będą właśnie dzieje tego człowieka, który dwukrotnie zmarł urzędowo, oraz dzieje może jeszcze dziwniejszych skutków, jakie ta podwójna śmierć wywołała.

1. Co umarło, to winno być pogrzebane

Kiedy Karłowi Schulzowi wydało się, że zobaczył człowieka, do którego śmierci się przyczynił, znowu zaczął padać deszcz.

W tejże chwili zabłysło oślepiająco jasno światło neonu jak wściekle syczący płomień. Dookoła Karła Schulza był jeden rozedrgany blask, od którego aż oczy bolały. Mimo to Schulz spoglądał badawczo na twarz, która wydawała mu się znajoma.

Twarz ta była szara jak stary pergamin. Wąska, podłużna, jakby zżarta przez dręczące myśli lub głód, wyglądała za szybą autobusu niemal jak widmo. Oczy sprawiały wrażenie jam, w których czai się rozkład lub tajemnica, albo dławiąca, głucha pustka i nieskończona ciemność.

Ponownie mignęło jaskrawozielone światło neonu, który właśnie Schulz naprawiał, i omiotło chwiejną smugą obydwie słupki przy wjeździe do stacji benzynowej, rozświetlając jednocześnie ostrym błyskiem wewnątrz mizernego autobusu, w którym siedział człowiek o twarzy nieboszczyka.

Twarz za szybą autobusu, znajdującą się w odległości kilku metrów od Schulza, tę twarz, która zdawała się być twarzą nieboszczyka, przesłoniły teraz strumienie deszczu i upiornie ją zniekształciły. Wreszcie zatarła ją całkowicie osiadająca na szybach autobusu warstwa wody, brudu i pary wychodzącej przy oddechu z ust ludzi siedzących w wozie.

Schulz zamarł na swej drabinie. Nie poruszył się nawet wówczas, kiedy tuż obok niego wybuchł płomień i oświetlił wszystko dookoła upiornym, bezlitosnym blaskiem: wyce-

mentowaną przed słupkami u wjazdu nawierzchnię, jego dwóch pomocników, stojących z obojętnymi minami, i przypominający kształtem skrzynię, szaroczarny, ociekający błotem i wodą autobus.

Potem zapadła na sekundę dręcząca ciemność.

— Krótkie spięcie — powiedział rzeczowo pracownik stacji benzynowej, nie ruszając się z miejsca. A po chwili zapytał, nie bez pewnej nadziei w głosie:

— Czyżby się coś stało, panie Schulz?

Schulz nie odpowiedział. Zaczął się powoli poruszać. Złaząc z drabiny, nie spuszczał oka z autobusu.

Szofer autobusu, Bennicken junior, wyszedł z toalety i zbliżał się wolnym, leniwym krokiem. — Czego się tak gapisz na mój autobus? — zapytał. — Chyba nie oczekujesz ode mnie, że zawsze będę podjeżdżał tu do ciebie jak do apelu?

Schulz potrząsnął z niechęcią głową i wziął od swojego pomocnika kartkę, na której wypisana była ilość litrów i cena. Z kartką w ręku wszedł do biura, nie spuszczając ani na chwilę oka z autobusu. Bennicken junior kroczył za nim, rozstawiając szeroko nogi, jak kowboj, który godzinami siedział w siodle. Jeśli idzie o sposób bycia, młodzieniec ten wzorował się na filmach.

— Pozdrów ode mnie swego ojca — rzekł Schulz. — Muszę z nim pomówić. Jeśli to możliwe, niech jeszcze dziś do mnie zadzwoni. Sprawa jest pilna.

— Nie zamierzasz chyba poskarżyć się ojcu? — Młody Bennicken był zaniepokojony jak dziewczyna, która się lęka zbyt ostrego ataku. — Tego chyba nie zrobisz! Stary posiekałby mnie na drobne kawałki.

— Mógłbyś się starać mówić o ojcu z większym respektem — rzekł Karl Schulz z wyrzutem.

— Łatwo ci gadać, ostatecznie to nie twój ojciec. Wiem tylko tyle: jeżeli będziesz go namawiał, żeby mi dał szkołę, posieka mnie na drobne kawałki. Przecież znam swojego

starego! Zgrabnie podszeptnięte przez kolegę słówko znaczy u niego więcej niż Biblia.

— Spokojna głowa — rzekł Schulz, spoglądając przez otwarte okno na autobus.

— No to doskonale! — zawołał Bennicken junior z ulgą. Wszystko można by jeszcze w życiu znieść, tylko nie za bardzo „tkliwą” opiekę ojcowską. — W takim razie wszystko w porządku. Wiedziałem zresztą, że można być ciebie pewnym. Nie na próżno mówią, że z tobą można konie kraść, a w razie potrzeby nawet i armaty.

— Dobrze, już dobrze! — bronił się skromnie Schulz. Pochwały, zwłaszcza zasłużone, nie uderzały mu do głowy. — Ale mógłbyś, gdybyś chciał, wyświadczyć mi pewną przysługę.

— Każdą — zapewnił go z miejsca Bennicken junior.

— W twoim autobusie siedzi z tyłu jakiś mężczyzna. Znasz go może przypadkiem? Siedzi przodem do kierunku jazdy, przy ostatnim oknie.

— Co mnie obchodzą moi pasażerowie płci męskiej. Byle tylko płacili i siedzieli cicho.

— A więc nie znasz tego człowieka? Nigdy go dotąd nie widziałeś?

— Chodzi o tę bladą twarz w tyle wozu? Chyba nie.

— Gdzie wsiadł?

— Nie mam pojęcia. Zapewne w Babenburgu. Zapłacił, i to mi wystarcza.

— Dokąd jedzie?

— Do Rheine-Bergen. A gdzież by indziej? Następnym i ostatnim przystankiem jest Rheine-Bergen. Targ bydłocy. Tam ich wszystkich wyładowują. Ale jeżeli ten facet bardzo cię interesuje, mogę skontrolować mu bilet.

— Nie! — zawołał Schulz zdecydowanie, jak gdyby musiał się bronić przed grzechem śmiertelnym. — Tylko bez niepotrzebnego szumu i hałasu! Nic, co by mogło wzbudzić podejrzenia!

— Jeżeli cię ten facet tak bardzo interesuje, mogę go wymacać, oczywiście delikatnie.

— Wcale mnie nie interesuje! — Schulz próbował zachować całkowitą obojętność. — Gdybyś jednak, mój mały,

mógł przypadkiem, zupełnie przypadkiem, wyniuchać, skąd ten człowiek jedzie, dokąd zdąży, jak się nazywa, co ze sobą wiezie, czy jedzie sam, czy z kimś, to mógłbyś mi to powiedzieć.

— Zrobione! — Młody Bennicken odegrał w duchu scenę z nowego filmu kowbojskiego: był gotów bronić prawa rewolwerem, na razie jednak miał zaryzykować tylko czujne spojrzenie. — Wezmę go sobie pod lupę. Nie bój się, żaden brytan nie zachowa się łagodniej ode mnie.

Czy coś jest nie w porządku? — zapytała brata Ewa Schulz. — Wracasz dziś do domu o wiele wcześniej niż zazwyczaj. — Przeszkadza ci to? — zapytał Schulz, udając beztroskę.

Ewa zaprzeczyła gwałtownie i zapewniła, że jest wprost przeciwnie. Odłożyła na bok jego teczkę i zaczęła mu pomagać przy zdejmowaniu płaszcza. Robiła to nie bez czułości. „Duży brat” opiekował się nią przecież, bronił jej — była mu nie tylko wdzięczna, kochała go.

Wbiegła przed bratem do łazienki. Szybko odsunęła na bok bieliznę damską, która wisiała na sznurze. Wiedziała, że gdy wchodził do ich wspólnego mieszkania, odczuwał palącą potrzebę umycia rąk. Czynił to nie tylko ze względów higienicznych, lecz także przez wzgląd na sublokatorkę.

Przy tego rodzaju przygotowaniach do odpoczynku na łonie rodziny Karl Schulz zwykł był pogwizdywać albo nucić pod nosem jakąś ludową piosenkę. Postawny Schulz był w gruncie rzeczy człowiekiem skromnym i prostym. Na ogół uważał życie za rzecz mało skomplikowaną, a ludzi za dobrych z natury. Zwłaszcza tych, którzy mieli poczucie koleżeństwa.

Tego wieczoru jednak przytulna atmosfera domowa zdawała się nie usposabiać Karla Schulza do wesołości i pogo-

dy. Podczas gruntownego mycia rąk milczał jak automat muzyczny, do którego nikt nie wrzucił ani feniga.

— Czy coś podobnego jest możliwe? — zapytywał samego siebie. — Przecież ten, kto umarł, powinien nie żyć. Co by to było, gdyby było inaczej?

— Co chciałeś przez to powiedzieć? — zapytała Ewa.

— Tak sobie rozmyślam — rzekł Schulz wymijająco. — Ale to nic ważnego.

Siostra, trzymając w ręku ręcznik, przyglądała mu się zatroskana. Była prawie o dwadzieścia lat młodsza od brata; przyszła na świat jak gdyby przypadkiem. Rodzice jej zginęli w ostatnich dniach wojny podczas bombardowania. W loterii totalnego wytrzebiecia wyciągnęli jedną z licznych wygranych.

— Jesteś dziś inny niż zwykle — powiedziała Ewa ostrożnie. — Stało się coś?

— Co się miało stać? — Karl Schulz usiłował zachowywać się z taką pewnością siebie, jakby był w betonowym schronie. — Prowadzę uregulowany tryb życia, skąd więc miałyby się brać niespodzianki? A w duchy nie wierzę!

Karl Schulz lubił uchodzić za człowieka z poczuciem humoru. Przykładał wagę do tego, aby mieć opinię solidnego optymisty. Był szczęśliwy, kiedy go ktoś uważał za dobrego, wesołego kolegę. Był dzięki temu szczęśliwy właściwie zawsze, odkąd tylko zaczął myśleć, z wyjątkiem jednego może dnia w życiu. I akurat ten dzień próbuje teraz wtargnąć gwałtownie do jego pamięci.

— Powiedz mi, Ewo — zapytał — czy przez ostatnie pięć naście lat mocno się zmieniłem? Chodzi mi o wygląd ze wewnątrz.

— O ile potrafię sięgnąć pamięcią, w ogóle nie — zapewniła go Ewa z miejsca. — Dla mnie wyglądasz zawsze tak samo jak dawniej.

— Uważasz więc, że twarz człowieka w ciągu lat zbyttno się nie zmienia? Kiedy na przykład spotykam starego kumpla, poznaje mnie od razu, tak jak ja jego?

— Bardzo możliwe — przytaknęła Ewa.

— Oczywiście można się również mylić. — Schulz podniósł wskazujący palec prawej ręki jak profesor, który ma

obwieścić coś istotnego. — Ostatecznie szesnaście lat to diabelnie długo.

— Na pewno, mój drogi. — Ewa wyczuła instynktownie, że bratu bardzo zależy na tym zapewnieniu.

— Są ludzie do siebie podobni, można ich ze sobą pomylić i wziąć jednego za drugiego, prawda? Są nawet określone typy, egzystujące, żeby tak rzec, seryjnie. Słyszałaś coś o tym?

— Oczywiście! — przytaknęła Ewa ochoczo. — Słyszałam i widziałam! Zwłaszcza wśród kobiet bywają takie, które podobne są do siebie jak kopie. Nie er zęba ich daleko szukać.

— Oj, dziewczyno, dziewczyno! — Karl Schulz powiedział to wesoło, gdyż na jakiś czas siostra odwróciła jego uwagę od dręczącego pytania. — Czy to ma być aluzja?

Zaprzeczyła z podejrzanym pośpiechem. Ale Schulz wiedział: to była aluzja. Ewa niedwuznacznie miała na myśli Marlenę Sonnenberg, która mieszkała tu jako sublokator-ka. Widziała niewątpliwie w tej strojnej damie niebezpieczeństwo dla harmonijnego współżycia rodzeństwa. Dla Karla natomiast Marlena Sonnenberg była miłym wypełnieniem wolnego czasu i wolnych wieczorów, stanowiła coś w rodzaju ognia dla starego kominka.

Siostra nie powinna była interesować się tym. Miała dopiero lat osiemnaście, była na te sprawy za młoda, za dziecinna. Winna była odnosić się do dużego brata z respektem i tak też się odnosiła. Karl Schulz był tego absolutnie pewny. Jeżeli o niego chodzi, zastępował siostrze rodzinę, matkę i ojca. Przede wszystkim ojca.

— Jesteś przecież moją kochaną dziewczuszką — powie dział tkliwie. — I zawsze nią będziesz.

— Bardzo bym chciała!

— Tego nikt zmienić nie jest w stanie! — Schulz pogłaskał swoją ukochaną siostrę po ramieniu. — Nie zaprzataj więc sobie głowy niedobrymi myślami, to podobno w twoim wieku niezdrowo.

— Pamiętaj i ty o swoim zdrowiu!

Schulz przyglądał się jej badawczo i ostrożnie, jak wiertacz, który ma przed sobą źródło o nieznaney zawartości.

O ile mógł osądzić, nie stanowiła stuprocentowego wcielenia kobiecości, ale była ubrana bez zarzutu i lśniła od czystości. Sprawiała wrażenie śniegu, który spadł przed chwilą. Była jak śnieg, Schulz był pewien, że może to gwarantować. I był święcie przekonany, że nie zrobi nic bez jego zezwolenia i zgody.

Czego pan chce? — zapytała służąca w domu Giseniusa. — Zresztą nie ma sensu, żeby pan czegoś chciał, nie przyjmujemy żadnych gości. — Nie jestem gościem — powiedział stojący w drzwiach Karl Schulz. — Przychodzę w wyjątkowej sprawie.

Służąca Giseniusów była osobą starszą, niepokązną, wyglądała na zagłodzoną. Skóra jej przypominała marynowane ogórki. Oczy miała jak szpareczki, które w dodatku, żeby lepiej przyjrzeć się odwiedzającym, próbowała jeszcze mrużyć. Czaszka przypominała kształtem gruszkę. Rzadkie, siwiejące włosy sterczały jej na wszystkie strony; miało się wrażenie, że przed chwilą włożyła na głowę perukę z końskiego włosia.

— Jestem Schulz. Karl Schulz. Kierownik stacji benzynowej w północnej dzielnicy miasta, przy drodze prowadzącej do Babenburga. Pan Gisenius zna mnie.

— Kogo on nie zna — pozwoliła sobie stwierdzić z rezygnacją służąca. Oddech miała świszczący, z trudem łąpała powietrze. Żaden pilot lecący do stratosfery nie mógł oddychać z większym wysiłkiem. — Ten człowiek zna Boga i cały świat, tak przynajmniej mówi.

Kiedy dziwaczna służąca się oddaliła, Schulz zaczął się rozglądać po mieszkaniu. Był w tym domu po raz pierwszy. Gisenius bowiem wolał spotykać się ze znajomymi, przyjaciółmi i kolegami gdzie indziej, przeważnie w hotelu „Unter Drei Kronen”. Dlaczego tak było, Schulz zaczynał się teraz po trochu domyślać. Atmosfera tego mieszkania była przytłaczająca, mimo że urządzone było ze smakiem,

o czym świadczył choćby ten hol. Ale lak i politura nie potrafiły stworzyć przytulnego nastroju. Było wytwornie, że aż rzygać się chciało.

Zjawił się Klaus Gisenius, syn szanownego kolegi i przyjaciela Konrada Giseniusa. Podszedł z prowokacyjną miną do Schulza, stanął przed nim i powiedział z ironicznym uśmiechem:

— Popatrz, popatrz, pan kamrat osobiście! Bohater z pola bitwy, przyjaciel bojowników o wolność i pokój dla połowy świata. Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

— Chciałem mówić z pańskim ojcem. — Schulz, zamknięty w sobie, wyglądał teraz jak kasa pancerna.

Klaus Gisenius należał do tego rodzaju młodzieńców, którzy dla solidnego Karla Schulza byli cierniem w oku. Wyraźnie brak im było powagi, nie okazywali żadnego respektu, kiedy stykali się ze starszą generacją, to znaczy z generacją wojenną. Nie wierzyli ani w oczyszczającą funkcję wojen, ani w posłannictwo przeciw Wschodowi, ani w wiekuistą trwałość świata chrześcijańskiego, ani w świętą misję Zachodu.

— Ojca mego nie ma w domu — oświadczył Klaus Gisenius. — I właściwie nie wiem, co mam jeszcze dodać: nie stety czy na szczęście.

Karl Schulz musiał mocno się trzymać w ryzach, żeby nie stracić spokoju. Zachowanie tego młodzieńca było jedną wielką, zupełnie świadomą prowokacją. Schulz był zirytowany. — Czy może mi pan powiedzieć, jak mógłbym dotrzeć do pańskiego ojca?

— Jak pan do niego dotrze, to chyba pańska sprawa, panie Schulz. Czyżby potrzebna była panu rada żalosego dyletanta, który nie służył w wojsku?

— Miałem na myśli: czy pan przypadkiem nie wie, gdzie się w tej chwili znajduje pański ojciec?

— Przykro mi, ale nie wiem, panie Schulz.

— Nikt tego w domu nie wie?

— Może moja matka. Czy ma pan ochotę sobie z nią porozmawiać?

— Proszę o to! — Karl Schulz powiedział to z rezerwą, jak gdyby spokojny wędrowiec spotkał na bocznej wiejskiej drodze kogoś, kto mógł być rzezimieszkiem.

— Ale matka nie rozmawia ze mną od pewnego czasu
— rzekł Klaus Gisenius uprzejmie. — Pozwalam sobie bo wiem na luksus niepodzielania jej poglądów na osobę mego ojca.

— To godne ubolewania — rzekł Schulz.

— Szanowny zwolenniku pokoju i towarzyszu broni
— powiedział Klaus Gisenius — co pan właściwie wie o moim ojcu, za kogo go pan uważa? A może nie ma pan w tej sprawie w ogóle żadnego zdania?

— Pytanie nie na miejscu — stwierdził Schulz z niezadowolaniem. — Mam wrażenie, że znam pańskiego ojca wcale nie najgorzej. W każdym razie na tyle dobrze, żeby go szanować. Zawsze był pierwszorzędnym kolegą.

— Aha! — zawołał Klaus Gisenius, na którym te słowa nie zrobiły wrażenia. — Rozumiem. Siadywał pan z nim razem w kuchni, w tej samej latrynie, że tak powiem, ramię przy ramieniu, sypiał pan z nim razem na przegniłej słomie, uziemiliście, być może wspólnie, niejednego wroga i być może różne dziewczęta kładliście razem na wznak. I to panu wystarcza, aby twierdzić, że zna pan mego ojca? Drogi kombatancie, być może zna pan jego tyłek! Niech mi pan jednak wierzy: ten człowiek ma poza tym jeszcze inne części ciała. Przez to wcale nie chcę powiedzieć, że są one szlachetniejsze.

Karl Schulz zbaraniał. Na próżno usiłował zdobyć się na swój wypróbowany, kojący humor. Patrzył na uśmiechniętą twarz młodzieńca z wyraźną pogardą. Mimo to wykrztusił z siebie, ze względu na swego poważnego przyjaciela Gi-seniusa:

— To chyba żart, prawda?

— Może — rzekł Klaus Gisenius tonem zaskakująco ustępliwym. — Nie chciałem być nieuprzejmy. Może być pan nawet pewien, że nie śmiałbym prowokować człowieka, która ma tak niezwykle sympatyczną siostrę.

Schulz na próżno szukał właściwych słów, aby w należyty sposób odpowiedzieć na tę niesłychanie bezczelną uwagę. Miał wrażenie, że jest ptakiem, który usiadł na drucie telegraficznym. Sapał rozpaczliwie i zarazem pogardliwie. Pogodny i prosty z usposobienia, nienawidził podstępnych zasadzek.

Tymczasem Klaus Gisenius podszedł do rozsuwanych drzwi, prowadzących do tylnych pokoi, otworzył je szeroko i zawołał:

— Ktoś z wizytą do mamy!

Niech pan podejdzie bliżej, panie Schulz, jeszcze bliżej! — zawołała pani Gisenius. — Ja nie gryzę.

Czasami miałabym co prawda na to ochotę, ale już niestety nie mogę. Wszędzie, gdziekolwiek Schulz spojrzął, wzrok jego natrafiał na czerwony aksamit. Lampa stojąca, osłonięta czerwonym abażurem, rzucała swe zmęczone, sennie światło na krwawoczerwoną aksamitną otomanę, czerwony aksamit zdobił stół i fotel. Podobnego koloru była również suknia pani domu, pomarszczona skóra na jej twarzy oraz zawartość stojącej przed nią szklanki.

— Napije się pan ze mną? — zapytała pani Gisenius stanowczym tonem. — O ile sobie pana przypominam, nie należał pan do antyalkoholików, co uważałam u pana za sympatyczne. A może zmienił się pan z biegiem lat?

— Chyba nie — odparł Schulz zakłopotany. I siląc się na żartobliwy ton dodał: — Koledzy twierdzą, że pozostałem taki, jaki byłem.

— No to wypijemy po szklaneczce!

— Bardzo proszę — odparł Schulz, manewrując bezradnie swoimi wielkimi rękami. — Nie chciałem przeszkadzać. Chodzi mi tylko o małą informację.

— Wcale mi pan nie przeszkadza, panie Schulz. Wizyty sprawiają mi radość. A ponieważ rzadko mnie teraz ktoś odwiedza, cieszę się z każdego gościa. Proszę usiąść.

Kiedy mówiła, poruszały się tylko jej usta — reszta twarzy pozostawała nieruchoma jak maska. Głos, który się z tych ust wydobywał, przypominał Schulzowi głos pewnego generała, który walczył zaciekle z trudnościami wymowy. Krótko mówiąc: generała w stanie nietrzeźwym.

— Fakt, że pan tu przyszedł, panie Schulz, zdaje się? świadczyć o tym, że albo jest pan odważny, albo o niczym nie wie, co często chodzi w parze.

— Nie wiem, jak mam to rozumieć.

— Naprzód niech się pan napije. Może później to i owo wyda się panu jaśniejsze. A więc, pańskie zdrowie, panie Schulz!

Karl Schulz zobaczył przed sobą napełnioną szklankę, niezawodnie postawiła ją przed nim długoletnia służąca Giseniusów. Pełne szklanki niepokoiły Schulza — bo trzeba było je opróżniać. Jeszcze bardziej irytowało go to, że stała przed nim zwykła ćwierćlitrowa szklanka, jakiej używa się do wody. Mimo to sięgnął po nią posłusznie, nie można było przecież odmówić szanownej małżonce szanownego kolegi. Przytknął do warg szklankę z czerwonym napojem i wlał do wysuszonej gardzieli potężną porcję.

Pod wpływem badawczego wzroku pani Gisenius za-krztusił się gwałtownie i zaczerwienił. To, czym go poczęstowano, nie było wcale, jak przypuszczał, wermutem czy sherry, lecz czystą, mocną, zabarwioną na czerwono gorzałą. Spoglądał na panią Gisenius zażawionymi oczami. Wychyliła swą szklankę do dna, jakby po długim letnim spacerze gasiła pragnienie wodą.

— Pan pewnie nie jest zbyt wytrzymały na alkohol, panie Schulz? — Konstancja Gisenius wypowiedziała to tak, jak gdyby odczytywała prognozę pogody.

Schulz sięgnął spontanicznie po szklankę i opróżnił ją. Uczynił to, ponieważ wydawało mu się, że został sprowokowany, a równocześnie odczuł gwałtowną potrzebę splukania owego dławiącego uczucia, które go nagle opadło. Coś mu mówiło, że stoi w obliczu komplikacji, a jego kanciasty, jakby z twardego drzewa wyciosany charakter nie był stworzony do tego, aby dawać sobie radę ze złożonymi problemami.

— Dawnośmy się nie widzieli, panie Schulz.

— Jakież pięć, sześć lat.

— Nie, osiem — stwierdziła z kategorycznym uporem. — Odkąd, jak się to mówi, zachorowałam. Ciężko, bez nadziei na polepszenie. Mówiąc brutalnie: najpierw było

mi stale niedobrze, rzygać mi się chciało na świat, na ten wasz świat, i tak zaczęłam pić. Teraz chleję!

Schulz wlał w siebie zawartość następnej szklanki. Szukał ulgi, ale alkohol jakoś wcale na niego nie działał. Wręcz przeciwnie: robiło mu się coraz bardziej sucho w gardle. Było mu gorąco, odczuwał ssące pragnienie. Niemal z wdzięcznością stwierdził, że stojąca przy nim służąca Marta znowu napełniła opróżnioną szklankę.

— Szanowna pani — rzekł Schulz szarmancko — staram się panią zrozumieć. Oczywiście respektuję zachowanie pani. Zapewniam, że doceniam pani zaufanie.

— Czy pańska stacja benzynowa dobrze prosperuje? — zapytała pani Konstancja Gisenius.

— Jak dotąd jestem zadowolony z tego, co mam — odpowiedział Schulz z właściwą sobie uprzejmością. Miał stałą pracę, uregulowane zarobki, firma ceniła go, był lubiany, więc mógł być z siebie zadowolony.

— No tak — powiedziała pani Gisenius i zajrzała w zamyśleniu do szklanki — może to i prawda, że uczciwość prawie nigdy nie popłaca.

— Proszę wybaczyć — powiedział — ale nie chciałbym szanownej pani zatrzymywać. Miałem sprawę do pani męża, doktora Giseniusa. mam z nim do omówienia coś ważnego.

— Tak? No to pańskie zdrowie, panie Schulz!

Wezwanie to było jednoznaczne i na pewno także zaszczytne. Schulz wypił duszkiem, jak to było w zwyczaju w jego środowisku. Kiedy odstawił szklankę, usłużna Marta, czatująca z boku jak zły duch, napełniła ją na nowo. Na miejsce opróżnionej butelki postawiła nową. Miało się wrażenie, że z całego serca nalewa Schulzowi coraz to nowe szklanki gorzały.

— Jak pan sądzi, panie Schulz, dlaczego prezentuję się panu w tym stanie? — Konstancja Gisenius, pomarszczona od czoła po szyję, wyciągnęła ręce przed siebie — drżały jak skrzydła lecącego na pełnym gazie samolotu. Głos jej wcale się nie załamywał, chociaż trudno jej było formułować myśli. — Od lat nikogo nie przyjmuję, dlaczego więc właśnie pana?

— Skądże mam to wiedzieć? — Schulz był serdecznie zdziwiony. Koń wyścigowy, któremu wieszają na szyi wie niec laurowy, nie mógłby być bardziej zdumiony.

Miał wrażenie, że ta aksamitna czerwień naokoło niego, czerwień przypominająca zaschniętą krew, spływa ku niemu falami, na razie łagodnymi. Potem jednak zaczęła wirować mu w oczach, rozkołysała się i rozhuściła, tak że Schulzowi się zdawało, że zatacza razem z nim dzikie koła, jak rozpędzona karuzela.

— Jest pan niewątpliwie dobrym z gruntu człowiekiem — usłyszał jakby przez zasłonę głos Konstancji Gisenius.

— Na podstawie tego, co wiem o panu z dawnych czasów, oraz tego, czego się o panu dowiedziałam później, wierzę coraz bardziej, że jest pan, być może, jedynym człowiekiem, który mi jeszcze może pomóc Mnie, a tym samym i memu mężowi.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy; musi pani jednak wiedzieć, że prosty ze mnie człowiek. Pompuję benzynę, podtrzymuję stosunki koleżeńskie i na nic więcej mnie już chyba nie stać.

— Na pewno należy pan do tych nielicznych ludzi, na których można polegać. Ma pan pewną rzadko spotykaną zaletę: jest pan całkowicie bezinteresowny.

— Tego bym nie powiedział, łaskawa pani — odparł Schulz, usiłując mówić wyraźnie, choć już mu to przychodziło z wielkim trudem. Krwawoczerwona karuzela, jak było do przewidzenia, zaczęła krążyć z nim dookoła, na razie stosunkowo wolno. — Ostatecznie jestem tylko człowiekiem, mam swoje wady, i to niemałe.

— Ale gdyby ktoś znalazł się w potrzebie, toby mu pan pomógł, prawda?

— Ależ tak, oczywiście. O ile byłoby to w mojej mocy. Cóż jednak jest w mojej mocy? Ale to, że chciałbym pomóc, nie ulega kwestii.

— Również i wówczas, gdyby chodziło o mojego męża?

— Wtedy tym bardziej, łaskawa pani. Bo mam wobec męża pani zobowiązania. Zawsze zachowywał się wobec mnie jak dobry przyjaciel. Ilekroć go potrzebowałam, był zawsze gotów do usług... nie przypominam sobie tylko,

czy w ogóle kiedykolwiek czegoś od niego potrzebowałem. To zresztą nieważne! W każdym razie można na nim polegać. Zrobiłbym dla niego wszystko, co w mojej mocy, daję słowo!

— To niech go pan zrujnuje!

— Co takiego? — Schulz wsadził palec w ucho i zaczął nim kręcić. Zapewne chciał przez ten odruch dać do zrozumienia, że ma wrażenie, iż nie dosłyszysz. Kiedy sięgnął po szklanę, tułów jego zakołysał się jak trzcina na wietrze.

— Uśmieje się pani — wykrztusił wreszcie — ale zrozumiałem, że mam zrujnować pani męża.

— To właśnie powiedziałam. Ma go pan zrujnować! Ma pan zrobić wszystko, żeby pozbawić go znaczenia! Niech go pan oderwie siłą od tego paskudnego życia, jakie teraz prowadzi. Przecież niedoszłego samobójcę można doprowadzić do opamiętania za pomocą siarczystego policzka, truciznę można zabić w zarodku innym zabójczym lekiem, gryzące się ze sobą psy można oderwać od siebie strumieniem zimnej wody. Niech się pan nad tym zastanowi. Jest pan jedynym człowiekiem, panie Schulz, do którego się z tym zwracam, jedynym w jego otoczeniu uczciwym człowiekiem. Mówię to dlatego, że kocham mego męża.

— Szanowna pani — rzekł Karl Schulz; podniósł się, pojękując, i resztkami sił zmusił do tego, aby stanąć przed panią Gisenius wyprostowany jak świeca. — Szanowna pani, proszę mi pozwolić się pożegnać. — Czuł, że robi mu się niedobrze. — Był to dla mnie niemały zaszczyt — wymamrotał. Spróbował jeszcze przed wyjściem spojrzeć pani domu w oczy, ale wszędzie widział tylko płomienną aksamitną czerwień, podobną do zakrzepłej krwi. — Żegnam panią!

— Mąż mój jest jak zwykle w hotelu „Unter Drei Kro-nen"! — zawołała pani Gisenius w ślad za nim.

Zabrzmiało to w jego uszach jak rozkaz.

— Tak jest — powiedział opierając się o skrzydło drzwi.

— Hotel „Unter Drei Kronen". Załatwione! Wszystko będzie załatwione!

Halo, taksówka! — zawołał Schulz, idąc przed siebie chwiejnym krokiem. Zatrzymał się na rogu Bahnhofstrasse. Musiał koniecznie iść dalej, wiedział nawet, dokąd; chodziło tylko o znalezienie kogoś, kto byłby gotów poprzeć go w jego usiłowaniach. Na razie jednak miał wrażenie, że ziemia się pod nim zapada.

Ciążącymi mu jak ołów rękami starał się natrafić na pobliski słup latarni. Bardziej jeszcze niż środka lokomocji potrzebował oparcia, ale nie mógł go na razie znaleźć. Świat dookoła niego był z waty, z gumy, mieniającej się jaskrawymi barwami piany.

— Zatrzymać się! — zawołał. — Tutaj, kolego!

Otaczały go tysiące wirujących refleksów świetlnych, miał wrażenie, że ciało jego jest napełnione cementem, który stężał i okrzepł. W głowie huczały mu czołgi, miał ochotę wysadzić je w powietrze. Ale rozkaz nie chciał mu przejść przez usta — mógł nimi poruszać tylko z wielkim trudem, były jak z twardej gumy. Krótko mówiąc: Karl Schulz był strasznie pijany.

— Halo, taksówka! — zawołał raz jeszcze i wtoczył się na jezdnię. — Taksówka, do cholery!

Samochód, który mu się wydał taksówką, zahamował i zatrzymał się. Był to wóz policyjny. Wsiadło z niego dwóch policjantów, dostojnych i przedsiębiorczych.

Schulz nie zwrócił na nich zbytnej uwagi, ostatecznie nie mieli na sobie typowych mundurów wojskowych. A każdy inny rodzaj munduru był dla niego strojem cywilnym. Każdego, kto nie był żołnierzem, uważał zawsze za coś w rodzaju listonosza.

— Do hotelu „Unter Drei Kronen“! — rzekł Schulz głucho, chwyciwszy się mocno wozu. — „Unter Drei Kronen“! Zrozumiano!

— Wsiadaj, bracie — rzekł jowialnie policjant. I otworzył drzwiczki zapraszającym gestem.

Schulz, wyczerpany do cna, opadł na poduszki i z miejsca zaczął chrapać.

Obaj policjanci patrzyli nań nie bez ciekawości, jak rybacy przyglądający się niespodziewanej zdobyczy i nie

zdający sobie w pełni sprawy, czy połów się udał, czy nie.

— Jak właściwie mamy ten wypadek zarejestrować? — zapytał młodszy. — Zakłócenie ruchu ulicznego?

— Może tak — rzekł starszy, którego nazwisko brzmiało Brahmvogel — a może i nie. To zależy. A od czego zależy, zobaczymy.

— Znasz go? — zapytał młodszy z zaciekawieniem.
— Wygląda na to, że go znasz.

— Poznam go dopiero wtedy, kiedy się przede mną wylegitymuje — rzekł Brahmvogel. — Zdaje się jednak, że na razie nie jest do tego zdolny.

— Mam zobaczyć, czy posiada jakiś dowód?

Brahmwogel podniósł rękę, jakby miał zamiar zatrzymać pchający się przed nich wóz. — Najpierw wsiądźmy.

— Usiadł na prawo od kolegi, który zajął miejsce przy kie rownicy.

— Możliwości jest ostatecznie wiele — rzekł młodszy.

— A więc przede wszystkim wywołanie ogólnego zgorse nia wskutek całkowitej nietrzeźwości. Poza tym mogłyby wchodzić w rachubę wykroczenia drogowe. Można by wreszcie zakwalifikować to jako przeszkadzanie funkcyja riuszowi policji w pełnieniu funkcji służbowych.

— Zapewne — odpowiedział Brahmvogel, ciągle jeszcze bardzo zamyślony — zapewne. Nasze możliwości są w tym specjalnym wypadku niemałe. Moglibyśmy na przykład zagrać też rolę przyjaciół udzielających pomocy, ale tylko dopóty, dopóki okoliczności nie zmuszą nas do zastosowa nia jakichś surowych środków.

Młodszy policjant zamilkł z wyczekującą miną. Jego kolega górował nad nim nie tylko rangą, ale i o wiele większym doświadczeniem. Uchodził za doskonałego urzędnika i policjanta, od którego można się wiele nauczyć.

— Naprzód zawieziemy go do hotelu „Unter Drei Kro nen” — oświadczył Brahmvogel. — Później zobaczymy.

Kierowca skinął posłusznie głową, nacisnął gaz i ruszył. Jego zadowolona mina zdawała się świadczyć o tym, że odgadł zamiary Brahmvogla.

Dobrze znał te kilka niepisanych reguł gry obowiązujących w tym mieście.

Sytuacja była stosunkowo przejrzysta: większość gmin wokół Rheine-Bergen, cały dystrykt i cała prowincja pozostawały pod wpływami określonej partii. Natomiast w samym Rheine-Bergen wpływy miała inna partia, która obsadzała zarówno stanowisko burmistrza, jak i prezydenta policji. Konsekwencje tego były całkiem jednoznaczne, choć nie rzucające się zbyt nachalnie w oczy. Teoretycznie policja była niezłomnie neutralna. W praktyce jednak obowiązywał pewien układ sił, miarodajna była miejscowa równowaga. Ratusz był twierdzą jednych. Bastionem drugich zaś, ich — żeby tak rzec — nieoficjalną kwaterą główną, był hotel. Hotel, do którego zmierzał teraz Karl Schulz.

Wóz policyjny zahamował gwałtownie i hałaśliwie przed głównym wejściem. Budynek był wspaniale oświetlony. Miało się uczucie, że się jest na scenie. Obaj policjanci wysiedli i zajrzeli z uprzejmymi minami do wnętrza wozu.

— Jesteśmy u celu — powiedział Brahnwogel i potrząsnął Schulzem, aby go doprowadzić do przytomności. — Proszę wysiadać! Jesteśmy przed hotelem „Unter Drei Kronen”.

Schulz próbował się podnieść. Obaj policjanci pomogli mu w tym ochoczo. Z wprawą ujęli go pod ramiona i po schodach, udających marmurowe, przetransportowali do hotelu.

Przerażony portier zerwał się na równe nogi jak oparzony. Goście znajdujący się w holu spoglądali z zainteresowaniem i z wyniosłą niechęcią na tę dziwną grupkę. Grobową ciszę zakłócił gwałtowny dzwonek telefonu.

— Na miłość boską! — zawołał portier. — Co to ma znaczyć, panowie?

— To jeden z pańskich gości — rzekł uprzejmie Brafnvogel, jakby był jednym z hotelowych dostawców. — Jest pijany jak bela. Domagał się, żeby go tu odwieźć.

— Tak jest! — ryknął Schulz. — To ja we własnej osobie. Chciałem się tu dostać. I zostanę tutaj! Spocznij! Rozejść się!

— To jakies przykre nieporozumienie — zaczął zapewniać portier z zapalem. Znowu popatrzył na Schulza. Żaden

ogrodnik nie mógłby spoglądać z większą odrazą na chwasty. — Ten człowiek nie jest gościem naszego hotelu!

Brahmvogel wysłuchał tych słów nie bez satysfakcji, ale oczywiście nie okazał tego. Dzięki swemu doświadczeniu wiedział, że wraz z towarzyszącym mu policjantem i pijanym jak bela Schulzem będzie mógł przez jakiś czas pozostać w holu hotelu. Oczywiście nie było to dla opinii i dobrej sławy hotelu pożądane. Ale umożliwiało dobry kawał, z którego niezawodnie i burmistrz, i prezydent policji, kiedy się o nim dowiedzą, uśmieją się setnie, oczywiście w duchu.

— Jest pan tego pewien? — Brahmvogel uderzył w surowy ton służbowy.

— Nie znam tego osobnika! — zawołał rozpaczliwie zapytany, szukając wzrokiem pomocy. Był to człowiek nowy, jeszcze z miejscowymi regułami gry nie obeznany. Zdawało mu się, że jego posada znajduje się w niebezpieczeństwie, co w znacznym stopniu zmniejszało precyzyjne funkcjonowanie jego rozsądku. — Proszę tylko nie robić szumu! Naprawdę nie znam tego człowieka!

— Mimo to może tu mieszkać, prawda?

— Prosiłbym jednak... — Portier rzucił przerażone spojrzenie na licznych gapiących się gości hotelowych, którzy dawali niedwuznacznie wyraz swemu obrzydzeniu. — Prosiłbym jednak, żeby pan zabrał stąd tego pana. Jest mi całkowicie nie znany.

Brahmvogel, podparłszy czule chwiejącego się Schulza, powiedział:

— Przecież nie jest pan tutaj jeden. Bardzo możliwe, że jakiś inny portier dał temu panu pokój.

— Ohyda! — zawołał ktoś wysokim głosem. — Czy to hotel, czy przytułek dla bezdomnych?

— Świństwo! — krzyknął jakiś jegomość.

Portier zzieleniał jeszcze bardziej. Doświadczenie go nauczyło, że kiedy już goście hotelowi zaczynają się do czegoś mieszać, katastrofa jest bliska. Byli oni zazwyczaj cierpliwi jak krowy na pastwisku. Kiedy się jednak czuli sprowokowani, stawali się niebezpieczni jak stado cwałujących bawołów.

— To pomyłka! — zawołał portier. — Wyrażna pomyłka, która się wyjaśni. Proszę o cierpliwość!

Z grupy siedzących najbliżej podniósł się blondyn średniego wzrostu. Wyglądał na humanizującego belfra, wychowanego jednak z dobrym skutkiem w szkole wojskowej; sprawiał wrażenie człowieka gotowego do usług, i to wrażenie przekonywające.

— Czy mogę być w jakiś sposób pomocny? — zapytał.

— Zawsze jestem gotów do usług. Nazywam się Lehm-gruber.

— Należy pan do personelu hotelowego, panie Lehm-gruber?

— Ależ, mój panie! — człowiek o nazwisku Lehmgruber zaprzeczył niemal z przerażeniem. — Jestem tu gościem. Jako taki mam chyba pełne prawo ingerować w podobnych sytuacjach.

— Bardzo się to panu chwali — oświadczył Brahnwogel.

— Zna pan tego pana, któremu towarzyszymy?

— Niestety nie! — Człowiek o nazwisku Lehmgruber rozejrzał się łagodnie dookoła. — Chciałem tylko stworzyć przyjemniejszą atmosferę. Jestem człowiekiem, który ma na względzie dobro ogółu.

— Taksówka! — mamrotał Schulz. — Halo, taksówka! „Drei Kronen”, ale prędko, tempo!

Zaskoczony portier był ciągle jeszcze bezsilny. Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł. Powinien był właściwie poprosić policjantów i ich ofiarę do biura administracji, które znajdowało się tuż obok holu. Ale nie zrobił tego i poruszenie, jakie powstało z powodu przywiezienia do hotelu spitego na umór Schulza, stawało się coraz bardziej nie do zniesienia.

— Oburzające! — krzyczeli goście chórem.

— To nieporozumienie! — zawołał portier, wylamując sobie palce u rąk.

— Godne najwyższego ubolewania! — zauważył dostojnie Brahnwogel. — Ale wobec takiej indolencji jesteście bezsilni.

Rozwiązanie znalazł dopiero boy. Zaalarmował dyrekcję hotelu. W biurze zastał wprawdzie tylko Gizelę Wandel,

sekretarkę hotelu, ale to całkowicie wystarczyło. Gizela Wandel, kobieca, wysportowana, energiczna, zjawiała się natychmiast i z miejsca położyła kres tej rozdętej komedii.

— Ten pan — powiedziała, wskazując na Schulza, który uśmiechał się wprawdzie z trudem, ale uprzejmie i pojednawczo — to znajomy dyrektora hotelu, pana Hirscha.

— Tak jest — przytaknął Schulz, który na chwilę obudził się z tępego odrętwienia. — Starszy szeregowy Hirsch, wystąp! Na lewo, do obierania kartofli!

— Proszę niezwłocznie zaprowadzić pana Schulza do prywatnych apartamentów pana Hirscha — rozkazała sekretarka portierowi. — Dalsze instrukcje później.

Z kolei Gizela Wandel zwróciła się do obu funkcjonariuszy policji: — Dziękuję panu, panie Brahmvogel, i pańskiemu koledze. Był pan niezwykle uprzejmy wobec pana Schulza. Nasz dyrektor, pan Hirsch, wyrazi panu swoje uznanie i postara się sprawę wyjaśnić.

— Potrzebne mi są już teraz tylko możliwie dokładne personalia pana Schulza — rzekł Brahmvogel.

— A to po co? — Gizela Wandel spojrzała zdziwiona. — To jest pan Schulz. Dam panu chętnie jego adres. To panu na pewno wystarczy.

— Skąd pani może wiedzieć, co mi wystarczy, a co nie?

— Nie zamierza pan chyba składać meldunku?

— Zamierzam na razie zrobić parę notatek. Na resztę mamy jeszcze czas.

Po upływie jakiejś godziny Karl Schulz zaczął po trochu wracać do przytomności. Z trudem otworzył zapuchnięte oczy i jak gdyby przez grube ściany akwarium zobaczył trzy rzeczy: figurkę ogrodowego karła, siebie samego wiszącego na ścianie i rozbierającą się dziewczynę.

Figurka karła pozwoliła Schulzowi zorientować się, że się znajduje w prywatnych apartamentach byłego starszego szeregowego, a obecnie dyrektora hotelu, Hirscha. Jak

sobie Schulz mimo bolesnego zaćmienia pamięci przypomniał, karzeł ten stał w sypialni Martina Hirscha. Stąd logiczny wniosek, że Schulz leżał na jego łóżku.

Co się zaś tyczy zdjęcia wiszącego na ścianie, to nie przedstawiało ono wyłącznie Karla Schulza. Ale był on bezsprzecznie główną osobą na tej mocno powiększonej fotografii. Dookoła niego było zgrupowanych sześciu mężczyzn w znoszonych, wytartych, ale mimo to schludnych mundurach. Mężczyzn, tak jest! Tylko tak można było określić tę uśmiechniętą grupę, tryskającą siłą, pewnością siebie i solidarnością koleżeńską. Krótko mówiąc: swoje chłopaki!

Schulz widział tak wyraźnie karzełka i fotografię dlatego, że tylko na te przedmioty padało przez na pół otwarte drzwi światło. A tam, w jasno oświetlonym sąsiednim pokoju, stała dziewczyna i się rozbierała.

Schulz próbował się podnieść. Między innymi z powodu tej dziewczyny, która stała w sąsiednim pokoju, w jaskrawym świetle, podkreślającym ostro jej kształty, tak wyraźna, że nieomal uchwytana, jak na scenie. W pierwszej chwili Schulzowi się zdawało, że wypęłza spod stosu lepkiej waty. Potem poczuł kłujące bóle, miał wrażenie, że głowa mu od nich pęknie. Chciało mu się jęczeć. Ale nie zrobił tego, pochłonięty widokiem dziewczyny obok.

Stwierdził, że była niezwykle dorodna. Ta mała mogła mieć lat najwyżej dwadzieścia, była zgrabna, a równocześnie jędrna, proporcjonalnie wyważone okrągłości i wypukłości znajdowały się na właściwym miejscu. Zdjęła już suknię i siedząc na krawędzi fotela ściągała teraz z nóg pończochy. Czyniła to z przyjemnością, nieomal z oddaniem, jak dziecko bawiące się w kamyki. Potem położyła pończochy na stole, który stał tuż obok. Cielistoróżowy biustonosz, który z kolei zdjęła, położyła na fotelu. Pieczołowicie i, jeśli tak można rzec, planowo porozsiewała swoją bieliznę po pokoju, który robił teraz wrażenie udekorowanego w wyzywający sposób.

Schulz zapomniał na chwilę o żalonym stanie, w jakim się znajdował. Rozsmakował się w widowisku, którego stał się świadkiem; ostatecznie był przecież mężczyzną,

i w dodatku starym, doświadczonym wojakiem. Nic, co kobiece, nie było mu obce. Mógł tylko pogratulować koledze Hirschowi, że udało mu się złowić taką rybkę.

Dziewczyna w pokoju obok zaczęła się przeciągać. Karla Schulza aż koczyło, żeby nagrodzić ją rzęśistymi oklaskami. Wiedział jednak, że te urocze pozy były przeznaczone nie dla niego, toteż powstrzymał się i na razie się nie odzywał.

Siedział więc i sycił się rozkosznym widokiem. Cieszył się już na myśl o tym, jakim to męskim śmiechem wybuchną jego przyjaciele i koledzy, gdy im będzie to opowiadał. Oczywiście dyskretnie, ale ze wszystkimi detalami. Martin Hirsch, schwytany tym razem, żeby tak rzec na gorącym uczynku, będzie na pewno kapitalnym przedmiotem męskich pieprznych żartów podczas najbliższego spotkania koleżeńkiego.

Tymczasem dziewczyna zakończyła scenę rozbierania się i wolnych ćwiczeń gimnastycznych. Miało się wrażenie, że ta mała jest znudzona. Na jej lalkowatej twarzyczce widać było zmęczenie i gniew. Wolnym krokiem podeszła do drzwi sypialni, otworzyła je na oścież i zapaliła światło.

— Chce pani czegoś ode mnie? — zapytał Schulz i uśmiechnął się do niej po koleżeńsku wesoło.

Dziewczyna natychmiast zgasiła światło. Nie okazała ani zdziwienia, ani przerażenia. Zapytała tylko dziecinnym głosikiem, w którym brzmiała nuta zaciekawienia:

— A cóż pan tu robi?

— O to samo chciałem zapytać i ja! — zawołał Schulz rubasznie wesoło. — Nawiasem mówiąc, ma pani sylwetkę pierwsza klasa, nieobyczajny film to przy pani widowisko > dla dzieci.

Zastygła na chwilę bez słowa. Niewątpliwie rozważała coś w myślach. Karl Schulz nie widział powodu, żeby jej w tym przeszkadzać.

— Jest co pokazywać — rzekł z uznaniem. — Wszędzie i przy każdym oświetleniu.

— Ale nie każdemu!

— Nie jestem każdy. Przede wszystkim uchodzę za fachowca. Podobno znam się na kobietach!

— Nie na wszystkich!
— Poza tym należę do przyjaciół Martina Hirscha.
— Ale moim typem na pewno pan nie jest.
— Trzeba by najpierw spróbować — rzekł Schulz energicznie, usiłując się podnieść.

— Jeżeli pan próbuje, rozbiję panu łeb. Tym paskudnym karłem!

— Zaraz go pani podam! — zawołał Schulz. Ale nie udało mu się podnieść na postaniu. Opadł na łóżko jak bobas, który nie umie dobrze chodzić. Głowa mu płonęła jak rozpalony piec. — A niech to diabli! — jęknął. — Co to ze mnie zrobili?!

W tym momencie zjawił się Martin Hirsch, wysoki, smukły, jak zawsze nieco nerwowy, o badawczym wzroku kierownika przedsiębiorstwa handlowego.

Zatrzymał się w otwartych drzwiach i, można rzec, jednym spojrzaniem fachowca ogarnął sytuację. Choć otworzył usta, nie powiedział ani słowa.

Pierwszą jego reakcją była próba zamknięcia drzwi za sobą. Ale stał w nich jak wryty kelner z szeroko otwartymi oczyma. Taca, którą trzymał, dygotała mu lekko w rękach. Choć kelnerzy hotelowi potrafią znosić tego rodzaju widoki, z tak gołymi faktami jednak spotykają się na ogół rzadko. W dodatku w prywatnych apartamentach dyrekcji.

Martin Hirsch bez namysłu wyjął kelnerowi tacę z rąk, energicznie wypchnął go za drzwi i zamknął je za nim. Potrzebował na to czterech sekund — o trzy za dużo. Kelner zobaczył wszystko, co można było zobaczyć — fantazja jego została dostatecznie pobudzona.

— Mam nadzieję, że nie tłumaczysz sobie tej sytuacji fałszywie! — zawołał Schulz, szczerze zatroskany.

— Co tu można sobie fałszywie tłumaczyć? — rzekł Hirsch sarkastycznie. — To jest dostatecznie wyraźne!

— Chwileczkę! — Schulz powiedział to z takim trudem, jakby ciągnął linę. — Nie wiem, jak się tu dostałem, nie wiem również, jak się tu dostała ta młoda dama. Ale może zechcesz mnie przedstawić?

— Jeszcze jakieś życzenie? — zapytał Hirsch.

Dziewczyna stała w niedbalej, wyczekującej pozie. Posąg z brązu nie mógłby być bardziej nieruchomy. Patrzyła tylko na Hirscha. Zdawało się, że czeka na to, aby i on na nią spojrział. Ale czekała na próżno.

Martin Hirsch rzucił jej kołdrę i powiedział energicznie:

— Ubierać się i wynosić stąd!

Powiedziawszy to, wniósł tacę do sypialni, postawił ją przed Schulzem i powiedział:

— Masz tu kawę! Wypij ją, a potem pogadamy.

W tym samym momencie zaczęły znowu rozsadać Schulzowi czaszkę te piekielne bóle. Pod wpływem zapachu aromatycznej kawy znowu uświadomił sobie, w jak żałosnym stanie się znajduje. Miał wrażenie, że jest sam na tym świecie, dręczony, prześladowany, że w głowie jego dokonywane są głębokie wiercenia. Zwykły kociokwik przybrał wulkaniczne rozmiary.

Drżącą ręką nalał sobie kawy. Pijąc ją starał się możliwie najmniej poruszać głową. Głos Hirscha za zamkniętymi teraz drzwiami brzmiał jasno, chłodno, jak wyrzut. Ale Schulz nie miał na razie czasu zajmować się tym, co się mówi w sąsiednim pokoju. Wzrok jego padł na nędzną postać ogrodowego karzełka. Schulzowi zdawało się, że karzeł podśmiewa się z niego złośliwie. Ta tandetna ozdoba sypialni Hirscha denerwowała go. Zwrócił więc udręczony wzrok na boczną ścianę i znowu zobaczył owo zdjęcie, które było wcieleniem jurnej, zuchwałej męskości. Schulzowi wydawało się w tym momencie, że otaczające go grube, wysokie mury runęły, jakby wysadzone dynamitem, i rozpadły się w gruzy.

Od tej chwili zaczął znowu widzieć zupełnie wyraźnie ową twarz za szybą autobusu. Tę, która mogła być tylko twarzą nieboszczyka.

Właściciela tej twarzy widać było również na zdjęciu wiszącym nad łóżkiem. Był jedynym, który z wojny nie wrócił. A może wrócił?

Schulz wydał sobie rozkaz powstania. Zebrawszy całą energię, podniósł się. Stanąwszy na nogach, zaczął chwiejnym krokiem posuwać się w kierunku ściany, na której wisiała powiększona fotografia. Rozpostarł ramiona, do-

tknął obiema rękami ramy zdjęcia. Znalazszy oparcie, pochylił się naprzód i zaczął szukać twarzy, którą, jak mu się zdawało, widział w autobusie. W tej pozycji zastał go Martin Hirsch.

— Straszne! — rzekł głucho Schulz. — Jeżeli to prawda, co widziały moje oczy...

Marcin Hirsch podszedł bliżej i zapytał dość uprzejmie:

— Byłeś dobrze wlany, co?

— Wlany to żadne określenie! — zawołał Schulz. Wyprostował się, spojrzął na Hirscha zakłopotany. — Mam wrażenie, że w mojej głowie rozgościła się cała fabryka wódek.

— Widok naszej pięknej podobizny z lat młodzieńczych dobił cię zapewne do reszty. Szczególna fotografia! Ukazuje nas, że tak powiem, w wielkiej chwili historycznej, no i w całej naszej żalosości. Kupa baranów przed bramą rzeźni!

— Spełnialiśmy naszą powinność i nasz obowiązek! — Schulz wypowiedział to z energią trenera piłki nożnej, który nie chce dopuścić do tego, by kwestionowano zalety jego drużyny klubowej. — Nikt nie powinien w to wątpić, zwłaszcza nikt z naszych szeregow.

— Pięknie — rzekł Hirsch pojednawczo. — Ostatecznie może naprawdę powinnością i obowiązkiem baranów jest dawać się zarzynać. Ale nie spierajmy się o takie subtelności. Wolałbym pomówić z tobą o dziewczynie, którą tu przed chwilą widziałeś.

— Ach tak! — Schulzowi przypadł ten temat do gustu. Będzie mógł skierować swe myśli na inne tory, choćby tylko na chwilę. Podświadomie był z tego zadowolony. Poza tym dziewczyna zrobiła na nim niemałe wrażenie. Próbował zażartować i rzekł: — Jest na co popatrzeć. Chylę czoło przed twoim gustem.

— Spróbuj zapomnieć, żeś ją tu u mnie widział.

— Dlaczego? Ta znajomość przynosi ci tylko zaszczyt. Jako mężczyźnie.

— Boję się, że pod tym względem będę cię musiał rozczarować — rzekł Martin Hirsch. — Między tą młodą damą a mną absolutnie do niczego nie doszło. Daję ci na to słowo.

— Znamy się na tym! — rzekł Schulz, mrugając porozumiewawczo. — Prawdziwy kawaler winien raczej popełnić krzywoprzysięstwo niż splamić honor damy. Wyczytałem to gdzieś. A z ciebie kawaler, rycerz, prawda?

— Ależ człowieku! — zawołał Hirsch niechętnie. — Za kogo wy mnie właściwie macie?

— Tylko bez fałszywej skromności! — Schulz uśmiechnął się czule do przyjaciela. — Ale jeżeli przykładasz do tego wagę, dobrze, nic nie widziałem. Nic. Żadnej gołej dziewczyny.

— W gruncie rzeczy wszystko jest zupełnie proste — usiłował wyjaśnić sytuację Martin Hirsch. — Ta dziewczyna, powiedzmy, ta młoda dama, to stworzenie dosyć lekkomyślne. Zechciej mnie właściwie zrozumieć: nie twierdzę, że jest niemoralna lub wyuzdana, jestem od tego jak najdalszy. Powiadam tylko: nie jest ona tym, co nasze matki uważały za cnotliwą panienkę.

— I ja miałem takie wrażenie.

— Nie przeczę, że ją lubię. Jest mi nawet wyjątkowo sympatyczna. I z pewnością ma niezwykle zalety. Ale jej nie kocham.

— To chyba nie jest konieczne!

— Słuchaj — rzekł Hirsch — jesteś moim przyjacielem, jako przyjaciel żądam, żebyś mi wierzył.

— Zrobione!

— Ta dziewczyna twierdzi, że mnie kocha. Ale nie mogę pozwolić sobie na tę miłość z bardzo licznych i ważnych powodów. Wystarczy ci to?

— Jeżeli sądzisz, że wystarczy, to z pewnością tak jest.

— Pięknie — zawołał Hirsch z ulgą. — Mówmy więc o czym innym. Na przykład o fotografii, której przed chwilą przyglądałeś się tak badawczo.

— Będziemy musieli! — westchnął znowu Schulz. — Jak ci się zdaje, kogo dziś widziałem na mojej stacji benzynowej?

— Kogóż to?

— Michela Meinersa.

Gospodarz spojrział na gościa tak, jakby zobaczył przed swoją chatą polarnego niedźwiedzia. Oczy mu pociemnia-

ły, wzrok jego stał się chłodny, badawczy. Potem zaczął się
uśmiechać i powiedział:

— Musiałeś być istotnie dobrze wlany.

— Ależ to było przedtem! — Schulz bronił się, jakby stał przed sądem, oskarżony o krzywoprzysięstwo. — Widziałem go przedtem!

— Byłeś pijany — mruknął szorstko Hirsch. — Majaczyły ci się upiory. Bo to, co twierdzisz, jest zupełnym idiotyzmem. Michel Meiners nie żyje. Umarł, leży w ziemi, kropka! A może wymyśliłeś to sobie po to, żeby się jakoś wytłumaczyć i przeprosić mnie za to swoje niemożliwe zachowanie dzisiejszego wieczoru?

— Ależ nie — zapewnił go Schulz — na pewno nie! Wybacz, jeżeli sprawiłem ci kłopot lub przykrość, naprawdę nie chciałem! Ale musiałem z kimś o tym pomówić.

— I w rezultacie dopuściłeś do tego, że cię pijanego jak belę przytransportowano pod eskortą policji do tego hotelu!

— Chciałem dotrzeć do Giseniusa, musiałem mu to powiedzieć!

— No dobrze — rzekł Hirsch pojednawczo. — I tak będziemy musieli pomówić z Giseniusem. On jeden może potrafi poradzić coś na ten wpadunek z policją. A więc chodźmy go poszukać! Jest tu w hotelu na jednym ze swoich posiedzeń. Choć nie ma zbyt wielkiego poczucia humoru, może go jednak ta twoja upiorna historia odrobinę rozweseli.

Mam bardzo niewiele czasu. — Gisenius spojrział na zegarek. — Mamy właśnie zebranie sekcji socjalnej naszej partii. Stoimy wobec decydujących uchwał, nie mogę więc być długo nieobecny.

— Przykro mi, że muszę ci przeszkodzić — rzekł Schulz. — Sądzę jednak, że to ważne.

— Jeżeli tak sądzisz, to chyba tak jest — rzekł Gisenius uprzejmie.

Konrad Gisenius pochylił nieco swą wąską, niemal ascetyczną twarz. Gest ten zapewne oznaczał: zamieniam się cały w słuch. Spoglądał na obecnych dobrodusznie, jak prawie zawsze. Ponadto położył jedną rękę na drugiej. Przy kiepskim oświetleniu wyglądał czasami, zwłaszcza gdy był w dobrym humorze, jak święty z czytanek.

— Usiądźmy! — zaproponował. Zrobił taki gest ręką, jakby był tutaj, w apartamentach prywatnych Hirscha, u siebie w domu. Wskazawszy każdemu miejsce, powiedział:

— Na siedząco lepiej się rozmawia.

Karl Schulz wyglądał blado, oczy miał zaczerwienione. Ale włosy jego były uczesane gładko i starannie — skropił je wodą kolońską Hirscha, i ponieważ krawat jego znajdował się w żalonym stanie, posłużył się też jednym z jego licznych modnych motylków. Wyglądał na niezwykle zakłopotanego. Wzrok miał zamyślony.

— Nie spiesz się, powoli — rzekł Gisenius pobłaźliwie. — Choć mam mało czasu, przyjaciele zawsze mają pierwszeństwo. Czekam cierpliwie.

— A więc — rzekł brutalnie Martin Hirsch — nasz przyjaciel Karl Schulz jest przekonany, że widział dziś wieczorem Michela Meinersa.

— Kogo? — zapytał Gisenius, lekko podnosząc głowę. — Powiedział: Michela Meinersa?

— Tak! Michela Meinersa!

Gisenius nie okazał żadnego zdumienia, nic się w jego twarzy nie zmieniło. Głos miał tylko lekko ochryply, gdy zapytał:

— Kiedy? Gdzie?

— Dziś wieczorem, kiedy zaczął padać deszcz. — Schulz czuł się winny, że nie zamknął na czas oczu. — Na mojej stacji benzynowej. Siedział w autobusie jadącym z Baben-burga.

— Jesteś pewien, żeś go rzeczywiście widział?

— Tak! — Schulz sapał jak lokomotywa wspinająca się na górski szczyt. — W pewnym sensie tak.

Gisenius pochylił się nieco do przodu, tak jakby dotąd źle słyszał i dopiero teraz zaczął przykładać wagę do tego, by żadne słowo nie uszło jego uwagi. — Co rozumiesz

przez „w pewnym sensie”? Czy to ma oznaczać: uważasz wprawdzie, żeś widział Meinersa, ale nie jesteś tego absolutnie, stuprocentowo pewny?

— Coś koło tego — Schulz kiwnął potakująco głową. — Zaczynało się już ściemniać. Poza tym nawaliło światło. W dodatku trwało to zaledwie kilka sekund. Potem deszcz zamazał szyby autobusu.

Gisenius odchylił się nieco do tyłu, jakby mu spadł ciężar z serca. Był małego wzrostu, miał krótkie nogi, ale kiedy siedział, nie wyglądał na tak niskiego, jakim był w istocie. Choć miał na sobie ubranie z najlepszego materiału, nie rzucał się w oczy, wygląd miał raczej skromny. Nie-rzucanie się w oczy było jego cechą szczególną.

— Drogi Karlu — powiedział — jeżeli cię dobrze zrozumiałem, sądzisz, żeś widział Meinersa, a raczej tak przypuszczasz. W każdym razie nie możesz tego twierdzić z całą pewnością. Ergo: nie mógłbyś na to przysiąc. Czy tak, mój drogi?

— Chyba tak.

— Niewątpliwie ludzie bywają do siebie podobni, może zdarza się to nawet częściej, niż sądzimy. Zdarza się również, że myśli, rozważania, refleksje tkwiące gdzieś w podświadomości prowadzą do najdziwniejszych halucynacji. Człowiek jest igraszką tysięcy przypadkowych okoliczności. Poza tym, drodzy przyjaciele, nie zapominajmy o jednym: piętnaście, szesnaście lat to długi okres. Takie lata pozostawiają ślady na ludzkich twarzach. Czy trafia ci to do przekonania, drogi przyjacielu?

Schulza ogarnęło uczucie, jakiego muszą chyba doznawać ludzie dźwigający ciężary, kiedy zamiast kamieni wolno im nieść na plecach bawełnę. Pragnął z całego serca poczuć się znowu beztroski i szczęśliwy. Wolał już uchodzić za niedokładnego obserwatora. Spoglądał w stronę Hirscha niemal błagalnie, prosił wzrokiem o zrozumienie i zgodę. Hirsch kiwał głową i uśmiechał się. Schulz udawał, że nie widzi w tym uśmiechu przyjacielskiej ironii.

— Najważniejsze — powiedział Gisenius — że Meiners nie żyje, i wszyscy o tym wiemy. Powiedziałbym nawet: że wszyscyśmy się o tym przekonali. Nieszczęsne okoliczności,

które wtedy doprowadziły do jego śmierci, winny być przez nas możliwie prędko i definitywnie zapomniane. Tak będzie z pewnością najlepiej dla nas wszystkich.

— I najwygodniej! — zawołał Hirsch wyzywająco.

Gisenius poruszył wolno swą wąską głowę. Podobny był teraz do mnicha z amerykańskiego przeboju filmowego. Spojrzał na Hirscha. W oczach jego pojawił się wyraz zdziwienia. Powiedział po namyśle: — Zmarłych należy pozostawić w spokoju. Zwłaszcza tego zmarłego! Czy nie tak, drogi kolego Schulz?

Karl Schulz nie omieszkał oczywiście ucześcić się tego pasa ratunkowego, jaki mu podrzucił Gisenius.

— Uważam, że to, coś tu przed chwilą powiedział, brzmiało bardzo przekonująco. Masz rację.

Gisenius podniósł się i pożegnał z przyjaciółmi. Zrobił to tak uprzejmie, jak tylko potrafił. Skinął im głową, Schulzowi nie bez serdeczności, Hirschowi z wyraźną naganą. Potem odszedł. Audiencja była skończona. Giseniusowi wyraźnie się spieszyło. Sekcja socjalna czekała, a on nie chciał, by bez niego podjęto ważną decyzję.

2. Życ i pozwolić żyć innym

Zdaje się, że pani znowu kiepsko spała, pani Brandstadter — rzekł Willy Kerze, spojrzawszy przelotnie na swoją gospodynię. — Cieszy mnie to niezmiernie, gdyż po takiej bezsennej nocy ogarnia panią zawsze szła pracy.

— Śniadanie na stole, panie dyrektorze — powiedziała pani Brandstadter. Stała nieruchomo, ze smętną miną, jak hipopotam, któremu zabrakło wody.

Willy Kerze, dyrektor zakładów tworzyw sztucznych „Stabilator” w Uhlenhorst, liczący lat czterdzieści siedem, był człowiekiem olbrzymiego wzrostu, postawnym i zażywnym. Poruszał się przy tym jak niedźwiedź i miał potężny, tubalny głos. Na ogół głos ten brzmiał uprzejmie, nawet wtedy kiedy Willy Kerze stawiał żądania; jeżeli jednak nie były one z miejsca realizowane, wydawał z siebie straszliwy ryk, budząc tym ogólny postrach. Nic dziwnego, bo kiedy Willy Kerze ryczał jak lew, był także jak lew niebezpieczny.

Zdarzało się to jednak stosunkowo rzadko, a w porze śniadaniowej nigdy. Lubił proste życie na wsi — przynajmniej mówił o tym często i chętnie. Toteż gdy rano siadał przy stole, gdy spoglądał na okazały ogród i piękne jezioro, chciał się tym najmiłym kwadransiem dnia rozkoszować całą duszą.

Jak każdego ranka i dziś jadł śniadanie sam. Nie tylko to lubił, ale nie miał innego wyboru. Legalnej bowiem pani tego domu nie było. Pierwsza żona opuściła go w roku 1945, drugą przepędził w roku 1958. Nie odczuwał braku ani jednej, ani drugiej, w każdym razie tak sobie

wmawiał. Jedna nie mogła wytrzymać ubóstwa, druga zawiodła w bogactwie — do diabła z nimi!

Obie pozostawiły w jego życiu nie tylko ślady, ale i dzieci. Dziewiętnastoletnia Karen, produkt pierwszego małżeństwa, była bardzo piękna, bardzo rozpieszczona i nie można powiedzieć, żeby stanowiła wzór cnoty. Edukację otrzymała w jednym z najlepszych internatów szwajcarskich. Stałą przestrogą i wyrzutem z okresu nieudanego małżeństwa numer dwa był syn Konstantin, ośmioletni chłopiec o bladej twarzy, łagodny, marzycielski. Na szczęście niewiele odziedziczył po swojej matce, ale niestety także i niewiele po ojcu, jeżeli Kerze w ogóle był tym ojcem.

— Gdzie jest moja córka? — zapytał Kerze.

— Śpi jeszcze — odparła pani Brandstadter. — Mam ją obudzić?

Kerze potrząsnął z pobłażaniem głową. — Pocziwe dziecko — powiedział — ostatnio przepada za spaniem. No cóż, nie przeszkadzajmy jej w tym, dopóki sypia sama. A co robi Konstantin?

— Poszedł już do szkoły.

— Rzuciła choć pani okiem na jego ubranie? Sprawdziła pani, czy ma czyste ręce?

— Zastosowałam się do poleceń pana dyrektora. W tym tygodniu musi pójść do fryzjera.

— Dobrze. — Kerze przywiązywał dużą wagę do drobiazgów i cechę tę systematycznie w sobie rozwijał. Niech robotnicy myślą, że liczy każdą cegłę wyprodukowaną przez jego fabrykę. A u siebie w domu próbował podtrzymać sugestię, że uwagi jego nie ujdzie nawet strata szpilki. — Proszę przypilnować, żeby go ostrzyżono krócej. Nie jest przecież dziewczyną!

Willy Kerze uderzył łyżeczką w jajko, które się gotowało cztery minuty, posolił je i zaczął jeść. Tak, jego małżeństwa to były katastrofy — nie z jego winy; w każdym razie nie tylko jego należało czynić za to odpowiedzialnym. Okoliczności były nie sprzyjające. Poza tym nadużyto haniebnie jego zaufania i wspaniałomyślności — tak przynajmniej uważał.

Fabryka natomiast, do której teraz wyłącznie należało jego serce, rozrastała się i zwiększała swoją moc produk-

cyjną. Materiały budowlane z jego „Stabilatora” cieszyły się wielkim uznaniem na rynku Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej; poprzysiął sobie zrobić ze swojego zakładu firmę o marce światowej z filiami w Ameryce Południowej i na Bliskim Wschodzie. Początki jego były skromne. Zaczął z trzema robotnikami w roku 1946, tu nad jeziorem w Uhlenhorst, na peryferiach coraz bardziej rozkwitającego Rheine-Bergen, produkować w szopie prymitywne cegły. Teraz posiadał sześć supernowoczesnych hal fabrycznych, dwa magazyny z bocznicami kolejowymi, biurowiec i kantinę. Pod rozkazami jego pozostawało przeszło dwa tysiące pracowników i robotników. Był kimś!

— A gdzie jest gęsia wątróbka!

Tak, był kimś! Miał doskonale stosunki handlowe, należał do tych trzydziestu, czterdziestu miarodajnych ludzi w Rheine-Bergen.

Mimo to pani Brandstadter traktowała go czasami tak, jak gdyby to on był u niej zatrudniony, a nie ona u niego. Służyła w jego domu od lat przeszło piętnastu. Było to straszne babsko — zdemaskowała się jednak dopiero w ostatnich czasach. Ale była uczciwa, oszczędna, czysta. Dom jego błyszczał od czystości. A to było najważniejsze.

— Muszę jeszcze panu zakomunikować — oświadczyła właśnie — że dzwonił pan doktor Gisenius. Jest w drodze do pana.

— Tak wcześnie rano?! — zawołał Kerze zaskoczony. Odsunął na bok pasztet z gęsiej wątróbki. — To może mnie diablo drogo kosztować!

Dyrektor Willy Kerze udał się do swego gabinetu. Pomieszczenie to znajdowało się na uboczu i było stosunkowo niewielkie. Dominowało w nim masywne biurko, prawie zawsze puste. Zatelefonował do biura swojej fabryki. Naprzód zakomunikował, że się spóźni. Potem zażądał planów Targów

Budowlanych 1961, które miały się odbyć w Rheine-Bergen. Polecenia jego zostały błyskawicznie spełnione.

Czekając na swego przyjaciela Giseniusa, Kerze wykorzystywał czas w ten sposób, że przeglądał swoje konta prywatne. Czynność ta zawsze sprawiała mu satysfakcję. Jego sytuacja finansowa bowiem nie pozostawiała nic do życzenia. Rosły rezerwy, które prócz sukcesu materialnego miały mu przynieść jeszcze uznanie i szacunek. Był gotów zapłacić za to nawet horrendalną cenę.

Rozległo się nieśmiałe pukanie, w którym wyczuwało się prócz unізoności również respekt. Tylko pracownik pragnący zasłużyć sobie na przychyłność dyrektora mógł pukać tak nieśmiało. Kerze zawołał: — Wejść!

Wszedł Saffranski, jeden z buchalterów zakładów „Stabi-lator”. Na ogół nazywano go „plazem”. Tego rodzaju przezwiska były dyrektorowi Kerzemu całkowicie obojętne — jeżeli to ludzi pracujących w jego fabryce bawi, niech mają przyjemność.

— Plany dotyczące Targów Budowlanych, panie dyrektorze.

Głos Saffranskiego brzmiał jak głos wilka z bajki, który opchał się czymś niestrawnym. Buchalter rozglądał się badawczo dookoła. Ręce, w których trzymał plany, były niezwykle długie i białawożółte. Miało się wrażenie, że zamiast stawów mają guzy.

Willy Kerze wyciągnął rękę, wziął plan i rozpostarł go. Grubymi, zwartymi literami wypisana była na początku nazwa jego najbardziej reprezentacyjnego fabrykatu: Sta-bilator! Płyty ze sztucznego tworzywa, w sześciu wielkościach i kolorach. Lekkie, mocne, wiecznotrwałe. Pod tym jego stoisko wystawowe na Targach Budowlanych 61 w Rheine-Bergen — miniaturowy domek, utrzymany w śmiałych, plakatowych kolorach, prawie jakby go projektował znany artysta Paul Klee albo wielki architekt amerykański Frank Lloyd Wright. To wszystko było jednak pomyślane raczej jako przynęta, fasada, jako architektura mająca zjednywać i przyciągać. W samym stoisku natomiast przeważały elementy uznane, solidne, konserwatywne.

Na zewnątrz modnie, nowocześnie, wewnątrz na sposób praniemiecki przytulnie.

— Pozwoliłem sobie — powiedział Saffranski unizienie — zbadać sprawę kosztów związanych z wystawą.

— Czy dałem jakieś polecenie w tej sprawie? — zapytał Kerze ostrożnie.

— Chodzi raczej o pracę natury prywatnej, poza godzinami służbowymi. — Saffranski wciągnął głowę w ramiona. Oczy miał prawie zamknięte, nie widać więc było, że są niespokojne, rozbiegane. Ugniatając palce, wywodził dalej: — Wedle moich obliczeń istnieje możliwość zrobienia pewnych oszczędności. Przede wszystkim na wynagrodzeniu należącym się twórcy projektu, budowniczemu Pricklerowi.

— Jest drogi, to prawda, ale też coś potrafi.

— I ma wiele ambicji, panie dyrektorze. Proszę to wziąć pod uwagę. Zadzwońm do budowniczego Pricklera, oczywiście nieobowiązująco, i próbowałem go przekonać, że jego projekt nie wywołuje u nas zbytniego entuzjazmu. Dałem mu nawet do zrozumienia, że zastanawiamy się nad tym, czyby w ostatniej chwili nie zrealizować projektu innego architekta, jego konkurenta.

— Nieźle, wcale nieźle! — Kerze powiedział to z uznaniem; przypominał w tym momencie pogromcę, który ocenia swoją własną tresurę. — Jaka była jego reakcja?

— Taka, jakiej należało oczekiwać, panie dyrektorze. Architekt Prickler zabiega o swój prestiż i lęka się go utracić. Oświadczył, że wynagrodzenie to dla niego sprawa drugorzędna. Przede wszystkim chodzi mu o prezentację jego projektu. W ten sposób możemy zaoszczędzić co najmniej trzy tysiące marek.

— Pysznie, doskonale! — Kerze był zadowolony. — W nagrodę dziesięć procent dla pana. Tylko tak dalej, a nie pożałuje pan.

Długie, guzowate palce Saffranski ego zatrzeszczały, co było u niego oznaką wielkiego zadowolenia. Willy Kerze pożegnał swego pracownika niezwykle życzliwie. Był pewien, że może się po nim spodziewać jeszcze niejednego. I miał się co do tego nie mylić.

Mój drogi Willy — Gisenius powitał przyjaciela tak, jak gdyby ten powrócił właśnie z dalekiej podróży — cieszę się, że znowu jestem u ciebie! — Gdybyś zaczekał do południa — rzekł Kerze — spotkalibyśmy się na pewno na wystawie. Chyba otrzymałeś moje zaproszenie, prawda?

— Czy takie zaproszenie było w ogóle potrzebne?

Uśmiechnęli się do siebie. Wiedzieli, o co chodzi. Byli wypróbowanymi kolegami „po sporcie” uprawianym na boiskach spraw i interesów, wspólnie przedzierali się jak motocykliści przez dżunglę paragrafów, książeczek czekowych i patriotycznych cytatów.

— Chcesz czegoś? Koniaku, kawy, mleka?

Gisenius odmówił, jak zawsze z dobrze zainscenizowaną skromnością. — Przecież mnie znasz, mój Willy. Wcale nie tęsknię za tak zwanymi rozkoszami natury kulinarnej. Nie pragnę również żadnych innych rozkoszy, jakie daje życie.

— W takim razie tracisz wiele — rzekł Kerze z uśmiechem.

— Drogi Willy — powiedział Gisenius — przynajmniej mam prawo powiedzieć, że prowadzę życie stosunkowo wzorowe. Znasz przecież moje wyjątkowe trudności jak nikt inny. Ale czy ty choć widzisz ten dobry przykład, jaki usiłuję ci dawać? — Gisenius położył przyjaźnie rękę na ramieniu Kerzego. — Mimo takich wielkich obciążeń mam prawo twierdzić, że jestem bez zarzutu! A przy tym nie znajduję się, jak ty, pod obstrzałem opinii publicznej.

— Drogi przyjacielu! Sądzę, że rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Czystość, uczciwość! Zapewniam cię, że nikt mnie nie może posądzać o jakieś nieczyste sprawy. W ogóle nie ma we mnie nic podejrzanego-.

— Pięknie, bardzo pięknie. — Gisenius uśmiechnął się jak miłośnik kwiatów, któremu ktoś ofiarowuje rzadką roślinę. — I ja jestem pewien, że w dziedzinie interesów wszystko jest u ciebie pod względem prawnym bez zarzutu, ostatecznie byłem twoim doradcą. Nie należysz do tych, którzy obrabowują banki.

— Raczej należę do tych, którzy zakładają banki. Można na tym o wiele więcej zarobić, nie ryzykując jednocześnie zbyt wiele.

— W każdym razie — rzekł z uśmiechem Gisenius — czasami jest rzeczą mniej niebezpieczną pozbawić kogoś miliona niż na przykład jakąś istotę płci żeńskiej honoru. Można to robić tysiąc razy bezkarnie, jeżeli się jest nie-interesującym, szarym człowiekiem. Ale jeżeli jest się, żeby tak rzec, na widoku publicznym, jeden fałszywy krok może już być niebezpieczny.

— Możesz być spokojny! — zapewnił go Kerze. — Kobiety i wszelkie inne lekkomyślne wysoki już mnie nie interesują.

— Naprawdę?

— Daję ci na to słowo.

— No to tylko tak dalej! — Zabrzmiało to prawie tak, jakby powiedział cicho, ale zdecydowanie „szczęść Boże!” tuż przed rozpruciem kasy pancernej. — Wyjaśniliśmy sobie przesłanki, a teraz przejdźmy do spraw zasadniczych. A więc jestem gotów zaangażować się dla ciebie, to znaczy ręczyć za ciebie. Proszę cię, mój drogi, kawę na ławę. Czego ode mnie oczekujesz? Co chcesz osiągnąć?

— No więc — rzekł Kerze, nie ociągając się zbytnio, gdyż nawet w dziedzinie honoru potrafił robić doskonałe interesy — no więc Krzyż Zasługi i wybór do prezydium Związku Przemysłowców.

— Wszystko to dałoby się ewentualnie zrobić. — Gisenius sprawiał wrażenie, że intensywnie o czymś myśli; obliczał.

— Poza tym życzliwe poparcie partii w sprawach wewnętrznych.

— Ten punkt byłby najłatwiejszy. Mogę chyba powiedzieć, że jest nie do pomyślenia, żeby partia powzięła jakieś uchwały bez mojego współudziału.

Kerze kiwnął głową, jak gdyby to on miał oddać swój decydujący głos na Giseniusa.

— Masz moje całkowite zaufanie.

— Sekcja socjalno-kulturalna naszej partii obradowała wczoraj w hotelu „Unter Drei Kronen” do późnej nocy. Chodziło o wiadome ci szczegóły.

— Z jakim skutkiem?

— W zasadzie istnieje tendencja sprzyjająca spełnieniu naszych życzeń specjalnych. Ogólnie przy tym wiadomo,

że projekt ten przyniesie niemałe korzyści tobie, to znaczy zakładom „Stabilator”. Ale nie jest wcale wykluczone, że zyska na tym również dobro ogólne. Mimo to widziano by chętnie całkiem jednoznaczny, przekonywający dowód prawdziwego zainteresowania i szczerego zaufania. Ostateczną decyzję sekcja podejmie dziś w południe, bezpośrednio przed otwarciem Targów Budowlanych.

— Ile? — zapytał Willy Kerze otwarcie. — Trzydzieści wystarczy?

— Masz nie najlepszy zwyczaj upraszczania spraw, mój Willy. — Gisenius pouczająco podniósł w górę wskazujący palec. — Taki dar pieniężny, choćby był najbardziej pożądanym, nie może oczywiście wpłynąć na decyzję. Nie zobowiązuje partii do niczego, wystawia jedynie ofiarodawcy piękne świadectwo, dowodzi jego dobrej woli i umocni nas w zamiarze odpowiedzenia zaufaniem na zaufanie. Niezależnie od tego uważam, że trzydzieści tysięcy marek to wprowadzie już coś, ale pięćdziesiąt podziałałoby bardziej przekonywająco.

— Zrobione!

Kerze otworzył leżącą już przed nim książeczkę czekową i wypisał uzgodnioną przed chwilą sumę. Wszystkie inne rubryki były już przezornie wypełnione.

Gisenius wziął czek i z obojętną miną włożył go do swego portfela. Nie uważał za stosowane podziękować — chodziło przecież o dobry uczynek, który miał się Kerzemu dobrze opłacić i przy którym on, Gisenius, jedynie bezinteresownie pośredniczył. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zarobi przede wszystkim Kerze.

— Jeszcze jedno, drogi Willy, zanim przejdziemy do innych spraw. Twierdziłeś przed chwilą bardzo przekonywająco, że masz zamiar trzymać się obowiązujących w naszym mieckim życiu publicznym zasad przyzwoitości. Czy możesz jednak ręczyć za swoje otoczenie? Mówię teraz o twojej córce Karen. Wedle tego wszystkiego, co się słyszy, ma w sobie trochę za dużo witalności. Innych określeń, jak na przykład „nierozważna, bez hamulców”, wołał bym w tym kontekście nie używać.

i Kerzemu wydawało się, że jest węgorzem, którego na chwilę wyrzucono na piasek.

— Karen — powiedział — to typowy produkt swojej matki. Nic już na to nie można poradzić. Jej nieco lekkomyślny tryb życia wydaje mi się, żeby tak rzec, dziedziczny.

— Może za wcześnie zabrałeś ją z internatu?

— Nie miałem innego wyboru, Konradzie. Nie chciano już jej dłużej trzymać.

— Przecież istnieją jeszcze inne zakłady wychowawcze. Karen mogłaby na przykład uczyć się w Paryżu gotowania albo studiować w Rzymie sztukę. Dopóty przynajmniej, dopóki tutaj pewne sprawy nie zostaną wyjaśnione. W najbliższym czasie mają zapaść ważne decyzje, każda przeszkoda więc może być niebezpieczna. Trudno, nie można żyć w Rheine-Bergen tak, jak na Montmartre albo w St Tro-pez. A jeżeli już tak koniecznie chce się wyszaleć, jeżeli nie może inaczej, a ty nie potrafisz jej od tego odwieść, to się musi stąd ulotnić.

— Nie, ja widzę możliwość ujęcia w tryby energii Karen. — Na mięsistej twarzy Kerzego pojawił się uśmiech zadowolenia. — Wyjdzie po prostu za męża.

— Za kogóż to, jeżeli wolno zapytać?

— Za Bartoscha.

Gisenius przejawiał nagle wielkie zainteresowanie. Jak rybak, który widzi wyprężoną wędkę, zawołał:

— Masz na myśli starego radcę ministerialnego Bartoscha?

— Tak zwaną prawą rękę premiera naszego kraju związkowego. Przyjaciela i powiernika ministrów i dyplomatów. Wyraźnie szaleje za Karen, zdaje się, że dziś, jutro poprosi ją o rękę.

— To byłoby wspaniale! — rzekł Gisenius, wyraźnie ożywiony. — Byłoby to wręcz znakomite rozwiązanie.

— Podzielam całkowicie twoją opinię! Realizacja tego projektu mogłaby przynieść masę korzyści. — Kerze wyczuł u na ogół nieprzystępnego prawnika uznanie. Nappełniło go to wdzięcznością, więc dodał: — Korzyści nam obu.

— Czy zorientowałaś się już, Willy, co Karen myśli o twoich planach?

— Nie widzę, jeżeli o nią chodzi, żadnych specjalnych komplikacji. Lekkomysłna z niej bestia, to prawda, ale oddziedziczyła po mnie masę zdrowego rozsądku. I dlatego uda mi się ją przekonać za pomocą czegoś w rodzaju psychologii.

— A Bartosch? Jesteś pewien, że ma wobec niej poważne zamiary?

— Jestem tego prawie pewien. Pozwolił sobie wobec mnie na kilka niedwuznacznych aluzji. W gruncie rzeczy byłoby mi go nawet żal, gdyby coś z tego wyszło, bo Ka-ren jest nieobliczalna jako stado mułów. Ale ostatecznie to mężczyzna, który wie, co robi.

Przeszli do ogrodu. Potrzebne im było świeże powietrze, no i mały spacerek nie tylko sprzyja trawieniu, ale i kieruje myśli na inne tory. W ogrodzie natknęli się w pobliżu stawu z karpami na małego Konstantina. Ojciec zawołał go. Syn podbiegł do nich posłusznie.

— Lekcje odrobione? — zapytał Kerze.

— Tak — odparł grzecznie.

— Karmiłeś ryby?

— Nie — rzekł Konstantin. Widać było, że jest zakłopotany i że się boi. Żądania ojca, na które był ustawicznie narażony, sprawiały mu niemal fizyczny ból. — To zabronione.

— A ten chleb pływający po wodzie? Tyś go tam wyrzucił.

Konstantin nie umiał na to odpowiedzieć. Jego wielkie chłopięce oczy szukały wzroku Giseniusa i zdawały się prosić go o pomoc. A Le Gisenius przyglądał się obojętnie Willemu Kerze.

— Konstantin — rzekł ojciec surowo — chleb nie jest po to, aby go wyrzucać! Możesz go jeść, ile chcesz. Ale nie pozwalam ci zabierać go potajemnie, aby karmić nim psy lub ryby. Zapamiętaj to sobie! A teraz podaj panu doktorowi Giseniusowi rękę, oczywiście jeżeli jest czysta. Po wiedz dzień dobry, tak jak cię nauczono.

Konstantin — tak jak go zapewne nauczono — otarł rękę wyjętą pośpieszenie z kieszeni chusteczką. Potem wyciągnął ją w kierunku Giseniusa, skłonił się i powiedział:

— Dzień dobry, panie doktorze.

— Dzień dobry, Konstantin. — Gisenius powiedział to nie bez pedagogicznej serdeczności. — Mam nadzieję, że ci się dobrze powodzi. Nie przeszkadzaj sobie.

— Możesz odejść — rzekł ojciec. — Poczekaj, ja ci znajdę odpowiednie zajęcie. Mógłbyś oczyścić tamtą boczną ścieżkę. Może później tam przyjdę i zobaczę, jak się spisalesz.

Konstantin ulotnił się szybko i z wyraźną ulgą. Znikł za pierwszym krzakiem, aby zejść ojcu z oczu. Po chwili zatrzymał się jak tropiony zajęczek, który raz po raz wystawia z zaciekawieniem z trawy głowę. Doszło do jego uszu, co o nim mówią.

Willy Kerze mówił ze smutkiem:

— Chłopiec jest za miękki, nie dąży do żadnego celu. Musi się nauczyć być twardy.

Doktor Gisenius przyglądał się stojącej przy drodze brzozie. Nie wyraził ani aprobaty, ani protestu. Mimo to Willy Kerze czuł, że musi się bronić albo przynajmniej wytłumaczyć. Powiedział więc: — Spróbuj, Konradzie, mnie zrozumieć. Jeżeli jestem wobec chłopaka twardy, ale sprawiedliwy, to mam po temu swoje powody.

Miał istotnie po temu swoje powody. Gisenius znał je. Były one natury niezwykle kłopotliwej, niebezpiecznie było o nich nawet mówić, toteż Gisenius pilnie się tego wystrzegał. Uważał więc za wskazane zmienić temat.

— Ale, ale — powiedział — o mało nie zapomniałem, mój drogi, że chciałem ci opowiedzieć pewną dziwną przygodę, jaka się wczoraj przydarzyła naszemu przyjacielowi Karlowi Schulzowi.

Willy Kerze nie był od tego, aby pomówić o czymś innym. Myśl o prowokacyjnie porządnym i solidnym Schulzu nawet go nieco rozweseliła. Zapytał więc nie bez zainteresowania:

— Nasz Karl Schulz miał dziwną przygodę? Czy to w ogóle możliwe? Przecież to uosobienie solidności i drobnomieszczństwa. A może wyjątkowo wczoraj był pod gazem?

— I ja odniosłem takie wrażenie — zgodził się z nim na tychmiast Gisenius. — Zdaje się, że nawet Martin Hirsch jest tego samego zdania.

Ledwie Gisemus wymienił nazwisko Hirscha, już wiedział, że popełnił błąd. Nazwisko to padło za wcześnie i w jak najbardziej niewłaściwym momencie. Giseniusa utwierdził w tym mniemaniu posępny wyraz twarzy Kerze-go, który wyglądał teraz jak gradowa chmura.

— A więc i ty! — rzekł Willy ponuro. — I ty na widok mego syna myślisz o Martinie Hirschu. I ty przyjmujesz za pewnik to, czego ja się od lat domyślam.

— Bardzo cię przepraszam, ale pozwól, że cię skoryguję! — Gisenius uderzył teraz zupełnie świadomie w chłodny, powściągliwy, rzeczowy ton, którego stosowanie dawało dotąd znakomite rezultaty. — Wysuwasz twierdzenia bez żadnych dowodów, tylko na zasadzie swojej fantazji!

— Ale sam przecież widzisz! Wystarczy obserwować Konstantina, staje się coraz bardziej podobny do Hirscha.

— W twojej wyobraźni. Wmawiasz to sobie z uporem, czatujesz tylko na to, żeby się ktoś znalazł, kto by to potwierdził. Ulegasz własnej sugestii. Otóż chciałbym cię przed tym przestrzec. Poza tym nie mówię teraz o Martinie Hirschu, lecz o Karlu Schulzu.

Ale nie tak łatwo było przekonać Kerzego. Ostatecznie miał oczy i doskonale znał się na ludziach. Ostatnio coraz częściej przyglądał się Konstantinowi i coraz bardziej utwierdzał się w swym podejrzeniu. Pewne podobieństwo do Hirscha zdawało się istnieć naprawdę.

— Drogi przyjacielu — powiedział Gisenius tonem przyjacielskiej dystygowanej, ale jednoznacznej przestrogi — że każdy, komu się dobrze powodzi, ma wrogów, to rzecz zrozumiała sama przez się. Jeżeli jednak ktoś uporczywie stara się przysparzać sobie nieprzyjaciół, jest to więcej niż lekkomyślność. To po prostu błąd niebezpieczny dla życia. W zaufaniu zdradzę ci jedną z moich zasad: przyjaciele to wał ochronny, który należy systematycznie rozbudowywać. A pielęgnowanie koleżeństwa to jedna z najpewniejszych metod, jakie nam rzecz tę umożliwiają. Oto dlaczego cenię moich przyjaciół i jestem z nich dumny.

— Rozumiem. — Kerze udawał lekko skruszonego. — Spróbuj zapomnieć o tym, co przed chwilą powiedziałem. Opowiedz mi lepiej, co ten nasz kochany Schulz narobił.

— Przywidziały mu się duchy.

— Musiał być, jak już powiedziałem, pijany. Schulz ma słabą głowę, to nam wszystkim wiadomo. Kilka szklaneczek na pusty żołądek i wali się z nóg. Raz po pijanemu gadał z krową i próbował w nią wmówić, że powinna mieć zrozumienie dla tego, że ma być zarżnięta. Kiedy indziej znów wydawało mu się, że widział za krzakiem rodzaj archanioła z regulaminem w ręku.

— A tym razem — rzekł łagodnie Gisenius — utrzymuje, że widział Michela Meinersa.

— Zupełnie zwariował! — Willy Kerze powiedział to bez zająknięcia. — Albo zupełnie oszalał, albo był pijany jak bela.

— Coś podobnego, tylko innymi słowami, ja też mu powiedziałem.

— Chłop po prostu fantazjuje — rzekł Kerze. — Nikt nie był bardziej martwy od tego Meinersa i dobrze, że się tak stało. Chyba ty też jesteś tego zdania, prawda?

— Nie może istnieć inne zdanie w tej sprawie — powiedział stanowczo Gisenius. — Już najmniejsza wątpliwość byłaby próbą samobójstwa.

Aleś późno wstała! — powiedział Kerze do swojej córki Karen. — Naprawdę bardzo późno.

— To dlatego, że niezbyt wcześnie wróciłam do domu — odparła Karen z pobłażliwym uśmiechem.

Willy Kerze zagłębił się jeszcze bardziej w swym fotelu. Miał wrażenie, że poza kilku nieznacznymi przykrościami dzień ten nie przyniesie mu nic złego i chyba będzie dla niego pomyślny. Wszędzie korzystne zmiany. Ciepły deszczyk wiosenny, po którym bujnie zakwitną kwiaty.

Oto wydarzenia pocieszające: utarł nieco nosa swojej gospodyni, rozstrzygnął zgrabnie sprawę ostatnich przygotowań do Targów Budowlanych, dał synowi Konstantinowi naukę, nawiązał z Giseniusem wiele obiecujący kontakt i umocnił tym samym ich wzajemną przyjaźń.

Teraz siedział znowu w swym gabinecie, a przed nim jego córka Karen, którą zamierzał wtajemniczyć w pewne arkana swej dyrektorskiej polityki domowej. Nadchodził punkt szczytowy tego wielkiego dnia. Kerze sięgnął po słuchawkę telefonu i powiedział: — Proszę połączyć mnie z panem starszym radcą Bartoschem. Sprawa pilna i osobista. Czekam na połączenie.

Mówiąc to uśmiechał się do swojej Karen. Ona uśmiechała się również. Podciągnęła kolana pod brodę, jakby zamierzała w szerokim fotelu angielskim zwinąć się w kłębek.

— Mam nadzieję, mój drogi panie Bartosch — powie dział Kerze uprzejmie w słuchawkę — że dziś po oficjalnym otwarciu Targów będę miał zaszczyt, że tak powiem, ściśle prywatnie i osobiście powitać pana na moim stoisku. Cieszyłobyśmy się bardzo. To znaczy ja i córka moja Karen.

Mówiąc te ostatnie słowa Kerze spojrział na Karen z zaciekawieniem. Nie okazała ani aprobaty, ani niezadowolenia. Przyglądała się zmrużonymi oczyma swoim kształtnym rękoma i poruszała nimi tak, jakby się bawiła. Przypominała syjamską kotkę tuż przed usadowieniem się w najwygodniejszym miejscu kanapy.

— Moje drogie dziecko — rzekł Kerze po skończeniu rozmowy telefonicznej, która została przyjęta pozytywnie — w ostatnich czasach zastanawiałem się nad tobą.

— Ja też czasami to robię. — Karen powiedziała to trochę szyderczo. — I rezultat tego jest przeważnie niezbyt pocieszający.

— No, no! — Kerze próbował olśnić córkę wielkoduszością, żeby w ten sposób wzbudzić jej zaufanie. — Któż z nas jest bez wad i słabości, któż nie popełnia głupstw? Kiedy się o tym pamięta, można przejść nad niejednym do porządku dziennego.

— Mam się może wypowiedzieć, a potem oświadczyć, że żałuję?

— Zawsze okazywałem ci cierpliwość i pobłażanie, moja Karen. Swego czasu musiałaś opuścić liceum w Rheine-Bergen, ponieważ jedna z nauczycielek znalazła cię w toalecie nie tylko palącą papierosa, ale w dodatku z koleżanką.

— Uprawialiśmy biologię porównawczą. To u dziewcząt w tym wieku rzecz zupełnie normalna.

— Wiem o tym. Orientuję się co nieco w zagadnieniach seksualnych. Ale nie mówmy o tym. W każdym razie wtedy po raz pierwszy przyknąłem oko, niestety nie po raz ostatni. Posłałem cię do najlepszego, bo najdroższego internatu w Szwajcarii. Musiałś go opuścić. W czasie lekcji poszłaś do hotelu, w którym przyłapano cię z mężczyzną.

— Na szczęście tym razem z mężczyzną. To już był postęp.

— Z człowiekiem, który nie znał nawet twego nazwiska! — zawołał Kerze lekko wzburzony.

— Co ma z tym wspólnego nazwisko?

— Proszę cię, Karen, nie bądź jeszcze na dodatek frywolna. Przecież nie robię ci wyrzutów, nie jestem ani pamiętliwy, ani drobiazgowy. Stwierdzam tylko pewne fakty i domagam się, abys je traktowała poważnie. Idźmy dalej. Od trzech tygodni jesteś znowu w domu, próbuję wprowadzić cię do towarzystwa, i cóż się dzieje? Zjawia się u mnie właściciel podejrzanego lokalu podmiejskiego i prezentuje mi część twojej bielizny, którą wzdragam się wymienić.

— Były to moje figi. Zapomniałam je tam.

Willy Kerze poczuł się jak kierowca na oblodzonej szosie, któremu wóz zaczyna zarzucać. Nie chciał jednak wyrazić swego oburzenia ojcowskiego w sposób zbyt nieprzejednany. Powiedział więc łagodnie:

— Moja droga, i ja byłem kiedyś młody, i ja popełniałem masę głupstw, ale starałem się przynajmniej uważać. Nigdy nie byłem tak lekkomyślny, żeby dać się tak głupio przyłapać.

— No cóż, mam pod tym względem pecha — przyznała Karen.
— Ledwie sobie na coś pozwolę, już wszystko wyłazi na jaw. Możesz mi wierzyć, ojcze, naprawdę nie stało się wiele więcej, niż wiesz.

Willy Kerze zdecydowany był zachować cierpliwość. Spojrzał ukradkiem na zegarek — jak ten czas leci! Jeżeli ma zdążyć na otwarcie Targów w Rheine-Bergen, musi skrócić tę procedurę.

— Karen — powiedział niemal błagalnie — jeżeli cię do brze zrozumiałem, oskarżasz to wszystko, co cię w tego rodzaju niemiłe sytuacje wpędziło.

, — Na pewno nie czułam się z tym zbyt dobrze. I ja inaczej sobie wyobrażałam tak zwaną miłość.

— Czy zdajesz sobie z tego sprawę, że twoje ekstrawagancje rzucają cię również na moją opinię? Opinię, którą zdobyłem sobie z takim trudem, przede wszystkim dzięki żelaznej energii.

— Jeżeli tak mówisz, papo, to pewnie tak jest.

— Mam wielkie możliwości. Ale ostatecznie nie jestem jedynym Kerzem na świecie, bo jesteś jeszcze ty!

— Bardzo mi przykro!

— Nie ma ci co być przykro, Karen! Zachowuj się tylko odpowiednio.

— Jak mam to zrobić?

Kerze wstał, odetchnął głęboko. Doszedł właśnie do punktu decydującego. Czuł się jak człowiek, który ma jeszcze wziąć ostatni zakręt, po czym roztoczy się przed nim prosta jezdnia z betonu. A więc, gazu, gazu! Głos jego zabrzmiał niemal uroczyście:

— Ciągle mam przed oczyma twój obraz, moja Karen, kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką. Nosilem cię na rękach, mieliśmy wtedy tylko jeden pokój! Opowiadałem ci bajki, uczyłem cię grać w piłkę, w niedzielę spacerowaliśmy po lesie. Później, kiedy twoja matka nas opuściła, rzuciwszy się w ramiona jakiegoś żołdaka wojsk okupacyjnych (był to rzeczywiście jakiś żołnierzyna i nie przysiągłbym, że jest w porządku pod względem rasowym), próbowałem usypiać cię kołysankami. Pewnej nocy, kiedy już zasnąłaś, długo siedziałem przy twoim łóżku, wzruszony i zamyślony. Poprzysiągłem sobie wtedy: ta mała dziewczynka musi mieć piękną, szczęśliwą, beztroską, radosną przyszłość. Dziś już jesteśmy na tym etapie. Ale do całkowitego szczęścia brak jeszcze jednego.

— A mianowicie?

— Nie domyślasz się Karen? Oczywiście szczęśliwego małżeństwa!

— Z kimże to?

— Z kim chcesz! Oczywiście winien to być człowiek ho norowy, szanowany i wpływow. Krótko mówiąc, jest to dla ciebie najlepsza partia.

Karen podniosła się powoli i wyprostowała jak struna. W twarzy jej nie było ani cienia napięcia. Uśmiechnęła się nawet.

— Oczywiście dawno już odgadłaś, moja Karen, kogo mam na myśli.

— Będziesz mi to musiał sam powiedzieć, ojcze. Nie mam odwagi zgadywać twoich myśli.

— A więc, moje drogie dziecko, mam oczywiście na myśli Bartoscha. Starszego radcę ministerialnego Bartoscha.

Karen roześmiała się, i to tak niepohamowanie, że miało się wrażenie, że zerwała się jakaś tama. Od śmiechu łzy jej stanęły w oczach. Potem nagle ucichła i stała się niemal poważna. Powiedziała:

— Obawiam się, ojcze, że będzie to niemożliwe.

— Dlaczegoż to, do stu diabłów?

— Naprawdę nie domyślasz się, dlaczego? I nalegasz, żebym ci to powiedziała bez ogródek?

— Nalegam!

— A więc dobrze. Jeżeli tego wyraźnie ode mnie żądasz, niech będzie! — Po chwili milczenia powiedziała druzgocąco potulnie: — Obawiam się, ojcze, że ten Bartosch wcale nie jest zdolny do małżeństwa. Zadaje się z mężczyznami. Jest homoseksualistą.

Kerze popatrzył przerażony na swoją córkę. Miał wrażenie, że lekkomyślnie wpadł w kłębowisko żmij. Wyobrażał sobie, że zasadzi urocze kwiatuszki, a tu zamiast nich pojawiły się chwasty! Oniemiał.

Ale jego oszołomienie nie trwało długo, bo już po chwili zapytał ostro:

— Coś ty powiedziała? Czym jest ten łobuz?

— Homoseksualistą. Tak to przynajmniej określa sto siedemdziesiąty paragraf kodeksu cywilnego. Czy to dostatecznie zrozumiałe.

— Zostaw mnie teraz samego! — zawołał Kerze, trzymając się kurczowo biurka. — Że też musiałaś zadać mi jeszcze i ten cios! Bardzo mnie to ugodziło!

Wszystko składa się pomyślnie — szepnął Gise-nius swemu przyjacielowi Willemu Kerzemu. — Wszystko rozwija się zgodnie z naszymi życzeniami.

Kerze skinął pospiesznie głową. Spóźnił się kilka minut. Niezbyt dokładnie przestrzegał rozkładu swych zajęć. Uroczysta inauguracja Targów Budowlanych 61 już się rozpoczęła.

Było to przykre, ale miało i swoje dobre strony, bo dzięki temu dyrektor Kerze oszczędził sobie mechanicznego uśmiechania się do uśmiechających się twarzy. Absolutnie nie był w nastroju. Miał nieprzyjemne uczucie, że się porusza w błotnistej mazi. Dławił się od słów, które wypowiedziała Karen.

Wśliznął się szybko na zarezerwowane dla siebie miejsce — miejska orkiestra symfoniczna już grała. Z poważną miną, dostosowaną do uroczystości, ukłonił się dworsko kilku osobistościom. Potem, niby w skupieniu, zapatrzył się w próżnię.

Dyrektor Kerze umieszczony został oczywiście w pierwszym rzędzie. Należało mu się to jako cieszącemu się powszechnym uznaniem przedsiębiorcy i współinicjatorowi Targów. Znowu miał wyraźny dowód na to, że należy do najlepszego garnituru ludzi. Bo nawet tak ważna i wpływowa figura jak jego przyjaciel Gisenius siedziała w rzędzie drugim, bezpośrednio za nim.

Z tego miejsca Gisenius szepnął mu:

— Możesz sobie pogratulować! Wszystko przebiega naj-pomyślniej.

Człowiek taki jak Gisenius ani myślał oczywiście zakłócać sobie spokoju muzyką inauguracyjną. Grano Beetho-vena, i to tak głośno, że można było swobodnie rozmawiać. Fakt, że siedział w drugim rzędzie, nie był jeszcze powodem, żeby adwokat milczał jak zakłęty. Przesyłał swe szepty, żeby tak rzec, rozmaitymi kanałami. Od czasu do czasu zwracał się do swego sąsiada, posłusznie nadstawiającego ucha posła do parlamentu. Potem znów zwracał się do swego przyjaciela Kerzego i jemu to szepnął do ucha:

— Sekcja uznała wszystkie nasze sugestie za swoje. Wszystko, rozumiesz, Willy?

Willy Kerze kiwnął ociężale głową. Źle się czuł w swojej skórze. Puszczając mimo uszu Beethovena, rozmyślał nad homoseksualizmem, miłością ojcowską i mocą produkcyjną swojej fabryki. Te dręczące, aczkolwiek niełatwe do sprecyzowania myśli pochłaniały go całkowicie i twarz jego miała wskutek tego wyraz skupionej uwagi.

Uroczysty akt otwarcia Wzorcowych Targów Budowlanych 1961 odbywał się w jednej z trzech zbudowanych niedawno hal wystawowych. Beton, metal, szkło i oczywiście płyty ze sztucznego tworzywa, dostarczane po korzystnych cenach. Grono dostojnych gości przybyłe na otwarcie Targów otaczała atmosfera solidności i pewności siebie.

Gdziekolwiek spojrzeć — chorągwie, zaśnaniające surowe, nieco za monotonne ściany. Te kolorowe płachty miały za zadanie, wraz z orkiestrą, girlandami i kwiatami, pogłębiać uroczysty nastrój i wzniosłe uczucia. Pośrodku flaga państwowa, po bokach sztandar kraju związkowego i sztandar miasta. Na tym tle dostojni goście, siedzący szeregami jak kury na grzędzie. Ale prawie wszyscy czuli się kogutami. Brali udział! Siedzieli na prawo od ministra, na lewo od ministra, za ministrem. Byli przedstawicielami czegoś tam, wszystko jedno czego, byli miarodajni, ważni, decydujący. Bez nich uroczystość otwarcia byłaby niepełna. Bez nich nie mogłaby się w ogóle odbywać uroczystość otwarcia. Stanowili pępek świata.

Słuchali Beethovena. Usłyszą ministra. Ale we wszystkim słyszeli siebie samych.

Zaczęły się przemówienia oficjalne. Jako pierwszy zawładnął mównicą honorowy funkcjonariusz Związku Przemysłowców, cieszący się przejściowo tytułem „dyrektora Targów”. Witął obecnych, odczytując równocześnie wypisane skrupulatnie na liście nazwiska.

Gisenius skorzystał ze sposobności i szepnął Kerzemu:

— Praktycznie potrzebna nam jest teraz już tylko zgoda premiera. Chyba wobec nowej sytuacji nie będziemy mieć z tym trudności, co? Wymienię tylko nazwisko Bartosch!

Willy Kerze spuścił głowę. Można to było poczytać za gest aprobujący, i tak też to zinterpretował sobie Gisenius. Siedzący z tyłu przyjaciel Kerzego nie mógł przecież wiedzieć ani nawet się domyślać, jaki gigantyczny ciężar przyginała barki fabrykanta.

Kerze zerkał ukradkiem w kierunku środka swego rządu, gdzie siedzieli nadburmistrz ze swoim referentem do spraw budowlanych, minister gospodarki ze swym podsekretarzem stanu, premier ze starszym radcą Bartoschem. Johannes Bartosch, jeszcze przed dwiema godzinami kandydat na zięcia, a od godziny katastrofalne rozczarowanie!

Kerze przyglądał się Bartoschowi spod przymkniętych powiek. Był to pan w czerni, wysmukły, elegancki, wytworny, w średnim wieku. Widział jego lśniące, wydłużone, bardzo wąskie lakierki, błękitne jedwabne skarpetki, wspaniale zaprasowane spodnie, wysmukłe, niewątpliwie cudownie wymanikiurowane ręce, trzymające teczke z najdelikatniejszej skóry, krawat z surowego jedwabiu, błękitny jak skarpetki, widział jego energiczną twarz sportowca, przypominającą twarz stojącego na rydwanie Rzymianina.

Kerze przyglądał się temu wszystkiemu z dokładnością badacza, jak gdyby chodziło o przestudiowanie ważnego planu budowlanego. Szukał zawzięcie oznak miękkości, ciepła, zniewieściałości. Nie znalazł ich. Ten człowiek był jak posąg! Czyżby Karen się myliła?

Tymczasem skończył już swe przemówienie nadburmistrz. Na mównicę wszedł premier kraju związkowego.

— Teraz może być ciekawe — szepnął Gisenius. — Prze mówienie to bowiem ułożył nasz Bartosch! — Powiedział wyraźnie: nasz!

Ta opracowana przez Bartoscha mowa na razie niewiele różniła się od przemówienia nadburmistrza. Następną z kolei mowa ministra gospodarki tego kraju też będzie na pewno podobna. Na głowy obecnych sypały się ogólniki i banały: uzasadniona duma z własnej działalności, praca plus energia, plus rzetelność to podstawy powodzenia, uroczyste zobowiązania na przyszłość. I tak dalej, i tak dalej.

— Mimo to i wbrew wszystkiemu — wołał teraz premier — nie wolno nam zapominać o jednym i jedno musimy

stwierdzić z uznaniem i wdzięcznością, szanowne panie i szanowni panowie, a mianowicie, że niektórzy z naszych przedsiębiorców, fabrykantów i planistów gospodarki dokonali wyczynów wręcz bezprzykładnych. Mam tu na myśli przede wszystkim tych, którzy dzięki swej niezmiordowanej pracy i niewyczerpanej pomysłowości wyczarowali, że tak powiem, jak spod ziemi nowe gałęzie przemysłu. Są to ci, którym udało się dzięki wielkiemu wysiłkowi i ofiarności nie tylko stworzyć nowe gałęzie gospodarki, ale jeszcze zwiększyć w sposób wzorowy pod względem socjalnym moc produkcyjną naszego ukochanego kraju.

W tym momencie rozległy się oklaski, dyskretnie zainspirowane przez Giseniusa. Premier wykorzystał tę sprytnie stworzoną, budującą przerwę i wypił trochę stojącej przed nim wody mineralnej. Nie omieszkął przy tym spojrzeć znacząco w stronę dyrektora Kerzego. Kerze wyprostował się, pełen dumy i wdzięczności zarazem.

A Gisenius, który w tych momentach klaszczącego uznania nie musiał mówić szeptem, powiedział z zadowoleniem:

— No widzisz! Na tym Bartoschu można polegać! Umie współpracować!

Kerze skinął głową. Rzęsiste oklaski wyrwały go z odrętwienia. Uprzejmy uśmiech premiera z podium równał się wyróżnieniu, był niemal odznaczeniem. I ożywił go na nowo, tak jak i wiadomości wyszeptane przez Giseniusa.

Tak więc Kerze pomyślał: To, co Karen utrzymuje o Bartoschu, nie może być prawdą! Zaszło na pewno nieporozumienie, ktoś się pomylił, rzucił oszczerstwo. Człowiek taki jak Bartosch jest zbyt wartościowy, aby go w lekkomyślny sposób wypuścić z rąk. Jeżeli ma (on, Kerze!) osiągnąć swoje wielkie cele, Bartosch jest mu potrzebny. I ponieważ rzeczywiście tak było, Kerze poszukał oczyma spojrzenia Bartoscha. Pozdrowili się dystygnowanym skinieniem głowy, a równocześnie serdecznie.

— Całkowity sukces! — wyszeptał ogromnie zadowolony Gisenius. — Można na tym domy budować!

Tak jak się tego spodziewali, mowa ministra gospodarki, optymistyczna i podniosła, była również naszpikowana obietnicami. Ale wygłaszał ją przynajmniej prawdziwy,

miarodajny minister. Słowa jego były wytarte jak skóra, a mimo to zdawało się, że idą z nich skry. Na ogół panowało przeświadczenie, że minister nie należy do zwykłych śmiertelników. Nawet ci, którzy podczas jego przemówienia ziewali, czynili to z respektem.

Z uczuciem ulgi zainonowano wreszcie niemiecki hymn narodowy. Willy Kerze, który znowu ujrzał na swym horyzoncie blask jutrzeńki, śpiewał z przejęciem i uczuciem. Tyle tylko, że tekst pierwszej strofy, a nie, jak to ostatnio weszło w zwyczaj, trzeciej. Ale nikt tego nie zauważył — miejska orkiestra symfoniczna zagłuszała wszystko.

Po oficjalnym otwarciu Targów wybitne osobistości rozpoczęły obchód stoisk, co przyniosło Kerzemu tylko dalsze owacje. Minister gospodarki z wielkim zainteresowaniem zatrzymał się przy stoisku „Stabilatora”, podał Kerzemu rękę i oświadczył głośno i wyraźnie:

— Niech mi wolno będzie pogratulować panu, panie dyrektorze, i wyrazić moje uznanie. Bez takich ludzi jak pan nie bylibyśmy dziś tak daleko, jak jesteśmy.

Podobnie ciepło i serdecznie uścisnął Kerzemu dłoń podsekretarz stanu. Zaszczycili go również uściskiem ręki nadburmistrz, premier i różni inni panowie.

Potem zjawili się najbliżsi przyjaciele. Miejsce i godzina tego spotkania okazały się szczęśliwie wybrane. Oficjalne osobistości już się oddaliły, pospolitego, szarego tłumu zwiedzających jeszcze nie było. Bramy Targów Budowlanych 61 miały się otworzyć dla szerokich mas dopiero po południu. Do tej pory wystawcy mieli czas na pogawędki z najbliższymi przyjaciółmi, znajomymi i krewnymi.

Kerze przebywał w głębi stoiska, w specjalnej niszy, która miała służyć do rozmów o charakterze bardziej poufnym. Na froncie przy stoliku czatował już na pierwszych interesantów gorliwy Saffranski, choć wiedział, że nie zjawią się oni prędzej niż za godzinę. Żarliwość ta cieszyła Kerzego.

— Tylko tak dalej, moj Saffranski! — zawołał zachęcająco. — Zobacz pan, że pan tego nie pożałuje.

Buchalter skłonił się nisko, pełen wdzięczności i oddania. Potem Kerze udał się do swojej niszy, żeby przypilnować ostatnich przygotowań do przyjęcia przyjaciół i kolegów. Szampan dla smakoszków, wódka dla pijaków normalnych, gorzałka dla tych, którzy lubią wypić więcej. Do tego cygara hawanskie i zwyczajne niemieckie. Amatorzy papierosów muszą palić swoje własne.

Jak należało się spodziewać, pierwszy zjawił się Konrad Gisenius. Uśmiech, jakim przywitał Kerzego, można było nazwać poufny. Zagłębiwszy się w najwygodniejszym fotelu, powiedział:

— Twój czek, Willy, jest już w odpowiednich rękach. Zobaczysz, że wielkoduszność i zaufanie się oplacają.

— Miejmy nadzieję.

— Na pewno, Kerze! Przez cały ten czas nie siedziałem beczynnie. Sondowałem.

— Rezultat?

— Krzyż Zasługi!

— Dostanę go?

— To więcej niż pewne.

Kerze był przejęty. Zobaczył się blisko swoich celów. Z wdzięcznością, bez słowa, wyciągnął rękę do Giseniusa. Ten ciągnął dalej:

— Minister poczytywać będzie sobie za zaszczyt, jeżeli będzie mógł wręczyć ci to odznaczenie osobiście. Pomysł ten zawdzięczamy Bartoschowi, pocziwiec naprawdę nie mało się natrudził. Coraz bardziej umacniam się w przekonaniu, że będzie doskonałą partią.

Willy Kerze rozejrzał się przezornie dookoła, jakby się chciał upewnić, że nikt nie podsłuchuje. Potem pochylał się ku Giseniusowi.

— Powiem ci w zaufaniu, Konrad, doszły mnie słuchy, że ten człowiek jest homoseksualistą. Co o tym sądzisz?

Gisenius podniósł głowę jak węszący pies. Był wyraźnie zirytowany.

— Kto ci tego nagadał?

— Karen.

- Skądże ona to może wiedzieć?
- Twierdzi, że wie.
- Czyżby wypróbowała już na sobie? A może po prostu wysłała to sobie z palca tylko po to, żeby nie musieć wyjść za Bartoscha za męża? Jedno i drugie wydaje mi się mocno nieprawdopodobne. Czyżbyś nie miał odpowiedniego autorytetu? Czyżbyś nie potrafił tak przedstawić swoich poglądów, by je uznała za swoje?

— No tak, Konradzie... A gdyby ten człowiek naprawdę zdradzał takie skłonności.

— Ależ, Willy! — Gisenius nie ukrywał teraz, że jest rozgniewany. — Gdyby nawet tak było, nie ma choroby, która by była nieuleczalna. Poza tym zapytuję: czy przez to zmieniają się jego kwalifikacje, wpływy, przydatność dla dobrej sprawy?

Do dalszej wymiany słów na ten drażliwy temat nie doszło. Zjawił się bowiem Karl Schulz. Niedźwiedziowato, z jowialną miną, niemal pękając z zadowolenia, podszedł do obu i mocno uściśnął ich prawice.

— Budująca wystawa! — zawołał do Giseniusa. Potem zwrócił się do Kerzego: — Zdobyłeś się na istne cudo, mój drogi! Znasz się na interesie, nie ma co!

Obaj wiedzieli, że poczciwy, rzetelny, solidny Schulz należał do ludzi, do których stosuje się powiedzenie: co w sercu, to na języku. Zwykł był mówić, co myślał, tylko że czasami nie miał własnego zdania. W tych przypadkach przyłączał się, jako człowiek tolerancyjny, do zdania innych.

— No cóż z twoimi duchami, stary?! — zawołał Kerze i klepnął go po plecach. — Czego się napijesz?

— Mam jeszcze dosyć od wczoraj! — rzekł Karl Schulz, uśmiechając się do Giseniusa, który siedział zagłębiany w fotelu i oglądał swe ręce.

— Właściwie powinienem być ci wdzięczny — rzekł Gisenius łagodnie, nie podnosząc wzroku. — Doszło bowiem do mojej wiadomości, żeś wczoraj uszczuplił znacznie zapasy mej żony, przez co zrobiłeś coś niecoś dla jej zdrowia.

— Biedna ta twoja żona! — zawołał Schulz współczująco.

— Jest naprawdę godna ubolewania i rzecz oczywista bo leję nad nią.

— Daj spokój, Karl. — Gisenius powiedział to jeszcze łagodniej niż słowa poprzednie. — Może w gruncie rzeczy to i dobrze, że człowiek o takim zmyśle obserwacyjnym i tak dyskretny miał okazję przyjrzeć się temu, z czym usiłuję jakoś się pogodzić. Może teraz znajdę więcej zrozumienia.

— Zawsze rzetelnie się staram — wybąkał Schulz — i chciałbym, żeby można było zawsze na mnie liczyć.

— Robimy to, Karl, liczymy się z tym. Ale teraz pomówmy o czym innym. Naprawdę, mój stary, widziałeś duchy?

— Jeszcze jakie! — Schulz doszedł już do tego, że na całą tę sprawę zaczynał patrzeć jak na coś komicznego. To, co jeszcze wczoraj było katastrofą, huraganem, oberwaniem się chmury, dziś wyglądało na przelotny deszczyk. — Pomyślałem sobie: człowieku, to przecież niemożliwe! No bo cóż zobaczyłem? Gębę tego nieszczęśnika Meinersa! Ta sama blada twarz, że aż rzygać się chce, te same sowie oczy! Byłem jak rażony piorunem.

— Dajmy temu spokój! — zażądał Gisenius. — To do niczego nie prowadzi.

— Ale cała ta historia jest naprawdę bardzo komiczna — stwierdził Kerze. Nawet go to rozbawiło. — Jakże można widzieć coś, czego nie ma! To prawie tak jak z filmem wojennym na ekranie. Udają, że zdychają, a potem inkasują honoraria! Albo kiedy w kinie dwoje wchodzi do łóżka; wiadomo, że to udawanie, a jednak człowiek coś tam sobie wyobraża! Jak to zwykł był mawiać szef naszej kompanii? Na widok wypiętego tyłka niejedno przechodzi do głowy!

— Tak, moi drodzy — rzekł Schulz, sięgając odruchowo po kieliszek — to były czasy!

Czwartym z dobranej kompanii był Ludwig Frammler. Podszedł do Kerzego z gracją słonia. Jego cielsko, ważące dwa i pół cetnara, spowite było w zrobiony na miarę tużu-rek. Kwiat tkwiący w klapie oraz śnieżnobiała chusteczka wystająca z górnej kieszonki sprawiały, że wyglądał uroczyście, ale i pogodnie zarazem. Choć jego puciołowata gęba uśmiechała się promiennie, miało się wrażenie, że

pan Frammler wypowie za chwilę słowa głębokiego współczucia. Sprawiał zawsze takie wrażenie, żeby tak rzec, że względu na zawód. Był bowiem właścicielem znanego zakładu pogrzebowego „Boden und Feuer”.

— Drogi Kerze — rzekł z namaszczeniem, wyciągając obie ręce — pozwól złożyć sobie głębokie... co ja mówię, najserdeczniejsze życzenia. Możesz być pewien, że szczerze się twoimi sprawami interesuję. Możesz zabrać ze sobą przeświadczenie...

— Dokąd? — zapytał Kerze ubawiony. — Chyba nie do grobu? Mam. jeszcze na to czas!

— No, no, nie bądź taki pewny! — Frammer zaczął snuć refleksje natury handlowej. — Śmierć przychodzi prędzej, niż się sądzi. A twój tryb życia nie jest wcale najzdrowszy, co mnie oczywiście nic nie obchodzi, choć powinienem się z tego cieszyć. Ale nie mam nawet cienia tego zmysłu do interesów co ty!

— Skończmy z nekrologiem! — zawołał Kerze wesolo. — Chcesz się czegoś napić?

— Żytniówki — odparł Frammler bez długiego namysłu. — Ale w kieliszku od szampana. Więcej się zmieści i lepiej wygląda, a ostatecznie chodzi tu przecież o twoją reputację.

Z podobną serdecznością powitał Frammler Giseniusa i Schulza. Był tu mile widziany, nie jako właściciel zakładu pogrzebowego, lecz jako kolega, który może się jeszcze przydać. Nawet po śmierci można było na niego liczyć.

Wkrótce po Frammlerze zjawił się Bennicken senior. Nazywano go przedsiębiorcą przewozowym, ale w rzeczywistości był i pozostał taksówkarzem. Nawet ubrany był odpowiednio do tego: skórzana kurtka, szalik, czapka z daszkiem. Wszystko w ciemnych kolorach: ziemiste, zielone, szaroniebieskie. Swych olbrzymich, wytartych, przepocowanych rękawic skórzanych nie zdejmował prawie nigdy.

Średniego wzrostu, krępy, przysadzisty, podobny do szafy pancерnej wśród blaszanych puszek, przepychał się Bennicken ku obecnym. Miało się wrażenie, jak gdyby czekał, by mu podano rękę, a kiedy ją wyciągano, chwycił ją mocno i kłaniał się szybko jak marionetka. Wysławiał się

niezrozumiale, mrucał coś tam pod nosem, ale otoczenie uważało to za całkiem wystarczające. Wziął podany mu kielich i stanął nieco na uboczu.

— No i cóż, mój drogi Bennicken, jak tam idą interesy? — zapytał Gisenius.

— Idą. Pięknie dziękuję.

— A więc jesteśmy prawie w komplecie — stwierdził Schulz. Uważał wypowiedzianie stwierdzeń tego rodzaju za swoje zadanie, gdyż jako były kapral był w tej grupie najstarszy stopniem. — Brak jeszcze tylko naszego przyjaciela Hirscha.

— Jak zwykle — rzekł Willy Kerze. Nazwisko Hirsch działało na niego jak czerwona płachta na byka. — Widocznie nie przykłada do naszego towarzystwa zbytnej wagi.

— Ależ, moi drodzy — powiedział Gisenius pojednawczo — po prostu coś mu stanęło na przeszkodzie. Przecież bankiet dla honorowych gości Targów ma się odbyć w hotelu „Unter Drei Kronen”.

— Tak jest! — przytaknął Bennicken. — Polecił mi, abym go przed wami usprawiedliwił.

— No więc! — zawołał Gisenius pojednawczo.

— W każdym razie — upierał się Kerze — jeżeli ten Hirsch chciał się w ogóle usprawiedliwić, to powinien był to zrobić przede mną. Przecież ja jestem gospodarzem!

— Koledzy! — zawołał Schulz. Pod wpływem spojrzenia Giseniusa poczuł się zobowiązany do przywrócenia nieodzownego tonu ciepła i serdeczności. — Nie warto na ten temat dyskutować! Przyznaję, że ten nasz Hirsch nie jest wzorem dyscypliny, ale to dobry kolega, tylko nie zawsze potrafi to okazać. Winniśmy być wielkoduszni! Wytlumaczył się, koniec, kropka.

— Dobrze już, dobrze — wykrztusił z siebie Kerze pod wpływem spojrzenia Giseniusa.

— No więc! — Schulz promieniał, jakby na zabawie wygrał główny los na loterii. Miał pewien pomysł. Pomysł ten był jego skromnym zdaniem wręcz stworzony do tego, aby wywołać ogólną wesołość. — Ostatecznie cała ta sprawa nie jest taka tragiczna, obojętnie, czy chodzi o bankiet, czy

o jedną z tych pikantnych dziewczyn, które nie potrafią się naszemu Hirschowi oprzeć.

— No, no — rzekł Frammler z powątpiewaniem w głosie. Nietrudno było zgadnąć, że ma zamiar podziałać prowokująco. — Ale chyba nie w południowej porze!

— U naszego Hirscha niejedno jest możliwe — rzekł Schulz. Był zdecydowany podtrzymać serdeczny nastrój.

— Zwłaszcza gdy chodzi o istoty płci żeńskiej.

— Zgadza się — przytaknęła Bennicken.

— Skąd ty możesz coś o tym wiedzieć? — zapytał Frammler z zaciekawieniem.

— Mam taksówkę — odparł Bennicken. — Wożę je.

— Ale przecież nie w południe! — Temat ten bardzo Frammlerowi odpowiadał, uważał go za rekompensatę duchową za swoją działalność w charakterze grabarza. Płodzenie i śmierć były dla niego koniec końców partnerami

— im więcej ludzi, tym więcej klientów. — Wygląda na to, że ten Hirsch ma zamiar pozostać kawalerem do końca życia. Może to mieć swoje dobre strony.

— Jeszcze jakie! — rzekł Schulz znacząco. — Gdybym wam opowiedział jedną historyjkę, toby was krew zalała.

— No to jazda! — zawołał zachwycony Frammler. — Do bronii! Strzelać ostrymi nabojami!

— Nie wiem właściwie... — Schulz udawał, że się ociąga.

— Ostatecznie zebraliśmy się tutaj po to, aby uczcić naszego Kerzego.

— Ależ on za takimi historiami przepada! — zawołał Frammler. — Prawda, Willy?

— Dlaczegoż by nie? — W gruncie rzeczy Kerze nie był od tego, aby usłyszeć o Hirschu coś lekko skandalicznego. Im bardziej wychodziły na jaw wątpliwe cechy charakteru Hirscha, tym bardziej uwydatniała się na ich tle solidność Kerzego. — Masz coś przeciwko temu? — zwrócił się do Giseniusa.

— Jeżeli o mnie chodzi — rzekł zapytany pobłaźliwie

— to każdy może się bawić, jak chce... tak długo, dopóki nie zacznie zagrażać przez to ogółowi. Ja jestem tolerancyjny, jak wam wiadomo.

— Ja także! — zawołał Bennicken. — I to jeszcze jak!

— A więc, koledzy! — Schulz był zupełnie pewien, że uda mu się rozerwać przyjaciół w sposób dla nich najmiłszy. — Przede wszystkim proszę o dyskrecję. — Rozparł się wygodnie w fotelu, chrząknął znacząco, spojrzął na obecnych, rzucił badawcze spojrzenie na halę, aby sprawdzić, czy nie zbliża się ktoś niepowołany. Na szczęście obecni byli tylko powołani. — A więc — powiedział wreszcie — sprawa wyglądała tak: wczoraj, powody nie mają tu nic do rzeczy, wypilem trochę za dużo. Byłem tak zalany, że miałem ochotę zwalić się gdzie bądź. Wylądowałem wreszcie w sypialni Hirscha. Nieważnie, jak się tam dostałem. Faktem jest, że tam leżałem.

— Sam? — chciał wiedzieć Frammler.

— Oczywiście, że sam. Ostatecznie jestem prawie zaręczony.

— To nie jest przeszkoda — powiedział Frammler — lecz co najwyżej wykręt.

— Co tu dużo gadać, leżałem!

— To już wiemy} — Kerzego także zaczęło powoli zaciekawiać, co też tym razem ten Hirsch nabroił. — I co dalej?

— Zbudziłem się, może od światła, a może dlatego, że się wyspał, tego sobie już tak dokładnie nie przypominam. W każdym razie leżałem w ciemnościach. Ale w pokoju sąsiednim paliło się światło, i tam właśnie zobaczyłem dziewczynę. — Schulz zamilkł na chwilę na to wspomnienie. — Ależ to była dziewczyna! Powiadam wam...

— Cóż w tym nadzwyczajnego? — Frammler był rozczarowany. — Kobiety stanowią przeszło połowę rodzaju ludzkiego.

— Ta dziewczyna właśnie się rozbierała.

— Aha! — zawołał Bennicken.

Reszta zamarła w oczekiwaniu, nawet Gisenius wydawał się zaciekawiony. Kerze wychylił z przyjemnością swój kielich. Frammler wyglądał na zachwyconego. A Bennicken spoglądał przed siebie jakby w oczekiwaniu wypadku samochodowego.

— To była dziewczyna, koledzy! — zawołał Schulz.

— Jakby wyrwana z ilustrowanego magazynu. Ale z ciała i krwi, i to z jakiego ciała! Młodziotka pantera o włosach

jak żyto i skórze, jaką zwykły miewać tylko dzieci. Prosto na nią padało światło, stała jak pod reflektorem. Nic nie uszło mojej uwagi, nic!

— Daj spokój z poezją! — rzekł Frammler podniecony. — Przejdź wreszcie do szczegółów.

— Jestem dżentelmenem — rzekł Schulz rozmarzony.

Nastąpiły gwałtowne protesty. Gisenius nie uczynił absolutnie nic, aby poskromić to gwałtowne zainteresowanie swoich przyjaciół, tyle tylko że zachowywał się tak, jakby stał ponad tym wszystkim. Kerze jednak domagał się szczegółów. W żadnym teatrze świata kurtyna nie może opaść w czasie trwania akcji.

Schulz spojrział z uśmiechem na kolegów, potem powędrował wzrokiem w stronę hali; ciągle jeszcze tropił niepowołanych. Nagle skamieniał. Zupełnie jakby zamienił się w słup soli. Na twarzy jego malował się wyraz dzieciennego zdumienia. Zawołał: — Ja chyba oszaleję!

— To ci się może zdarzyć — rzekł Frammler. — Upieczemy cię na rożnie, jeżeli nie wyświetlisz nam do końca swego niemoralnego filmu.

— To ta dziewczyna! — wykrzyknął Schulz z zachwytem i jednocześnie z niedowierzaniem. — Dziewczyna, która się gimnastykowała w sypialni.

— Gdzie?! — zawołali jak jeden mąż obecni. — Gdzie, człowieku?

Wszyscy się podnieśli. Z wyjątkiem Bennickena, gdyż ten już stał. Podeszli do szklanej ściany i zaczęli wypatrywać przez nią. Przez halę kroczyła w kierunku stoiska „Sta-bilatora” niezwykle atrakcyjna dziewczyna.

— Aaa! — zawołali fachowo i z uznaniem.

— Do pioruna! — rzekł Willy Kerze głosem przypominającym szczekanie psa. — Przecież to Karen, moja córka!

— Nie we wszystko, co się mówi, należy wierzyć — powiedział Gisenius z wielkim trudem. — To, co się komuś zdaje, że widział, nie musi być wcale prawdą.

Jak zawsze i tym razem był Gisenius czymś w rodzaju piorunochronu, którego zadaniem jest ochranianie i łagodzenie. Jak chciał, potrafił zrobić z eksplozji atomowej zja-

wisko całkiem normalne, a z wojny światowej omyłkę łatwą do wybaczenia. Miał autorytet, ot w czym rzecz.

— Przykre, bardzo przykre — pomrukiwał Frammler. — Ale można ryczeć ze śmiechu.

Męski, głośny, radosny nastrój ustąpił miejsca przygniatającemu zakłopotaniu. Kerze polecił swej córce, od której jego koledzy nie odwracali oczu, aby zawróciła i czekała na niego w restauracji Targów. Schulz, spocony jak mysz, próbował różnych wyjaśnień i tłumaczeń. Niestety jego uczciwość, którą miał wprost wypisaną na czole, nie pozwalała mu uciec się do zbawiennego kłamstwa. Obstawał twardo przy tym, co powiedział. Lekkomyślnie, ale powiedział.

— Przypuścmy, że była to pomyłka — rzekł niepewnym głosem Gisenius.

Nie potrzebował wcale rzucić kolegom rozkazujących spojrzeń, bo od razu spotkał się z ogólną aprobatą. Jego towarzysze usiłovali uniknąć dalszych komplikacji. Udawali obojętnych, mieli takie miny, jakby ich ta cała historia nie interesowała.

— Przykro mi — powiedział Schulz na odchodnym.

— Ale czasami może się coś takiego zdarzyć.

— W gruncie rzeczy — rzekł na pożegnanie Frammler

— zmarli interesowali mnie zawsze bardziej niż żyjący. No bo cóż to takiego? Wykolejenie, fałszywy krok! Dopiero gdy taki krok prowadzi do utraty życia, dopiero wtedy może mieć dla mnie jakieś znaczenie.

— Dom wariantów — mruknął Bennicken i poszedł sobie.

Kerze i Gisenius zareagowali na odmarsz kolegów różnie. Gisenius znowu okazał się tym wielkim znawcą wszystkiego, co ludzkie — nic już nie potrafiło go zaskoczyć. Kerze usiłował zrobić wszystko, żeby jego rubaszna nie-wzruszoność wyglądała prawdopodobnie.

— No pięknie — powiedział wreszcie. — Człowiek jest piłką we władzy swoich popędów, zwłaszcza w młodości. Ale dlaczego, u diabła, musi to być akurat ten Hirsch!

— I to się wyjaśni i da wytłumaczyć — rzekł Gisenius uspokajająco. — Nawet gdyby miały się sprawdzić twoje najgorsze obawy, zawsze to jeszcze można zręcznie wykorzystać jako środek do celu.

— Rozerwę tego Hirscha na kawałki! — wrzasnął Kera», dygocąc na całym ciele.

Gisenius potrząsnął z wyrzutem swoją głową ascety.

— Bierz wszystko z tej najlepszej strony! — powiedział. — A najlepsze jest w tym wypadku to, co jest najkorzystniejsze. No, ja już sobie pójdę. Widzę, że zbliża się Bartosch.

— Jak go mam traktować?

— Jak swego przyszłego zięcia. Jakżeby inaczej?

Rzeczywiście zjawił się Bartosch. Kerzego wiele to kosztowało, żeby być wobec niego serdecznym. Na szczęście miał niemały zapas energii.

— Witam! — zawołał. I stwierdził, że uścisk dłoni Bartoscha — specjalnie zwrócił na to uwagę — był wybitnie męski. Również w jego użębieniu, obnażonym w promiennym uśmiechu, nie było nic kobiecego. Jedno tylko było niepokojące: płynął od niego ostry zapach perfum. Ale mogło to być oznaką elegancji i higieny. Bartosch należał przecież do wielkiego świata.

— Jakże się cieszę! — powiedział.

Starszy radca Bartosch był w towarzystwie jakiegoś jegomościa w nieokreślonym wieku — dobrze się prezentująca, błyskotliwa przeciętność. Bartosch przedstawił go jako dyrektora generalnego.

— Jestem reprezentantem Hotelu Europa — oświadczył uprzejmie dyrektor generalny. — Z pewnością słyszał pan już o naszym przedsiębiorstwie.

— Oczywiście — odparł Kerze.

— Mam nadzieję — rzekł Bartosch z wytworną poufałością — że panowie potrafią znaleźć wspólny język.

Panowie potrafili. Najpierw obmacali się, żeby tak rzec, i wkrótce stwierdzili, że dorośli do siebie. Mogli więc przystąpić od razu do sedna sprawy.

Wyglądało to tak: dyrektor generalny Hotelu Europa poszukiwał właśnie odpowiednich partnerów. Miały powstać dalsze hotele reprezentacyjne. Współudział wpływowego i renomowanego fabrykanta materiałów budowlanych był jak najbardziej pożądany.

Dyrektor generalny wymienił wysokość kapitału zakładowego, jakim rozporządzało Zjednoczenie Hotelu Europa

— był on pociągająco okazały. Dyskretnie informując Kerzego, dyrektor wymienił nazwy kilku względnie renomowanych firm, które były już własnością powstającego koncernu. — Należy również do nich tutejszy hotel „Unter Drei Kronen”.

Na dźwięk tej nazwy Kerze drgnął. Z miejsca zainteresowała go ta sprawa. Oczywiście nie okazał tego, aby interesowi nie zaszkodzić. — To już byłby dla mnie — powiedział — jakiś konkretny punkt zaczepienia.

— A więc jest pan skłonny? — zapytał dyrektor generalny.

— Jak najbardziej — zapewnił go Kerze. Hotel „Unter Drei Kronen” był dla Kerzego równoznaczny z Hirschem; było to teraz dla niego groźne przedsiębiorstwo konkurencyjne. Z chwilą wykupienia go konkurent odpadnie.

— Oczywiście pan rozumie, że chciałbym otrzymać jak najdokładniejsze informacje.

— Rozumiem doskonale.

— Czy byłby pan na przykład gotów umożliwić mi wgląd do ksiąg jednego z pańskich przedsiębiorstw, powiedzmy do hotelu „Unter Drei Kronen”?

— Bylibyśmy gotowi. — Dyrektor powiedział to tonem pełnym uznania i aprobaty. Wydawało mu się, że ma do czynienia z trzeźwym, energicznym człowiekiem interesu, posiadającym zmysł asekuracji i reasekuracji. Był jak najdalszy od myśli, że mogą tu wchodzić w grę motywy prywatne.

— Zastanowię się nad pańską propozycją — rzekł Kerze.

— Gdybym jednak zapragnął dokładniej zbadać wewnętrzną gospodarkę któregoś z pańskich hoteli, na przykład hotelu „Unter Drei Kronen”, musiałbym postawić jeden warunek: najściślejsza dyskrecja! Nawet tutejsze kierownictwo nie powinno nic wiedzieć o moim zainteresowaniu. Czy byłoby to możliwe?

— To by się dało zaaranżować — rzekł dyrektor generalny, wyraźnie zadowolony. — Proszę możliwie jak najszybciej zakomunikować mi swoje życzenia. Czekam na pańską decyzję.

Po tych słowach pan dyrektor generalny oddalił się, uściskawszy na odchodnym prawicę Kerzego z miną wtajemniczonego spiskowca.

Willy Kerze, właściciel zakładów „Stabilator”, handlowiec wybiegający spojrzeniem w przyszłość, zatroskany ojciec, pozostał sam. Zamyślony spoglądał przez szklaną ścianę w stronę przedniej części stoiska.

Stojący tam przy stole Saffranski, ruchliwy służbista, z niewiadomych przyczyn nazywany w fabryce płazem, wmawiał coś jakiemuś gościowi. Ten Saffranski to sprytna sztuka. Może być użyteczny w niejednej sprawie, zwłaszcza takiej, która wymaga dyskrecji, dokładności i wężu.

Saffranski opuścił swoje stanowisko informacyjne. Jak węgorz wśliznął się do dyrektorskiej niszy. Stał przy drzwiach i czekał pokornie, aż otrzyma pozwolenie na otwarcie ust. Kerze udzielił mu go ruchem ręki.

— Czy wolno mi zwrócić panu dyrektorowi na coś uwagę? — Kiedy na to przyzwolono, powiedział: — Pan dyrektor powinien przyjrzeć się nieco bliżej temu jegomościowi, z którym właśnie pertraktuję, mam wrażenie, że to by się opłaciło.

— Zobaczę — rzekł Kerze. — Niech go pan wprowadzi.

Człowiek, którego Saffranski podprowadził aż do drzwi, uśmiechnął się na widok Kerzego przyjaźnie, a równocześnie z zakłopotaniem; chciał widocznie wzbudzić zaufanie i współczucie. Zgiął się w głębokim ukłonie tak, jakby miał wewnętrzną sprężynę.

— Co mogę dla pana zrobić? — zapytał Kerze na razie nieobowiązująco.

— To może ja mógłbym coś uczynić dla pana — rzekł przybysz pokornie. — Pan pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Lehmgruber.

— Może mi pan spokojnie zaufać. — Kerze wskazał gościowi miejsce.

Lehmgruber grzecznie usiadł. Spoglądając na Kerzego jak na gmach reprezentacyjny powiedział: — Mam pewne stosunki.

— To nigdy nie może zaszkodzić. Jakiż to rodzaj stosunków?

— Znam kogoś z pewnej misji handlowej.

— Muszę panu oświadczyć bez ogródek, panie...

— Nazywam się Lehmgruber.

— ...panie Lehmgruber, że nie mam ochoty płacić procentów za pośrednictwo. Jakieś wynagrodzenie jednorazowe tak, o tym można by porozmawiać. Ale jakieś określone stałe prowizje — nie!

— Przy umowie, w której bym pośredniczył, mogłoby chodzić jednak o znaczne sumy.

— Mój panie, o jakież to sumy chodzi?

— O tym jeszcze pomówimy — odparł Lehmgruber uprzejmie.

— Można mnie znaleźć w hotelu „Unter Drei Kronen”.

Kerze pozwolił temu gościowi odejść. Niech się pomęczą w spokoju jak prosię na różnie. To najlepsza metoda na podtrzymanie chęci do zrobienia interesu. Wymienienie hotelu „Unter Drei Kronen” znowu zwróciło myśli Kerzego w określonym kierunku. Wezwał do siebie Saffranskiego i zapytał:

— Zna się pan trochę na hotelach?

— Jestem księgowym — odparł Saffranski. — Uchodzę za znawcę bilansów i specjalistę w sprawach podatkowych. Moja specjalność to kontrola ksiąg.

— To właśnie jest mi potrzebne! Niech się pan przygotuje do wykonania specjalnego polecenia. Będzie to polecenie czysto poufne i absolutnie tajne! Jutro rano zamelduje się pan u mnie, a potem zobaczymy. Jedno jednak powinien pan wiedzieć już dziś: żądam od pana całkowitego oddania się sprawie! Gdyby pan nadużył mego zaufania, byłoby to pierwsze i ostatnie rozczarowanie, jakie zgotowałyby pan mnie i mojej firmie.

No a teraz pogadamy ze sobą otwarcie — rzekł Willy Kerze.

Powiedział to do swojej córki Karen. Dziewczyna siedziała w prawie pustej jeszcze restauracji Targów i stosownie do polecenia ojca czekała na niego. Spoglądała nań zaczepnie i z przekorą, gdyż sumienia znowu nie miała czystego.

Willy Kerze uśmiechał się po ojcowsku, ostatecznie znajdował się w tej chwili na oczach wszystkich i mógł go ktoś zobaczyć. Był znaną osobistością i musiał zachować twarz w każdej sytuacji. Dlatego siadając obok Karen uśmiechał się, tylko oczy jego ciskały błyskawice oburzenia.

— Mogłabym próbować wszystko ci wytłumaczyć — powiedziała Karen.

— Co tu jest do tłumaczenia?

— Gdybyś znał całą prawdę, powody, które do tego doprowadziły, może sąd twój byłby zupełnie inny.

Kerze przywołał ruchem ręki kelnera i zamówił dla córki herbatę, a dla siebie wodę mineralną, bo tymczasem zjawili się w restauracji goście, którym należało dać próbkę solidnego stylu życia.

— To skandal — rzekł Kerze.

— Powiedziałam ci, że się nie orientujesz w tej rzekomej przygodzie, jaką ponoć miałam z Martinem Hirschem.

— Nie wypowiadaj tego nazwiska w mojej obecności! — zawołał Kerze surowo. — W każdym razie nie w takim kontekście.

— Co ty masz przeciwko niemu? Zdawało mi się, że jesteście zaprzyjaźnieni.

— On nie jest moim przyjacielem — zaprzeczył Kerze gwałtownie. — Jest najwyżej kolegą. A to wielka różnica. Przede wszystkim jednak nie należy do mojej rodziny i nigdy do niej należeć nie będzie!

— Sądzisz, że nie mogłoby się to zmienić?

— Nigdy!

— A jeżeli ja tego Martina Hirscha kocham?

— Zamknij gębę! — zawołał Kerze brutalnie. - To się nie może zdarzyć nawet we śnie!

— A ja tak na to liczyłam, że mnie zrozumiesz.

— Toś źle liczyła! — Kerze wypowiedział to jak sędzia, który zgwałcenie nazywa zgwałceniem. — Prowadzisz tu w Rheine-Bergen niemożliwy tryb życia. Musi się to zmienić, nawet gruntownie! Moim zdaniem może się to zmienić tylko przez twoje zamążpójście.

— Jeszcze ciągle masz na myśli tego Bartoscha?

— Co ty właściwie masz przeciwko niemu, Karen?

— Czy nie powiedziałam ci tego jasno i wyraźnie?

— Wypowiedziałś tylko pewne przypuszczenie. Opowiedziałś mi o swych podejrzeniach i wyciągnęłaś zbyt przedwczesne wnioski. Czy to wszystko da się jednak udowodnić? Czyżbyś chciała mnie naprowadzić na myśl, że masz w tym względzie doświadczenie natury osobistej? I chciałybyś skłonić mnie do tego, abym przyjął to za pewnik?

— A jak ja mam nazwać to, do czego ty chciałaś mnie skłonić?

— Drogie dziecko, chciałbym cię skłonić tylko do tego, żebyś prowadziła wzorowe życie rodzinne.

— Z Bartoschem?

— Ile jeszcze razy mam cię prosić, żebyś się poważnie nad sobą zastanowiła, moja Karen! Nie chcę już mówić o tym, jaka to jedyna w swoim rodzaju szansa mogłaby ci się wymknąć z ręki. W dodatku ten Bartosch świetnie się prezentuje i zdradza niezwykłą zręczność. Kto wie, czy za kilka lat nie byłabyś żoną ministra. Ale dajmy teraz temu wszystkiemu spokój. Czy nie widzisz poza tym w tym przypadku sensownego zadania dla kobiety, zadania, które powinno cię właściwie pociągać?

— W stosunku do Bartoscha?

— Twoje próby ironii są całkowicie nie na miejscu, Karen. Poza tym to, co uważasz za skłonności nienormalne, nie musi być stanem trwałym, niezmiennym, może być rodzajem choroby, która przy zastosowaniu odpowiedniego leczenia może być uleczalna.

— To niech idzie do lekarza!

— Najlepsze i może jedyne lekarstwo na tę chorobę na zywa się miłość, małżeństwo, stałe współzycie! To najbardziej zbawienne metody leczenia.

Kerze się rozpędził. Był prawie pewien, że przekona Karen. Pełen zapału ciągnął dalej:

— Czy nie widzisz tego wspaniałego zadania, jakie się przed tobą rysuje? Jeżeli szukasz w życiu głębszego sensu, a radzę ci usilnie go szukać, to właśnie tutaj go znajdziesz!

— To nie dla mnie! — powiedziała Karen z uporem. — Nie jestem różdżką czarodziejską na zastarzałe kompleksy seksualne.

— Ale jesteś moją córką. I dlatego jeszcze się dokładnie nad tym wszystkim zastanowisz. Oczywiście nie zmuszam cię do niczego. Jesteś wolna, możesz robić, co chcesz. Wybór należy do ciebie. Albo Bartosch, własne konto bankowe i jeszcze to i owo, albo znowu surowy internat i mikroskopijne kieszonkowe. I ani feniga więcej, nawet kiedy skończysz lat dwadzieścia jeden. A więc zdecyduj się. I to możliwie prędko!

Willy Kerze, działacz gospodarczy, nadzieja wyznających te same zasady przyjaciół partyjnych, był przyzwyczajony do tego, że mu się ludzie przyglądają. W każdym razie wydawało mu się, że jest zawsze albo przynajmniej prawie zawsze ośrodkiem zainteresowania. Śledziły go spojrzenia pełne uznania, przyjazne, pełne respektu, ale również i nieprzychylnie, pozbawione zrozumienia, obojętne.

Toteż osobnika stojącego w głębi hali, który zdawał mu się przyglądać badawczo, Kerze zarejestrował sobie w mózgu na razie pobieżnie. W ciągu ułamka sekundy zaszeregował tego człowieka do kategorii ciekawskich. Mózg jego z miejsca skreślił tę pozycję z rejestru: ten człowiek był jednym z wielu.

Poprzez restaurację wystawową Kerze udał się do hali A, swojej hali! Znowu wpadł mu na chwilę w oko ów człowiek, który zdawał się go obserwować wielkimi, pytającymi, niemal zgłodniałymi oczyma. Ale Kerze musiał przywitać miejskiego radcę budowlanego.

— Piękny sukces również i dla pana. — Pan radca wypowiedział te słowa nie bez zawiści i z ostrożną ironią. Kerze jednak wyraźnie ją słyszał. Zresztą nie był tym zaskoczony. Ten człowiek był nie tylko wyznawcą innej religii, ale posiadał również inną legitymację partyjną. Poza tym nie należał do organizatorów tych Targów.

— Piękny sukces dla nas wszystkich — rzekł Kerze wielokodusznie — także i dla pana, i dla pańskiego urzędu. Bo

przecież chodzi o sprawę, która nam wszystkim leży na sercu.

Wprawdzie nieco sztywno, ale uśmiechnęli się do siebie. Słowa, jakie wypowiada się zwykle przy tego rodzaju okazjach, płynęły im z ust bez trudu. A ponieważ rozmowy tego typu nie wymagają zbytnej koncentracji myśli, chętnie sobie gawędzili. Pan radca budowlany rejestrował napływające tłumy ludzi i wykalkulował sobie, że Targi — niestety nie jego targi — grożą powodzeniem. Tymczasem Kerze szukał oczyma owego człowieka, który mu się tak wyzywająco przyglądał.

Stało się to najpierw raczej instynktownie, bez przymusu, Kerze poszedł tylko za daleką, świtającą mu gdzieś w mózgu, ale jeszcze niejasną myślą. Na razie jeszcze dość niewyraźnie odezwała się ona w jego pamięci. Ale potem przyszło na niego jakby olśnienie, że tego człowieka o wygłodniałych oczach już kiedyś musiał widzieć. Kiedyś, gdzieś, zapewne dawniej, w miejscu, które wydawało mu się nierzeczywiste i obce.

Przymknął oczy, jakby chciał spojrzeć z dużej perspektywy w odległą dal. Niemal systematycznie zaczął przeglądać ludzi tłoczących się w hali. I oto patrząc poprzez falujący tłum, poprzez słupy, plakaty i girlandy, ujrzał twarz, której szukał i która zdawała się jego szukać. Była to twarz blada jak zwierzająca ściana, podłużna, o ostrych konturach, uderzająco płaska, a może tylko taka się wydawała w jaskrawym świetle jupitera, który miał oświetlać stalową konstrukcję reklamy. Ale odnosiło się wrażenie, że ten reflektor skierowany jest w sposób bezlitosny i wyraźny jedynie na tę twarz zastygłą w niemyim pytaniu.

W tym momencie Kerze wiedział już z całą pewnością, że zna tę twarz. Bezpośrednio potem, jakby pod wpływem nagłej błyskawicy, uświadomił sobie: To jest Michel Meiners! To może być tylko Michel Meiners!

— Projekt rzeźni — powiedział pan radca budowlany — staje się powoli aktualny, tutaj plany nasze wybiegają w bliską przyszłość.

Do Willego Kerzego nic nie dotarło z tego, co powiedział pan radca. Bez jednego słowa przeprosin czy

wyjaśnienia dyrektor Kerze odsunął go po prostu na bok i wmiszał się w tłum, kierując swe kroki ku człowiekowi, którego uznał za Meinersa.

Przepychał się przez ludzkie ciała, dotykał pleców, ramion, odpychał go, sam odpychał innych, nie zwracając uwagi na protesty. Widział przed sobą płaszcze z materiału gładkiego i szorstkiego, w jednostajnych, przeważnie ciemnych kolorach, nosy, usta, czoła, różowe i blade ciała, gładką, plamistą, zżartą wiekiem skórę. W nozdrzach miał zapach wilgoci, proszku na mole, perfum i potu. Ale nie uświadamiał sobie tego wcale. Jego wszystkie zmysły były skoncentrowane na jaskrawo oświetlonej konstrukcji stalowej, gdzie właśnie znajdował się ów człowiek, którego nazwiska nie ważył się nawet w myślach wymienić.

Kiedy jednak wzburzony, zasapany, rozglądając się niepokojnie, dotarł wreszcie do celu, miejsce to było puste. Stała tam tylko jaskrawo oświetlona stalowa konstrukcja. Przedstawiała fokę balansującą na ruchomej kuli, na której widniał napis: „Zaufanie za zaufanie — budujcie z niemieckiej stali, panowie i panie”.

Kerze stał w pełnym świetle reflektora. Ale człowieka, którego szukał, owego osobnika, którego dotąd uważał za nieżyjącego, nie znalazł. A była to śmierć, w której Kerze miał swój udział.

RAPORT NR 1

STENOGRAM PRZESŁUCHANIA POLICYJNEGO KONRADA GISENIUSA, przeprowadzonego przez inspektora policji kryminalnej Sanda dnia 1 maja 1961 r. w związku z wypadkami w dniu 20 kwietnia 1945 r.

Na wezwanie stawił się Konrad Gisenius. Powiadomiony o przedmiocie przesłuchania i wezwany do mówienia prawdy, zeznaje, co następuje:

Personalia:

Nazywam się Konrad Gisenius, mam lat pięćdziesiąt, z zawodu jestem adwokatem.

Odnosnie do sprawy:

Byłem wówczas prostym żołnierzem, niedawno powołanym do wojska. Wiedziałem, że sytuacja jest beznadziejna, mimo to nie omieszkalem spełnić swego obowiązku, tak jak i miliony innych. Zostałem przydzielony do kompanii piechoty. Tam dostałem się do drużyny, którą dowodził kapral Karl Schulz.

Chciałbym tu zaznaczyć, że kapral Schulz uchodził za dobrego żołnierza i człowieka godnego zaufania. Uważaliśmy wszyscy, że mamy za co go szanować. Miał markę doświadczonego dowódcy drużyny i budził w nas respekt. Takie nastawienie w stosunku do przełożonego jest wprawdzie samo przez się zrozumiałe, ale mimo to chciałbym to podkreślić.

Co się tyczy przebiegu owego dnia, to oczywiście nie jestem w stanie przypomnieć sobie szczegółów. Działo się to zresztą szesnaście lat temu i dziś nie wydaje mi się, aby było wyjątkowo ważne lub godne uwagi. Przeciwnie, jestem zdania, że chodziło o wypadek dosyć dla czasów wojennych pospolity.

Chciałbym przy tej okazji podkreślić rzecz następującą: prości żołnierze, a myśmy się do nich zaliczali, bronili wtedy jedynie swojej ojczyzny. Nie mieli absolutnie nic wspólnego ani z nazistami, ani z Hitlerem. Jak już powiedziałem, spełniali wyłącznie swój obowiązek. Byłoby absurdem tę zwykłą gotowość do obrony wiązać z kompleksami władzy, a co dopiero ze zbrodniczymi machinacjami.

Wyjaśnienie tego uważam za niezwykle ważne i niewątpliwie należące do sprawy. My, starzy żołnierze, znamy wojnę i dlatego jesteśmy jej zdecydowanymi przeciwnikami, co jednak nie ma nic wspólnego ze zdradzieckim pacyfizmem. Wiemy bowiem, że pewne ofiary są nie tylko nieuniknione, ale nawet muszą być ponoszone, żeby tak

rzec, z otwartymi oczyma i muszą być traktowane jako zrozumiałe samo przez się zrządzanie losu.

Przechodzę teraz do samego wydarzenia. W przeddzień owego dnia drużyna, o ile sobie przypominam, została zakwaterowana na skraju wsi Steinwiesen. Chodziło o niewielką zagrodę — nazwisko właściciela wyleciało mi z pamięci. Kompania znajdowała się w odwrocie, cofaliśmy się w porządku, mieliśmy więc w Steinwiesen jedynie przenocować.

A więc drużyna nasza, wyposażona w odpowiednie papiery, tam się zakwaterowała. Był wieczór dziewiętnastego kwietnia. Jak zwykle złożyliśmy nasze rzeczy i przygotowaliśmy sobie kolację, a potem gawędziliśmy jeszcze trochę z mieszkańcami zagrody i przebywającymi tam przejściowo uciekinierami. Można śmiało powiedzieć, że panowała wówczas między nami wszystkimi pełna harmonia, spowodowana ciężkim wspólnym losem.

Gdyby ktoś twierdził, że owego wieczoru piliśmy alkohol, trudno by było temu zaprzeczyć. Należy jednak wziąć przy tym pod uwagę, że wypito się niewiele. Nie więcej niż po butelce na jednego. Przy czym należy uwzględnić, że pili również mieszkańcy zagrody i uciekinierzy. Alkohol pochodził prawdopodobnie z magazynu żywnościowego, który został zwinięty, niestety dokładnych danych co do tego podać nie potrafię. Wiem tylko, że starszy szeregowiec Hirsch przy dźwigał pełen kosz butelek, postawił go przed nami i zawołał: „To od naszego ukochanego Fuhrera, żebyśmy mogli wypić za jego zdrowie!”

Słowa te, choć może nieistotne, wymagają przypuszczalnie wyjaśnienia. Charakteryzują bowiem tę szczególną sytuację, na której tle dalsze wydarzenia staną się bardziej zrozumiałe. Otóż to oświadczenie Hirscha było oczywiście czystą ironią i w pewnej mierze było typowe dla jego osoby, ale nie dla nas wszystkich.

Owego wieczoru przygniatała nas wielka troska. Przede wszystkim o Niemcy, o ojczyznę. Dziś brzmi to trochę patetycznie, ale wtedy był to dla nas prawie wszystkich rezultat naszego rozeznania w sytuacji. Kusi mnie wprost, żeby powiedzieć: odczuwaliśmy tragizm losu niemal fizycznie,

może z wyjątkiem starszego szeregowego Hirscha, który jak zawsze zachowywał się beztroško. Wylączyłbym z tego również szeregowego Michela Meinersa, miał wówczas osiemnaście, najwyżej dwadzieścia lat, był więc za młody, aby w pełni rozumieć powagę chwili.

Ale my starsi, poważniejsi, bardziej doświadczeni, patrzyliśmy nieco głębiej: wróg w obrębie Niemiec. I to na ziemię naszą wkroczyli nie tylko przyzwoici, mili Amerykanie, ale została ona zajęta również przez zezwierzęconych Sowieców, rekrutujących się przeważnie z Azjatów. Ci Azjaci parli wprost na nas. Tak tedy można wysunąć twierdzenie, że zaledwie jedna noc dzieliła nas od bestialstwa, i to bestialstwa w dwóch postaciach: z jednej strony od urodzin sprowadzonego na złe drogi, niebezpiecznie chorego Hitlera — pamięta pan chyba jeszcze ten dwudziesty kwiecień? — z drugiej zaś od zalewu czerwonych hord! Oto powód, dla którego koledzy intensywnie popijali, ale w żadnym razie ponad miarę.

Na to ostatnie nie mógłbym wprowadzić przysięg, ale przyjmuję, że tak faktycznie było. W każdym razie jeśli o mnie chodzi, to byłem dosyć zmęczony i położyłem się stosunkowo wcześniej, koledzy jeszcze pozostali. Jak już kilkakrotnie mówiłem, szczegółów sobie niestety nie przypominam. Pamiętam tylko, że większość kolegów popijała i gawędziła z mieszkańcami zagrody i uciekinierami, a starszy szeregowy Hirsch nawet sobie beztroško żartował. Meiners siedział obok niego. Hirsch wołał: „Dopóki jeszcze coś mamy, wysoko dźierzmy sztandary!” Oczywiście nie ręcę za. dosłowność, ale sens był dosłownie taki. Była to charakterystyczna dla niego próba przewyciężenia gorzkiego losu przez ironię.

Dalszych szczegółów dziś już nie pamiętam. O ile sobie przypominam, owego wieczoru położyłem się gdzieś w kącie i zasnąłem. Obudziłem się o świcie; śmiem twierdzić, że nie przyszło mi to łatwo. Ale nie z powodu alkoholu — właściwie nic prawie nie piłem. W grę wchodziło raczej wyczerpanie psychiczne — czułem, że nadchodzi koniec. Ostatecznie długie lata wojny nie przeszły u mnie bez

ślądu. Dziś wiem tylko, że ranek tego dwudziestego kwietnia był niespokojny i ruchliwy.

Naprzód zjawiał się kapral Schulz i powiedział: „W szopie leży trup!” No cóż, na wojnie trup to nic nadzwyczajnego. Ubolewania i pożałowania godne, w pewnych okolicznościach wstrząsające, ale nic nadzwyczajnego. Dowiedziałem się przy tej okazji, że chodzi o trupa tej młodej uciekinierki. Ale o czym to świadczyło? Tragiczny wypadek jak wiele innych, bo przecież gdzie się spojrzęło, widziało się koniec heroicznej walki. Sowieci zbliżali się, siły robocze ze wschodu zaczęły podnosić głowę, podobno widziano już też partyzantów z tak zwanego ruchu oporu, nawet kryminaliści z pobliskiego obozu koncentracyjnego byli już w drodze. W owych dniach natknąć się było można między frontami na niejednego trupa — jak mi Bóg miły, nie mówię tego z sarkazmem. W owych niespokojnych godzinach zjawiał się nasz dowódca kompanii, porucznik Kronshagen. Wydał kapralowi Schulzowi rozkaz, aby ze swoją drużyną zamknął drogę do Steinwiesen, i to od skraju lasu trzysta siedem. I tutaj, rzecz oczywista, nie przypominam sobie szczegółów, wiem tylko, że drużyna została podzielona na grupy. O ile się nie mylę, razem z Bennickenem i Fram-mlerem dostarczyć miałem drzewa na budowę zapory przeciwpancernej. I całkowicie byliśmy pochłonięci tym zadaniem.

Wydaje mi się, że znowu byłaby wskazana krótka analiza sytuacji. Kto bowiem chce znać całą, istotną prawdę, temu nie wolno opierać się na subiektywnych, obciążonych przypadkowymi nastrojami poglądach jednostek, lecz musi próbować wybadać i ustalić związki przyczynowe. Tymczasem i dziś jeszcze można spotkać się z twierdzeniem, że ponoć my żołnierze ogarnięci byliśmy wtedy paniką. Jest to nieprawda albo może świadome przekręcanie faktów.

Owego chaosu, o którym dziś się tyle mówi, w ogóle nie było. Nie istniał wcale, a co dopiero u nas. To lekkomyślnie puszczona w kurs bajka, typowa dla niektórych kobiet i owych kreatur bez honoru, co to gotowe są przystosować się każdorazowo do zwycięzcy. Prawdą jest natomiast, że my żołnierze zostaliśmy zdradzeni, i to w haniebnym sposób.

Mimo to walczyliśmy dalej. Bo przecież nie chodziło nam o usankcjonowanie małej, zbrodniczej kliki, myśmy mieli jedynie na względzie niemieckiego ducha, ukochany kraj, ojczyznę. Chodziło nam tylko o obronę tych wartości. Ileż to na ten temat wypowiedziano plugawych, poniżających, rozkładowych słów! Wstyd mi po prostu je powtarzać. Ostatnio się to zmieniło. Od kilku już lat napawa nas szczęściem fakt, że nasze czyste, uczciwe wysiłki zostały właściwie ocenione i zrozumiane. Wiedzeni zdrowym instynktem, walczyliśmy z wrogiem ludzkości. Z podczłowieczeństwem w wydaniu Wschodu. Szczerze mówiąc, byliśmy wtedy w Niemczech jedyną i całkowicie świadomą strażą przednią rzeczywistości i naprawdę wolnego świata. To, za co byliśmy gotowi oddać życie, stało się dopiero teraz, za naszych dni, kardynalnym postulatem chrześcijańskiego Zachodu i zachodniego świata.

Wtedy jednak elementy jednoznacznie negatywne miały przewagę, niestety wskutek krótkowzroczności Zachodu. Tej gigantycznej przewadze staraliśmy się przeciwstawiać, żeby tak rzec, do ostatniego tchnienia. I na nas, na naszą skromną i wierną drużynę, waliły się ogromne siły, mające niezaprzeczoną przewagę.

Właśnie budowaliśmy z drzewa zaporę przeciwpancerną, gdy runęły na nas sowieckie czołgi. Szosa, na której tę zaporę wznosiliśmy, znalazła się pod silnym ostrzałem. Pierwszym celem brutalnego najeźdźcy, mającego bezwstydną przewagę, była nasza czujka na skraju lasu trzysta siedem.

Pytanie: *Kto tę czujkę stanowił?*

Odpowiedź: *Me mogę powiedzieć dziś tego dokładnie. W każdym razie Meiners.*

Pytanie: *Dlaczego przypomina pan sobie Meinersa, a innych nie?*

Odpowiedź: *Dlatego że po pierwszej nawale ogniowej byliśmy przekonani, że został ciężko ranny. Tak się przynajmniej mówiło. Kto to powiedział pierwszy, tego nie wiem.*

Pytanie: *Według pańskich danych drużyna była podzielona na grupy. Część stanowiła ubezpieczenie, część, w której i pan się znajdował, pracowała przy wznoszeniu zapory. Kto tam był oprócz pana?*

Odpowiedź: *Niestety i na to pytanie nie mogę dziś dokładnie odpowiedzieć. Sytuacja była niejasna. Poza tym proszę wziąć pod uwagę panujący wtedy niepokój. Zresztą trudno mówić o jakimś podziale drużyny, znajdowaliśmy się przecież dość blisko siebie. Ja osobiście byłem w lasku. Pamiętam, że w pobliżu był Kerze. Ale to już wszystko, co sobie przypominam.*

Pytanie: *Co się stało po pierwszej salwie?*

Odpowiedź: *Musieliśmy się wycofać wobec wielkiej przewagi nieprzyjaciela. Nie było innego wyjścia, gdyż oprócz Meinersa straciliśmy również nasz kaem. Poza tym zaporą nie była i nie mogła być gotowa. A Sowietci ze swoimi czterema czy pięcioma czołgami — może ich było nawet więcej — następowali nam, że tak powiem, na pięty. Mimo to dotrwaliliśmy do chwili otrzymania rozkazu odwrotu.*

Pytanie: *Kto wydał ten rozkaz?*

Odpowiedź: *Ten, który był jedynie do tego upoważniony: kapral Schulz.*

Pozwalam sobie raz jeszcze zreasumować to, co najistotniejsze i najważniejsze. Drużyna Schulza otrzymała zadanie niebezpieczne, ale zgodne z zasadami wojennymi. Była gotowa spełnić to zadanie. I spełniała je do chwili, aż przyszedł następny rozkaz. Tak wyglądają fakty.

Byliśmy tylko jedną z wielu grup. Wszystkie inne postępowały chyba podobnie jak nasza. To jest zrozumiałe samo przez się i przykro mi bardzo, że muszę coś takiego w ogóle podkreślać. Uważam, że powoli winien znowu się u nas zakorzenieć pogląd, iż honor żołnierski nie może być narażony na szwank. Żołnierz spełnia swój obowiązek i powinno się na to patrzeć ze czcią i szacunkiem.

3. Bądź przyjacielowi przyjacielem

Nazywam się Saffranski . — Urzędnik Kerzego spoglądał na chłopca swoimi wodnistymi oczyma niemal marzycielsko. — A ty? — Nazywam się Konstantin Kerze. — Chłopiec patrzył nieufnie i z lękiem na wysokiego, lekko pochylonego pana, który stał przed nim.

Spotkali się w bramie willi Kerzego. Saffranski zadzwonił, Konstantin, który akurat był w ogrodzie, otworzył mu.

— Należę do pracowników twego ojca — oświadczył Saffranski. — Otrzymałem zadanie specjalne. Mam je opracować tutaj, w gabinecie twego ojca. Myślę, że będziemy przyjaciółmi.

Dręgał o nazwisku Saffranski wyciągnął swą długą, kościstą rękę i pogłaskał chłopca po głowie. Mały cofnął się. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby go dotykano. Był bojaźliwy jak pies, który często dostaje baty.

— Na pewno będzie nam dobrze ze sobą. Lubię takich chłopców jak ty. A ze mną można, jak to mówią, konie kraść.

Saffranski przyglądał się chłopcu i uśmiechał się przy tym szeroko, obnażając swoje wilgotne od śliny zęby — miał w ustach ogromne ilości śliny. Czuł również, że mu się spocily ręce. Był na swój sposób człowiekiem chorym. Widok chłopca działał nań kojąco; Konstantin miał jedwabistą skórę, długie, niemal kobiece rzęsy, włosy jego lśniły matowo.

Ale nie dane mu było nacieszyć się widokiem tego pięknego chłopca. Usłyszał rozkazujący głos: „Konstantin, chodź tu zaraz!” Po chwili ujrzał przysadzistą postać

kobietą, stojącą w drzwiach willi, wiedział, że ma przed sobą panią Brandstadter, gospodynię dyrektora Kerzego. Była ubrana niechlujnie, a mimo to jakoś uroczyście i okazale; włosy miała podobne do końskiej grzywy, a wzrok poganiacza bydła.

Saffranski uznał ją za odrażającą. Czuł obrzydzenie niemal do wszystkich kobiet — nie było im dane przedstawiać tego, co się nazywa prawdziwym pięknem. Uważał je za leniwe ssaki. Ta pani Brandstadter miała wypisaną na swym niskim czole żądzę władzy. Mimo to i ją przywitał uprzejmym uśmiechem.

Ale gospodyni skupiła na razie całą swą uwagę na Konstantinie.

— Konstantin — zapytała — co masz w kieszeni spodni?

Mały Kerze sięgnął do kieszeni. Ukazał się koniuszek kromki chleba. Pokazał go pani Brandstadter, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy.

— Zawsze z tobą to samo — rzekła karcąco pani Brandstadter. — Zabierasz chleb z kuchni, aby nim karmić ryby. A przecież wiesz, że postępujesz wbrew zakazowi ojca. I wiesz równocześnie, że nic nie ujdzie mej uwagi. Masz teraz okazję do przeprosin.

— Proszę o wybaczenie. — Konstantin powiedział to cicho i grzecznie, spoglądając lękliwie na Saffranski ego. Saffranski uśmiechnął się zachęcająco za plecami pani Brandstadter.

— Tym razem przejdę jeszcze nad tym do porządku dziennego — powiedziała pani Brandstadter. — Ale nigdy już tego nie rób. Na drodze prowadzącej do stawu jest pełno chwastów, weź motykę i łopatę i powyrywaj je. Robota z sensem, oto czego oczekuje od ciebie twój ojciec.

— Tak jest — rzekł Konstantin. Wciągnął głowę w ramiona i rzuciwszy przelotne spojrzenie na Saffranski ego, odszedł.

Pani Brandstadter była teraz skłonna zająć się Saffran-skim. Spojrzała badawczo na jego niewinną twarz czeladnika piekarskiego i dała się ponieść wrażeniu, że we wzroku Saffranski ego jest coś z oddania. Wysoko sobie takie rzeczy ceniła.

— Pani pozwoli... — Nastąpił ukłon jakby w szkole tańca.

— Nazywam się Saffranski .

— Już mi pana zaanonsowano. — Pani Brandstadter obnażyła w uśmiechu zęby, które przypominały wszystko, co chcecie, tylko nie reklamę wody do ust. Mimo to Saffranski uśmiechnął się. — Pańskie miejsce pracy jest gotowe.

— Mam nadzieję, że nie będę dla pani ciężarem.

Pani Brandstadter rzadko miała okazję być przedmiotem tak wyszukanej uprzejmości. Na co dzień jedynym miarodajnym w domu mężczyzną był Willy Kerze, a ten był z natury szorstki. Powitała więc łagodnego Saffranski ego serdecznie.

Przez ogród i frontowy korytarz zaprowadziła go do gabinetu dyrektora Kerzego. Na stole leżały akta z napisem: Spółka Akcyjna Hotele Europa. Saffranski ruszył ku nim, jak gdyby przyciągany magnesem.

— Mam nadzieję, że się panu u nas spodoba. To wytworny dom.

— Niewątpliwie jest w tym zasługa pani — rzekł Saffranski .

— Widać to po pewnych szczegółach.

Pani Brandstadter przełknęła ten komplement bez trudu. Ostatecznie powiedziane zostało tylko to, o czym była niezłomnie przekonana. — Chce się pan czegoś napić albo coś przekąsić?

— Bardzo dziękuję — odparł, składając głęboki ukłon.

— Nie mam żadnych życzeń. Najwyżej, jeżeli to pani nie zrobi różnicy, poproszę o filiżankę herbaty i dwie kromki chleba z masłem. To wszystko.

— Jest pan człowiekiem ze smakiem — oświadczyła pani Brandstadter, zanim się oddaliła.

Saffranski rozejrzył się dookoła. To, co zobaczył, przyprawiło go o przyśpieszone bicie serca. Otaczało go solidne, trwałe bogactwo: rozkoszny aksamit, drzewo dębowe, zimna, dumna stal. Wszystko to przyprawiało go o błogi dreszcz.

Z kolei oczarował go widok z okna. Ale nie tylko obraz malowniczej dali, ginącej za jeziorem, gdzieś na dalekim horyzoncie. Podobał mu się również niezmiernie widok na duży, pięknie utrzymany ogród. Na końcu wyżwirowanej

dróżki zobaczył staw, a przy nim stojącego w zamyśleniu Konstantina — zgubione, samotne piękno, odbijające się w mulistym stawie.

Saffranski nie mógł się wprost napatrzeć na to wszystko, co go otaczało. Zalewała go fala prawdziwego piękna, za którym tęsknił. Był teraz tego piękna bliski jak nigdy dotąd.

W takim to nastroju zastała go pani Brandstadter, która zjawiła się z kawą i chlebem z masłem.

Kiedy sobie poszła, Saffranski wyszedł z gabinetu dyrektora Kerzego na taras. Świeże, czyste powietrze działało nań magicznie. Pięknie utrzymany ogród zapraszał do spaceru. Saffranski uważał poza tym, że trochę ruchu dobrze mu zrobi na myślenie.

Spojrzał z uśmiechem na posmarowane masłem kromki chleba, złożył je razem i wsunął do kieszeni spodni. Jakby przypadkowo skierował swe kroki w stronę Konstantina.

Chłopiec zauważył, że Saffranski idzie ku niemu. Na jego łagodnej dziewczęcej twarzy pojawił się wyraz powątpiewania, ale i zainteresowania. Konstantin stał nieruchomo w pobliżu młodej smukłej topoli.

— Ciekaw jestem, czy ryby są głodne — rzekł Saffranski poufale.

— Zawsze są głodne.

— W takim razie należy im pomagać w miarę możliwości.

— Ale to nie zawsze jest możliwe. — Konstantin spojrzał na Saffranski ego z ufnością. — Sądzi pan, że da się to zrobić?

Saffranski sięgnął do kieszeni, wyjął z niej złożone kromki chleba i wręczył je chłopcu. — Masz — powiedział. — Weź to!

Konstantin, nie namyślając się długo, sięgnął po chleb. Rozkruszywszy kromki, wrzucił je do stawu.

— Ryby żrą jak oszalałe. — Konstantin nie odrywał wzroku od ruchliwej tafli stawu. Rozkoszował się tą chwilą tak jak wszystkie dzieci, którym podglądanie i podpatrywanie sprawia wielką rozkosz. — Jak oszalałe!

Stojący za chłopcem Saffranski wyszeptał:

— Czy to, co robisz, nie jest zabronione?

Konstantin przeraził się. Miał ochotę się cofnąć, uciec, ale Saffranski stał za nim, a przed sobą miał staw.

— Pan powie o tym mojemu ojcu? — zapytał z wyraźnym lękiem.

Saffranski położył chłopcu rękę na ramieniu, dotknął go czule i powiedział:

— To zostanie między nami. Będzie naszą tajemnicą. Nikomu nic do tego!

— Och, jak to dobrze! — Chłopiec odetchnął z ulgą. Odwrócił się do Saffranskiego, spojrzął na niego z wdzięcznością i zaufaniem. Ten człowiek zaczynał mu się podobać.

— Wiesz co — rzekł Saffranski — powinniśmy trzymać się razem. Dobry przyjaciel zawsze może się przydać, prawda?

Konstantin kiwnął skwapliwie głową.

— Jutro znowu będziemy karmili ryby?

— Tak — odparł Saffranski. — Będziemy karmili i robili jeszcze inne rzeczy.

Dlaczego nie robisz mi wyrzutów? — Pani Gisenius spojrzała zdenerwowana na swego męża. — Dlaczego?

— Czytam teraz gazetę — rzekł Konrad Gisenius. Uwaga ta mogła być potraktowana i jako stwierdzenie, i jako wyrzut.

— Powiedźże coś wreszcie! — zawołała niecierpliwie. — Nawymyślaj mi, jeżeli chcesz, tylko przestań milczeć! To mi działa na nerwy.

Siedziała jak zwykle w swoim fotelu w pobliżu okna. Światło owego kwietniowego ranka było zimne, bez słońca, padało na nią i ukazywało bezlitośnie kontury jej twarzy. Była to twarz błyskawicznie starzejącej się kobiety: żółtawoblada, jak popękany воск. Oczy niemal czerwone jak u królików.

— Czy nie jestem już dla ciebie warta ani jednego słowa?

— Nie skończyłem jeszcze mojej lektury.

Spojrzał ukradkiem na jej ręce. Trzęsły się jak liście osiki przy umiarkowanym wietrze. Drżenie to, wiedział o tym, brało się z niepokoju serca i nadmiaru alkoholu. Znał dosyć dobrze jej przyzwyczajenia i reakcje, nie trzeba było mieć zbyt wielkiego daru obserwacyjnego, żeby je poznać. Wiedział, że w godzinach rannych nerwowość jej stawała się nie do wytrzymania. Bo dopóki był w domu, nie mogła pić. Nie znosił tego.

Konstancja Gisenius zamknęła swe królicze oczy i udreńczonym głosem powiedziała z wielkim trudem: — Wiem, to był błąd i bardzo tego żałuję. Nie powinnam była rozmawiać z panem Schulzem.

— Aleś to zrobiła. — Gisenius wypuścił z rąk gazetę.

— Już się to nie powtórzy — przyrzekła pokornie. Gdy nie była pod wpływem alkoholu, wydawała się sobie paskudnym, zwyrodniałym karłem.

— Przyrzeczenie tego rodzaju słyszę nie po raz pierwszy — rzekł Gisenius. — Kiedy usłyszę je po raz ostatni?

Ręce jej zaczęły jeszcze bardziej drżeć. Wiedziała, co po tym wstępie nastąpi. Rozmowy z obcymi zostały jej zabronione. Przekroczenie tego zakazu pociągało za sobą przykre represje. Gisenius wyraźnie jej groził. A zwykł był słowa swoje wprowadzać w czyn, skoro tylko nadarzała się po temu okazja. Nie sposób było tego uniknąć, co sobie umyślił jako sprawiedliwą karę.

— Jesteśmy sami w mieszkaniu — rzekł dręcząco spokojnie. — Klaus pracuje w sądzie, twoją Martę wysłałem na miasto, nie wróci prędzej niż za godzinę.

— Konradzie, proszę cię! — powiedziała Konstancja, gorączkowo wymachując rękami. — Nie wolno ci tego robić!

— Zaczynaj — powiedział, nie ruszając się z miejsca. — Postaw wszystkie butelki na stole kuchennym.

Zacząła dygotać na całym ciele. Wyprostowała się i cała w wypiekach patrzyła na niego jak zakłęta. Odpowiedział na to otępiałe spojrzenie znudzoną miną. Jak automatyczna zabawka, dygocąc, zaczęła posuwać się w stronę okna. Dotarłszy do niego, otworzyła je na oścież.

Konrad Gisenius ciągle jeszcze nie ruszał się z miejsca. Ale oczy jego były czujne. Widziały doskonale zakurzony i zapuszczony pokój, cały w pluszu, utrzymany w tonie ciemnej, ale jakby spłowiałej krwawej czerwieni. W nim ostro zarysowane okno, wychodzące na sine niebo. W tym wszystkim skulona, zdrętwiała postać człowieka — jego żona. Przez ulicę właśnie przejeżdżała z hukiem ciężarówka.

— Wyskokczę przez okno! — zawołała Konstancja.

— Skacz!

— Skończę z tym wszystkim. Wyskokczę, jeżeli nie przestaniesz mnie dręczyć.

Gisenius rozparł się w swym fotelu. Czujność w jego oczach zgasła. Powiedział powoli:

— Po co te wrzaski? Nie masz już siły, aby skoczyć, al kohl pozbawił cię resztek energii, jesteś zmęczona i zużyta. A poza tym zła, podstępna i nikczemna. Inaczej bowiem nie postępowałabyś tak wobec mnie i nie zdręczałabyś obcych ludzi wysaną z palca brudną gadaniną. Czy to po dzięka za moją cierpliwość i pobłażliwość? Wstydzę się za ciebie!

Podniósł się, minął żonę, nie spojrzawszy nawet na nią, i zamknął okno. W oczach jego była pogarda. Przerażona Konstancja miała wrażenie, że dostrzegła w nich jeszcze coś: rozczarowanie. Doczołgała się do swego fotela i opadła nań bezsilnie.

Gisenius zaczął teraz wyciągać wszystkie butelki, jakie były ukryte w tym pokoju. Wiedział, gdzie ich szukać, ani razu się nie pomylił. Butelki te znajdowały się w szafie z sukniami, w kieszeniach płaszcza, za książkami na półce, tam gdzie stało zbiorowe wydanie Goethego i tam gdzie stała Biblia (w przekładzie niemieckim, wydana przez Piusa Po-rscha), za kwiatami i za lewą firanką. Razem było pięć butelek.

— Chodź! — powiedział i ruszył przodem. Nie obejrzał się nawet za siebie, wiedział, że pójdzie za nim. I poszła, posłuszna jak pies. Szła sztywna, z odrzuconą do tyłu głową, jak koń, który lada chwila może się sploszyć.

Gisenius postawił butelki na środku kuchennego stołu i spojrzął w stronę zlewu. Potem obrzucił żonę obojętnym

spojrzeniem i sięgnął po pierwszą butelkę. Konstancja, która stała w progu, musiała się oprzeć o futrynę drzwi.

Odkorkował butelkę, potem podszedł do zlewu i powoli wylał do niego całą jej zawartość, mówiąc:

— Zatrulaś sobie życie. Może miałabyś nawet do tego prawo, gdybyś żyła na tym świecie sama. Ale nie żyjesz sama. I w rezultacie zatruwasz również życie i mnie.

Opróżnił drugą butelkę.

— Wiem dokładnie, jak się to wtedy zaczęło. Musiałem pracować, czułaś się osamotniona, moje godziny były całkownie wypełnione, ciebie otaczała pustka. Nie potrafiłaś sobie z nią w sensowny sposób poradzić. Kiedy ja dążyłem do wzbogacenia naszego życia, tyś wykazywała całkowitą indolencję, byłaś absolutnie niezdolna zrozumieć ważności tego rodzaju usiłowań.

Z kolei znalazła się w zlewie zawartość trzeciej butelki.

— Treścią życia kobiety winna być rodzina, a więc przede wszystkim mąż. Cała twoja energia, kobiece oddanie, cały twój instykt macierzyński winny były skupić się na mnie, na tym, co było dla mnie treścią życia: na tym wysiłku, by na obszarze Niemiec powstała lepsza, szczęśliwsza społeczność ludzka.

Pewną ręką sięgnął po czwartą z kolei butelkę i opróżnił ją również.

— No bo co takiego się stało? Pytam o to z całą szczerością. Czy wpadłem w jakiś nałóg lub ugrzązłem w występku? Czy stanęła na mej drodze jakaś inna kobieta? Czy byłem kiedykolwiek niedobry, złośliwy, czy byłem egoistą? O nie! Oddałem się cały służbie dla ogółu, motorem mego działania jest ludzkość.

Sięgnął po piątą butelkę.

— No dobrze, jeżeli nie było ci dane iść w moje ślady, to miałem przynajmniej prawo oczekiwać od ciebie pewnej tolerancji lub rozsądnej i zręcznej rezerwy. Czy nie zechciałabyś nareszcie zrozumieć, jak nieskończenie wiele czynię dobrego, jak ogromne z tego powodu ponoszę ofiary? I to nie dlatego, że pochodzisz z dobrej rodziny, że rozporządzasz sporym majątkiem, lecz jedynie dlatego, że wiążą nas nierozdzielne więzy małżeńskie! Widzisz z tego,

że moje wielkoduszne i pobłażliwe postępowanie wobec ciebie wypływa z motywów czysto etycznych.

Próbowała w dalszym ciągu trzymać się sztywno, choć kosztowało ją to wiele wysiłku. Nie miała siły śledzić jego argumentów. Nie było to też bezwarunkowo konieczne. Znała wszystkie jego argumenty, tak samo jak on znał dokładnie jej kontrargumenty. Była całkowicie zdana na jego łaskę i niełaskę.

— Mogę teraz odejść? — spytała.

— Jeszcze nie — odpowiedział. — Mam ci jeszcze coś do zakomunikowania. Otóż jeżeli twoja choroba przybierze rozmiary niebezpieczne, ucieknę się do środków zaradczych, powiedzmy wyraźniej: ochronnych. Na to daję ci słowo. Zapamiętaj to sobie: kto zagraża mojej pracy, ten zagraża samemu sobie.

Dwie osoby czekają w przedpokoju — oświadczyła Gizela Wandel.

— Nie oczekuję nikogo — rzekł Martin Hirsch. — Nie przypominam sobie, żebym kogoś zamówił.

— Może byłoby lepiej, gdybym jedną z tych osób skierowała od razu do pańskich apartamentów — powiedziała Gizela Wandel, tym razem odrobinę mniej rzeczowo niż zwykle. — Ale nie wyznaję się zbyt dobrze w pańskich stosunkach prywatnych.

Martin Hirsch przestał się jej przyglądać z przyjazną bez troską. Jego przystojna twarz wyścigowego jeźdźca spoważniała, przez co stał się o wiele bardziej pociągający.

— A więc, jeżeli się nie mylę, to panna Karen.

— Nie myli się pan, jak zwykle.

Martin Hirsch był człowiekiem obdarowanym przez naturę bez troskim usposobieniem. Nawet sytuacje najbardziej skomplikowane nie potrafiły go wyprowadzić z równowagi, poza jednym wydarzeniem — ale to było szesnaście lat temu. Lubił śmiały, lekki atak i radosne, ryzykowne słowa.

— Panno Wandel — rzekł beztróska. — Najpierw zajmijmy się tym drugim gościem.

Gizela Wandel reagowała precyzyjnie. Reakcja żadnego mózgu elektronowego nie mogła być doskonalsza.

— Drugim gościem jest niejaki pan Lehmgruber. Mieszka tu w hotelu, pokój siedemdziesiąt trzy. Wczoraj powinien był zapłacić rachunek tygodniowy. Wszystkie odnośne załączniki znajdzie pan w czerwonej teczce. Ponieważ do dziś nie zapłacił, poprosiłam go, jak to w tego rodzaju przypadkach jest w zwyczaju, do biura dyrekcji.

— Proszę mi przysłać tego pana — rzekł Martin Hirsch. — A co do panny Karen, proszę poprosić ją jeszcze o chwilę cierpliwości.

Gizela Wandel skinęła znacząco głową i wyszła. Martin Hirsch otworzył czerwoną cienką teczkę: rachunek tygodniowy gościa spod numeru siedemdziesiąt trzy — należność za pokój, usługę, bony restauracji hotelowej, wszystko razem 284 marki, 60 fenigów. Bogaty gość, jeżeli zapłaci.

Wszedł Lehmgruber, skłonił się dwa razy, przy drzwiach i przy biurku. Niezwykle uprzejmie, przyjaźnie, poufale. Z jego płaskiej, pustej twarzy uśmiech nie schodził ani na chwilę. W jego głosie brzmiała uniżoność urodzonego donosiela.

— Nazywam się Lehmgruber — oświadczył, posunawszy się nieco naprzód. — Bardzo mi przykro, że moja osoba sprawia państwu tyle kłopotu.

— Mnie także przykro.

Lehmgruber usiadł, zanim mu to zostało zaproponowane. Zdawał się wiedzieć, o co chodzi. A przy tym można było być pewnym, że Gizela Wandel mu tego nie powiedziała. Widocznie w takiej sytuacji znajdował się nie po raz pierwszy.

Hirsch pozwolił się wygadać niskiemu, okrągłemu Lehmgruberowi. Słuchał zwykłych w tego rodzaju przypadkach wymówek — pieniądze są w drodze, niestety jeszcze nie nadeszły — z całkowitym spokojem. Myślał przy tym o Karen Kerze, martwiąc się nieco tym, czego ta uparta dziewczyna może znowu od niego chcieć. Czyżby był nadwor-

nym dobroczyńcą albo spowiednikiem kobiet z rodziny Kerze?

Tymczasem Lehmgruber zakończył swoje wywody. Teraz z wielkim zainteresowaniem, ale całkiem na próżno czekał na reakcję dyrektora hotelu. Po chwili, wijąc się jak piskorz, rzekł mętnie:

— Mam nadzieję, że przekonałem pana dyrektora.

— Niestety nie — rzekł Hirsch. — Tylko jedno mogłoby mnie przekonać: gotówka.

— Otrzyma ją pan — zaczął go zapewniać Lehmgruber żarliwie — w ciągu dwóch, trzech dni.

— To o dwa, trzy dni za późno.

— Ale chyba lepiej tak, niż żebyśmy robili sobie nawzajem trudności!

Hirsch nadstawił uszu. To coś nowego, czegoś podobnego jeszcze nie słyszał. Jeżeli ktoś tu miał prawo robić trudności, to tym kimś był chyba on! Co w takim razie oznacza słowo „nawzajem”?

— Zainteresował mnie pan, panie Lehmgruber. Musi mi to pan jaśniej wytłumaczyć.

— Panie Hirsch — rzekł Lehmgruber łagodnie i pokornie — wiem, że musi mieć pan gotówkę i gwarancję, trochę się w pańskim zawodzie wyznaję. Ale ani jednego, ani drugiego nie mogę panu w tej chwili ofiarować. Za to mam coś innego, coś, co może być bardzo cenne i wiele warte: wiadomości. Wiadomości o pewnych, że tak powiem, potajemnych wydarzeniach, niezwykle ważnych, powiedzmy, ze względów politycznych.

— Człowieku, co mnie to obchodzi? Ja prowadzę tu jedynie hotel.

— Ale hotel będący w pewnej mierze kwaterą główną miarodajnej i wpływowej partii. Wiem, że ani to pańska wina, ani zasługa, ale tak jest. Otóż znane mi są różne szczegóły o kilku najważniejszych członkach tej grupy. A to, mówiąc skromnie, warte jest tyle samo co pieniądze. Wiem i czuję, że nie może pan na to odpowiedzieć ani zająć w tej sprawie żadnego stanowiska. Jedno jednak może pan uczynić: skontaktować mnie z człowiekiem, którego wpływy i znaczenie są bezsporne.

Hirsch uznał tę propozycję za niezwykłą, ale interesującą. Było to w jego zrutynizowanej pracy hotelowej coś nowego. Poza tym zarysowywała się nęcąca perspektywa: można by na nowo zobowiązać Giseniusa, przyjaciela o niemałym znaczeniu i wpływach. A przyjaciele, którzy czują się zobowiązani, zawsze się mogą przydać, choćby nawet w takiej sprawie jak kazus Kerzego.

— A co by się stało — rzekł Hirsch ubawiony — gdybym tak na przykład skierował pana pod nieodpowiednim adresem?

— Adresat nigdy nie może być ani fałszywy, ani odpowiedni — rzekł Lehmgruber z ujmującą neutralnością. — Tak czy inaczej zainteresuje go to i na pewno zechce opłacić moje wiadomości złotem.

— Cudownie, panie Lehmgruber! — Hirschowi wyraźnie zaczęła się podobać ta zabawa. Między innymi dlatego, że nie widział w niej (niesłusznie!) żadnego ryzyka dla siebie. — Daję panu jeszcze dwa dni na wyrównanie rachunku. A wieczorem niech pan będzie w pogotowiu, być może zaznajomię pana z panem Giseniusem.

— Najuprzejmiej dziękuję. Może pan być pewien, że pan tego nie pożałuje.

— Jeżeliby już ktoś miał czegoś żałować, to w żadnym razie tym kimś nie będę ja. Do widzenia, panie Lehmgruber. Najpóźniej do pojutra!

Lehmgruber odszedł. Karen, wyraźnie zniecierpliwiona, wpadła jak bomba.

— Musisz mi pomóc! — zawołała. — Stało się coś okropnego! Chodźmy do twego pokoju, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

— Tego nie zrobimy! — rzekł Hirsch zaskakująco energicznie. — Chyba gdybyś chciała, żeby było jeszcze okropniej! Poza tym chcę ci jedno powiedzieć, moja Karen: Nie widzę żadnego powodu, żebym musiał ci pomagać, zwłaszcza gdyby to miało być sprzysiężenie przeciwko twemu ojcu. Zresztą nie mam teraz czasu, muszę być w sali jadalnej.

— W takim razie ja też tam coś zjem — rzekła Karen zdecydowanie. — Po obiedzie pogadamy; jeżeli jesteś mą-

dry, zrobisz to chętnie. A więc czekam. A długo czekać nie będę!

Muszę zobaczyć — rzekł młodzieniec — gdzie też starzy i doświadczeni wojacy rozbili dziś swoje namioty. Interesuje mnie to jako zjawisko etnograficzne.

— Jeżeli ma pan na myśli mego brata, to go nie ma w domu.

— Ale pani jest w domu, panno Ewo, i to mi w zupełności wystarczy.

Ewa Schulz patrzyła z zaciekawieniem przez na pół otwarte drzwi na klatkę schodową. Stał tam młodzieniec o krótko przystrzyżonych, starannie przyczesanych włosach, które sprawiały wrażenie ciemnych, ale miały kolor właściwie nieokreślony. Pod tymi włosami znajdowała się para jasnych, szarych, mądrych, a zarazem zimnych oczu. Między oczyma widniał ostry, śmiało zarysowany nos. Miało się wrażenie, że nos ten zasłania usta i brodę, bo młodzieniec miał głowę nieco pochyloną, tak jakby chciał zaprezentować jedynie oczy i czoło.

— Niech pani nie próbuje zatrzaskać drzwi — rzekł młody człowiek. — Wsunąłbym w szparę nogę, a obuwie mam bardzo solidne. Gdyby pani próbowała uciec się do przemocy, drzwi mogłyby pęknąć.

— Niech pan przestanie z tymi poufałościami! Niech pan lepiej powie, kim pan jest! Czego pan tu chce?

— Ewo, pani mnie nie zna?

— Dotychczas było mi to na szczęście oszczędzone.

— Widać znowu z tego, jak bardzo jestem niepokązny i skromny. Powinna mi to pani zaliczyć na plus.

Młodzieniec podsunął się nieco bliżej, Ewa nie cofnęła się. Choć czuła się trochę nieswojo, nie okazywała tego. Również i pod tym względem była wykapaną siostrą swego ukochanego brata, którego uważała za niedościgły wzór. Miała kręgosłup, zdradzała pewność siebie, przykładała

wagę do tego, aby w każdej sytuacji zachować spokój i równowagę.

— To ja stoję obok pani na platformie tramwaju, towarzyszę pani, kiedy pani ogląda wystawy sklepowe, siadam za panią w kinie i sterczę tam godzinami, a pani nawet nie raczyła mnie zauważyć! Czym sobie na to zasłużyłem?

Młodzieniec stał na klatce schodowej jak posąg. Podobał się sam sobie w tej pozie. Jak kłown rozpostarł ramiona.

Ewa Schulz uznała to za niezwykle komiczne. Zorientowała się jednak również, że jego pozowanie umożliwia jej pozbycie się go. Błyskawicznie zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Potem wybuchnęła radosnym śmiechem.

— No, no! — Młodzieniec zareagował na to uśmiechem pełnym uznania. — A więc to tak się traktuje miłego gościa?

— Niech pan sobie idzie! — zawołała Ewa Schulz za zamkniętymi drzwiami.

— Za pozwoleniem! — zawołał. — Chcę przecież tylko zrewizytować pani brata. Jestem, o ile pani to coś mówi, Klaus Gisenius.

Nazwisko to mówiło Ewie coś niecoś. Nie bez trudu powstrzymała wesoły śmiech. Przybrała wyraz dostojęstwa i powagi, co świadczyło o tym, jak bardzo jest młoda. Potem otworzyła drzwi na oścież.

— Dzień dobry. — Wypowiedziała te słowa tonem pani domu i siostry poważanego brata. — Proszę, niech pan podejdzie bliżej. Mógł pan przecież powiedzieć od razu, że stoi przede mną Klaus Cisenius.

Młodzieniec skłonił się, podszedł bliżej, nie podając jej jednak ręki. Miał taki zwyczaj, był wrogiem przestarzałych form. Widać to było nie tylko po jego ubiorze, ale i po ruchach. Było w nich rozleniwienie i obojętność, wyglądał tak, jakby za chwilę miał usiąść na schodach albo na podłodze.

— Jak to wszystko człowieka rozczarowuje! — Mówiąc to wskazał na szablonowe, standardowe urządzenie korytarza. — Brak mi tu przedmiotów wojennych, heroicznym pamiętek, nie ma ani stalowego hełmu, ani odłamka grana-

tu, ani czegoś w rodzaju pułkowego sztandaru. A może jest przynajmniej jakieś naczynie kuchenne, jakiś kubek polowy, w którym mogłaby mi pani podać coś zimnego do picia?

— Mówi pan dziwacznie — rzekła Ewa karcąco. — Co pan właściwie chce tego rodzaju uwagami osiągnąć, panie Gisenius?

— Demonstruję moją znajomość przedmiotu, Ewo. Próbuję dostosować się do mentalności starych wiarusów. Niech nasi dzielni wojacy wiedzą, że znowu podrasta pokolenie, które z rozkoszą pławi się w żargonie bohaterów.

— Niech się pan nie wysila, nic się na tym nie znam. Jeżeli jednak chciał pan tym uraczyć mego brata, to powiedziałam już przecież, że go nie ma.

— A gdzie mogę na niego poczekać?

— Gdzie pan chce, tylko nie tutaj w mieszkaniu.

— Aha! — Klaus przysunął się do niej. — Wizyty mężczyzn surowo wzbronione, co!

— Pan jest mężczyzną?

— Na pomoc! — zawołał Klaus Gisenius. Odegrał groteskową pantomimę: złapał się obiema rękami tam, gdzie należało przypuszczać, że ma serce, i zachwiał się, jakby go przed chwilą ciężko zraniono.

— Tego — zawołał, mrużąc znacząco oczy — nie przeżyję!

Ewa roześmiała się głośno jak dziecko, z zachwytem przyglądała się tej groteskowej zabawie. Klaus Gisenius był teraz w jej oczach już tylko beztroskim chłopakiem, miłym, nieco zwariowanym młodzieńcem; polubiła go jak wesołego, figlarnego psiaka. Uczucie to ogarnęło ją zupełnie nagle.

— Niech pan idzie ze mną! — powiedziała. — Mam w kuchni robotę. Może mi pan przy tym pomóc.

— Dotknęła mnie pani głęboko — rzekł Klaus Gisenius. — Żeby tak rzecz: pozbawiła mnie pani męskości. Nigdy nie będę mógł już spojrzeć żadnej kobiecie w oczy. Chyba że będzie pani do mnie mówić całkiem po prostu Klaus. To by podniosło mnie na duchu.

— No więc dobrze, Klaus!

Weszli do kuchni. Klaus, rozejrzawszy się dookoła, gwizdnął z uznaniem.

— Proszę, proszę! Czy te meble znajdują się tu tylko na wystawie, czy też są przez was używane?

Ewa uśmiechnęła się skromnie.

— Muszę teraz przygotować obiad — powiedziała. — Brat przyjdzie za jakąś godzinę.

— W takim razie możemy godzinę spokojnie pogawędzić. Dlaczego chce się pani zająć niepotrzebną robotą? Niech mu pani po prostu postawi puszkę wołowiny i do tego pół komiśniaka, to staremu wojakowi najzupełniej wystarczy.

— Jest pan naprawdę bardzo śmieszny.

— I ja tak uważam. Płynię to stąd, że żyjemy w takim komicznym świecie.

— Co pan właściwie robi całymi dniami, to znaczy wtedy, kiedy jest pan sam?

— Oddany zostałem na służbę sprawiedliwości — powiedział.

— Jestem jej chłopcem na posyłki.

— Sprawia pan raczej takie wrażenie, jakby należał pan do personelu jakiegoś cyrku

— Nie ma żadnej różnicy. Tylko że cyrkowcy są znacznie uczciwsi i pracowitsi, poza tym zachowują się dokładnie tak samo jak prawnicy: są pośrednikami iluzji.

Ewa Schulz zajęła się główką sałaty. Ale od czasu do czasu spoglądała w stronę Klause. Miał szeroko rozstawione nogi, podpierał się łokciami, wyglądał miło, trochę łobuzersko. Ale w oczach jego były chłodne, badawcze błyski.

— Mam głęboki wgląd w egzystencje ludzkie — ciągnął Klaus Gisenius. — Poznaję parszywych złodziei, rozpustnych pedagogów, łagodnych morderców, pobożnych kup-lerów i cieszących się wysokim poważaniem szantażystów, dostojne, zasłużone resztki społeczeństwa niemieckiego.

— Są i inni!

— Oczywiście. Na przykład tacy, którzy są już aż tak starzy, że nie mogą ruszyć palcem, i dlatego sprawiają wrażenie cnotliwych. Następnie tacy, którzy są dostatecznie inteligentni, aby się nie dać tak łatwo schwytać. Wreszcie

tacy, do których obowiązujące na razie prawo dosyć dobrze pasuje, bo albo je sami stworzyli, albo na nie wpłynęli, albo się do niego dostosowali.

— A ja, pańskim zdaniem, do jakiego gatunku należę? A mój brat?

— Widzi pani, to właśnie chciałbym rozgryźć.

— To długo będzie pan musiał gryźć!

— Wcale nie, jeżeli pani mi w tym pomoże. Spełni pani przez to, że tak powiem, szlachetny uczynek. Zawsze mnie to niepokoi, gdy gdzieś istnieją ludzie, którzy nie dają się z miejsca rozgryźć. Kiedy panią zobaczyłem, ogarnęła mnie ciekawość. A kiedy w dodatku jeszcze przedwczoraj brat pani stanął mi na drodze, nie byłem już w stanie utrzymać się w ryzach. Jeżeli chodzi o brata pani, dziewczyno, to jest to egzemplarz niebywale komiczny. Sprawia wrażenie przyzwoitego, porządnego i zasługującego na szacunek.

— Jest taki! — zawołała Ewa z naiwną dumą.

— Ale jak długo taki będzie? Przecież ten człowiek wręcz prowokuje swoje otoczenie. Nawiasem mówiąc, pani również. Ma już pani właściwie stałego przyjaciela?

— Niech pan pomówi o tym z moim bratem, Klaus, jeżeli zależy panu na tym, aby prócz pięknych cech jego charakteru poznać jeszcze siłę jego pięści.

— Popatrz, popatrz! — zawołał Klaus zachwycony. — To jak ułał pasuje do obrazu, który sobie wytworzyłem. Daję pani słowo, że zaciekawia mnie to wszystko coraz bardziej.

Zjawiasz się bardzo późno — rzekła Karen nadąsana.

— Nie przywykłam czekać tak długo. Masz teraz czas dla mnie?

— Niewiele — odparł Hirsch.

— W takim razie będę się streszczać i mówić jasno i wyraźnie. Poza tym siedzenie tutaj nie jest zbyt przyjemne, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy przeszli do twego prywatnego mieszkania?

— Lepiej nie.

— Ale tutaj stale się na nas gapią. Powinieneś nieco stranniej dobierać sobie personel. Jeden z twoich kelnerów przygląda mi się jak dziki kozioł.

Martin Hirsch nie wypowiedział się na ten temat. Po krótkiej chwili zapytał:

— O czym chcesz ze mną mówić? Co mogę zrobić dla ciebie?

— Dużo! — zawołała Karen spontanicznie.

— Obawiam się, że to za wiele.

— W takim razie mnie nie kochasz. — Karen wypowiedziała tę skargę półgłosem. Hirsch mógł być pewien, że nikt poza nim tego nie słyszał. Był dosyć obeznany z akustycznymi właściwościami swego hotelu.

— Słuchaj no, Karen, czy twierdziłem kiedykolwiek, że cię kocham?

— Nie, naprawdę nie? — Karen udała zdziwienie. — Nie kochałeś mnie również cztery dni temu, kiedyśmy siedzieli w barze „Maxim”?

— Było to pięć dni temu. Spotkaliśmy się przypadkowo, spławiłem jednego z twoich bubków, ponieważ wyglądał podejrzanie, potem pozwoliłem sobie uświadomić cię, że wyjątkowo miła i pociągająca z ciebie dziewczyna, co też jest prawdą. Chciałem cię wyrwać z tego baru, ale nie myślałem o tym, żeby cię położyć do mego łóżka.

— Aleś mnie całował!

Martin Hirsch rozejrzał się badawczo dokoła. Temperament Karen, wybuchający tak beztrąsko, mógł być niebezpieczny. Kelner Paul nie odrywał od Karen pożądnego spojrzenia. I to już od dwóch godzin, jeżeli tylko znajdował po temu okazję.

— Karen — rzekł Hirsch sugestywnym szeptem — spróbuj nie przesadzać. Oboje trochę wypiliśmy, było mi w twoim towarzystwie dobrze i miło. To prawda, pocałowałem cię, ale tak jak się całuje córkę.

— Naprawdę? Jeżeli chodzi o mojego ojca, to dotychczas nic podobnego ze mną nie próbował.

— Ojciec twój, Karen, zupełnie inaczej podchodzi do życia niż ja. W porównaniu z nim jestem lekkoduchem. Ale nie jestem nikczemną świnią.

— Nie, nie jesteś — powiedziała Karen z przekonaniem. — I dlatego też cię kocham, choć jesteś o dwadzieścia lat starszy ode mnie i należysz do przyjaciół mego ojca. Znam wszystkie twoje zastrzeżenia i opory, ale nie zmieniają one faktu, że jestem gotowa kochać cię, jeżeli tylko zechcesz.

— Szczerowość za szczerowość, Karen: ja nie chcę!

— Kochasz inną? Może swoją sekretarkę?

— Wolnego, Karen, wolnego. — Znowu rozejrzał się ostrożnie.

— Tego, co jest dla ciebie miłością, nie można wymusić siłą, a już tym bardziej nie czymś takim jak stawianie człowieka wobec tak zwanych nagich faktów.

— Martin, potrzebny mi jest ktoś, kogo mogłabym kochać. Potrzebny pilnie, gwałtownie!

Hirsch pochylił się ku niej i powiedział tonem niemal ojcowskim:

— Posłuchaj, dziewczyno: my wszyscy potrzebujemy kogoś, kogo moglibyśmy kochać. Ale tacy ludzie nie latają tuzinami po świecie, nie czekają na rogach ulic. A już na pewno nie znajdują się ich w łóżkach, do których kładziemy się ze zbytnią gotowością. Trzeba szukać i być cierpliwym.

— Ale właśnie na to nie mogę sobie pozwolić. Nie mam na to już czasu. Mam bowiem wyjść za mąż, i to możliwie jak najprędzej.

— Za kogo masz wyjść za mąż?

— Za Bartoscha, którego chce mi narzucić mój ojciec. Właśnie za Bartoscha, tego zбочzonego reprezentanta polityki siły!

Martin Hirsch nie powiedział na razie ani słowa, ale na jego zuchwałej twarzy pogromcy byków pojawił się wyraz powagi. Szydercze oczy zwężyły się, ręce, leżące na stole, zacisnęły się w pięści.

— Oniemiałeś, co? — zapytała Karen tryumfalnie.

Po dłuższej pauzie Hirsch powiedział, tym razem bez ironii:

— Obawiam się, Karen, że jest to sprawa, którą ty sama, bez mojej pomocy, musisz załatwić.

— A więc to tak wygląda! — zawołała z oburzeniem. — I ty boisz się mego ojca!

— Bzdury! — rzekł Hirsch niemal pogodnie. Opanował się już, w oczach jego pojawiły się znowu błyski niezmaconej ironii. — Nie mam tylko ochoty przysparzać twemu staruszkowi nowych trudności. Z przyczyn czysto prywatnych miałem już przed laty z twoim ojcem straszliwe starcie.

— Ależ ja o tym wiem! I między innymi dlatego właśnie przyszedłem do ciebie. Pomogłeś wtedy wielkodusznie drugiej żonie mego ojca. Sama mi to opowiadała. Kocham cię również i dlatego. Jesteś człowiekiem, na którym można polegać. A więc pomóż mi!

— Wskutek mojej przedwczesnej gotowości do niesienia pomocy nasza stara przyjaźń omal się wtedy nie rozpadła. Czy mam teraz lekkomyślnie zniszczyć ją do reszty?

— A co będzie, Martinie, jeżeli nie będziesz miał wyboru?

— Czy to groźba, Karen?

— Zmuszasz mnie do tego!

Zjawiała się Gizela Wandel. Była rzeczowa i idealnie uprzejma. Hirsch był zadowolony, że im przeszkodziła. Powitałby z radością każdego, kto by przerwał tę rozmowę. Zaczynała się już robić kłopotliwa.

— Pan Bennicken czeka w holu.

— Chce ze mną mówić? — zapytał Hirsch z nadzieją w głosie.

— Zdaje się, że panu Bennickenowi wystarczy, jeżeli zakomunikowane zostanie panu, co następuje: Pan Kerze zaprasza członków drużyny na spotkanie koleżeńskie, na dziś wieczór, na godzinę ósmą, tu do hotelu. Sprawa podobno pilna.

— Proszę powiedzieć panu Bennickenowi, że w porządku.

— Powiem mu to, panie Hirsch.

Powiedziawszy to, Gizela Wandel odeszła. Jej dyskretne zachowanie nie pozostało bez wpływu na Hirscha. Był dla niej pełen podziwu, że tak zawsze w porę potrafiła interweniować.

— A więc, Karen — rzekł — będziesz rozsądna i dasz spokój groźbom. I tak będę miał dosyć kłopotu, aby w ja-

kiś możliwie przyzwoity sposób wytłumaczyć twemu ojcu scenę rozbierania się, którą zaprodukowałaś w moim mieszkaniu.

— A jeżeli powiem, żeś mnie do tego skłonił?

— Wtedy powiem, żeś mnie haniebnie rozczarowała, nawet w łóżku. Mam nadzieję, że twoja duma kobieca nie pozwoli ci uważać za pożądany ten rodzaj rewelacji.

Pełna temperamentu Karen spoglądała na Hirscha z oburzeniem i rosnącą z minuty na minutę wściekłością. Nic sobie z tego nie robiąc, Hirsch zapalił spokojnie papierosa. Ten dowód prowokującej obojętności spotęgował jeszcze furię Karen. Gorączkowo zaczęła zastanawiać się nad tym, jak by tu wyładować swoją wściekłość. Nie musiała długo się zastanawiać.

— Panie, ej, panie! — zawołała na całą salę restauracyjną. — Niech pan podejździe!

Nieliczni goście podnieśli z zaciekawieniem głowy. Hirsch chciał interweniować, ale już zbliżyła się wybrana przez Karen ofiara: kelner Paul.

Paul skłonił się, może nieco głębiej niż zazwyczaj, jako że obecny był przy tym dyrektor hotelu. Dawał się obmacywać Karen oczyma. Potem głosem nieco ochrypłym zapytał:

— Pani sobie życzy?

— Niech pan mi łaskawie oszczędzi swego cielecego spojrzenia! — Karen pałała jedynie żądzą wyładowania na kimś swej wściekłości. — Przygląda mi się pan w sposób wręcz nieprzyzwoity.

— Dobrze już, dobrze, Paul — rzekł Hirsch, z trudem panując nas sobą. — Może pan odejść.

Paul odszedł bez słowa, sztywny, wyraźnie dotknięty do głębi.

— Odrażający facet! — powiedziała Karen głośno.

— A ty jesteś rozhisteryzowana baba! — zawołał Hirsch. — Chwilami twój zmysł obserwacyjny jest tak samo do kitu jak twój rozum. Właśnie tego człowieka nie wolno ci było obrażać, bądź co bądź wie o tobie niejedno, co ci wcale nie przynosi zaszczytu.

— O mnie?

— Oczywiście! To właśnie ten sam kelner, który widział, jakę się zupełnie naga gimnastykowała w moim pokoju.

— Mam to w nosie! — zawołała Kar en z niezmienną gwałtownością. — Nie jest on na pewno jedynym, który widział mnie naga. — Nagle, idąc odruchowo za pomysłem, który wpadł jej do głowy, dodała ze śmiechem: — Kto wie, na co się to jeszcze może przydać? Czasami świadek jest bardzo potrzebny. Może nie?

Koledzy, słuchajcie! — Schulz powiedział to wprawdzie ciepło, ale głosem lekko podniesionym. Tymczasem koledzy nie mieli jeszcze ochoty go słuchać. Zebrani w małym pokoju konferencyjnym hotelu „Unter Drei Kronen”, byli pochłonięci rozmówkami na tematy handlowe i prywatne. Nie pytali o głębszy sens tego spotkania, nie oczekiwali go.

— Spokój! — zawołał teraz Schulz surowo.

Momentalnie zamilkli. Donośny głos Schulza nigdy prawie nie pozostawał bez echa. Ciągłe jeszcze mieli dyscyplinę we krwi. Byli nawet z tego dumni, mniej lub bardziej, zależnie od okoliczności.

— Głos ma nasz kolega Kerze — obwieścił Schulz.

— Zanim rozpocznie — dorzucił beztróska Hirsch — pytanie natury czysto organizacyjnej: czy każdy ma dosyć do picia?

Zastali to, czego oczekiwali: wystarczające ilości napitków, jak zwykle u Hirscha bezbłędnie i przejrzyście przydzielane: jasne piwo dla Schulza, pilznskie z browaru Rheine-Bergen dla Kerzego, monachijskie i duńska żytniów-ka dla Bennickena, zamrożona okowita i wiśniówka dla Frammlera. Dla Giseniusa było delikatne jak aksamit wino mozelskie, dla siebie Hirsch wybrał jasnorożowe z Anjou.

— Uderzyło mnie — powiedział Frammler — żeś posta wił wiśniówkę pięćdziesięcioprocentowa, przecież istnieje również pięćdziesięcioprocentowa!

— Człowieku! — Jak zwykle w takich i podobnych wypadkach Schulz czuł się całkowicie panem sytuacji. — To wypijesz więcej i w ten sposób dojdiesz do swoich pięćdziesięciu pięciu procent.

— Niech będzie — rzekł potulnie Frammler. — Ze mną wszystko można zrobić. Byłem przecież tylko starszym szeregowym.

— A więc, koledzy! — Schulz przejął, żeby tak rzec, inicjatywę w swoje ręce. — Zacznijmy nareszcie. Proszę cię, Kerze!

— Tak — rzekł Kerze, lekko parsknąwszy — istotnie prosiłem o głos. A wiecie chyba, że nie jestem nieśmiałą dziewicą. Ale w tym wypadku właściwie nie wiem, jak zacząć.

— Najlepiej od początku — rzucił z głupia frant Frammler.

— A więc, koledzy — powiedział Kerze — mam wam do zakomunikowania niestety rzecz drażliwą i bardzo zastanawiającą. Długo myślałem nad tym, jak wam to powiedzieć. Co do tego, że powiedziane to być musi, nie ma wątpliwości.

— Tylko odważnie! — Schulz siedział rozparty na krześle, pewny siebie. — Nas nie tak łatwo zwalić z nóg.

— No więc dobrze. — Kerze znowu się rozpędził, by wziąć piętrzącą się przed nim przeszkodę. — Najlepiej chyba będzie, jeżeli zwrócę się do ciebie, drogi kolego Schulz. Proszę, przypomnij sobie, co ci się przedwczoraj przydarzyło.

— Cóż takiego miałyby mi się przedwczoraj przydarzyć? — Schulz uśmiechnął się do zebranych. — Trochę za dużo wypilem, no i w pewnej chwili zobaczyłem białe myszy.

— Mysz blondynkę — sprostował Frammler lubieżnie.

— Stul pysk! — zawołał ostro Hirsch. — Ta sprawa nie stoi na porządku dziennym, w każdym razie tak długo nie będzie stać, dopóki ja tu mam coś do powiedzenia. A może ktoś jest innego zdania? Może ty, Kerze?

Kerze pochylił się w stronę Hirscha. W oczach jego pojawiły się groźne, ostrzegawcze błyski. Gisenius położył rękę na ramieniu Kerzego.

— Drogi Willy, wiesz, że staram się zawsze być bezstronny, w każdym razie w naszym gronie. Otóż uważam, że Hirsch ma tym razem rację. Powinniśmy pewną niemiłą sprawę puścić w niepamięć.

— Właściwie dlaczego? — zapytał Frammler z uśmiechem.

— Bo jesteśmy rycerscy — rzekł Gisenius skromnie.

— I to jeszcze jak! — zawołał Bennicken.

— Zostałem źle zrozumiany — zapewnił ich Kerze. — Powiem jasno i wyraźnie, przyjaciele: Kto będzie próbował rozpuszczać nieprzyzwoite plotki na temat mojej córki, tego pociągnę do odpowiedzialności za oszczerstwo.

— A ja mu przetrączę krzyż! — oświadczył Hirsch.

— Do rzeczy, koledzy, do rzeczy! — zawołał Gisenius. — Kerze, masz głos.

Kerze musiał się mocno wysilić, żeby się skupić.

— Chodzi więc o rzecz następującą: Kolego Schulz, przedwczoraj twierdziłeś coś dziwnego. Rzekomo zobaczyłeś pewną twarz, znaną i tobie, i nam wszystkim.

— Ależ nie! — zawołał Schulz bez namysłu. — Skądże znowu! Jestem absolutnie pewny, że się pomyliłem. Zobaczyłem upiora, to wszystko. Sprawa całkowicie jasna. Właściwie dlaczego o tym mówimy?

— Rad byłbym wiedzieć, o czym my w ogóle mówimy — rzekł Frammler. — Czy zebraliśmy się tu jako koledzy, czy też istnieją między nami tajemnice? A więc co się stało?

— Pomyłka — rzekł Gisenius łagodnie, ale dobitnie. — Chyba nie warto na ten temat mówić. Zapomnijmy o tym. Zgoda, Kerze?

— Co tu ma być zapomniane? — zaczął wiercić im dziurę w brzuchu Frammler. — Kogo rzekomo widział Schulz? O jaki rodzaj upiorów właściwie chodzi? Co ma na myśli kolega Gisenius, wzywając do zapomnienia? Chcę wiedzieć, i to dokładnie!

Willy Kerze obwieścił:

— Otóż sprawa wygląda następująco: Schulz utrzymywał przedwczoraj, że widział Michela Meinersa.

— Kogo? — zapytał Frammler, jakby rażony piorunem.

— Michela Meinersa.

— Zupełnie zwariował! — zawołał Frammel. - Przecież on nie żyje!

— Gryzie ziemię — dodał Bennicken.

— Na zdrowie! — rzekł Hirsch, podnosząc w górę kieliszek. — Pod tego niewątpliwego trupa!

Ale nikt nie wypił, nie mógł wypić, Willy Kerze oświadczył bowiem całkiem jednoznacznie: — Jestem pewien, że tu nie zachodzi pomyłka. Schulz istotnie widział Michela Meinersa.

— Nie! — zawołał Schulz. Zobaczył chłodny, surowy wzrok Giseniusa, wymagający od niego zdecydowanej postawy. — Nie! Mylę się rzadko, to prawda, ale tym razem była to istotnie pomyłka. Zobaczyłem, do kroćset, upiora! I dlatego dla mnie sprawa jest załatwiona.

— Nie jest załatwiona ani dla ciebie — rzekł Kerze znacząco — ani dla mnie, ani dla nikogo z nas. Słuchajcie, przyjaciele, ja także widziałem Michela Meinersa. Stał przede mną w świetle reflektora, w odległości kilku zaledwie metrów. Nie ulega żadnej wątpliwości, że był to Michel Meiners!

Tylko spokojnie, powoli. — Jak zwykle w drażliwych sytuacjach przewodnictwo nad grupą ujął w swe ręce Gisenius. — Zastanówmy się nad wszystkim gruntownie, bez pośpiechu. Martin Hirsch zamówił w kuchni przez telefon dwa dzbanki bardzo mocnej kawy. Dla siebie odkorkował kolejną butelkę różowego wina. Relacje „upiorników” — tak określił i nazywał odtąd Schulza i Kerzego — nie imponowały mu zbyt. Już dawno zrozumiał, że na tym świecie nie ma nic niemożliwego.

— Co widziałem, to widziałem — upierał się Kerze.

Na razie Karl Schulz odczuwał zadowolenie, że się nie pomylił.

— Byłem całkowicie pewien swego — dowodził znowu. — Wiedziałem doskonale, co robię, polecając Meinersa uwadze młodego Bennickena.

— Coś ty zrobił? — zapytał Gisenius.

— Powiedziałem młodemu Bennickenowi, który codziennie prowadzi autobus: Miej na oku tego człowieka, który siedzi z tyłu w twojej budzie.

— I cóż, miał go na oku?

— Tego nie wiem. Przecież wmówiono we mnie, że widziałem upiora.

Gisenius uczepił się tego śladu.

— Słuchaj no, Bennikken, gdzie jest teraz twój syn?

— Przy kierownicy mojej taksówki — rzekł Bennicken.

Martin Hirsch zareagował na to z wrodzoną sobie szybkością. Podniósł słuchawkę telefonu, kazał się połączyć z portierem hotelu i polecił:

— Proszę zadzwonić na miejsce postoju taksówek po Bennickena. Niech Bennicken junior przyjdzie tu do hotelu. Natychmiast! Skoro tylko się zjawi, proszę przysłać go tu na górę.

— Bzdura! — Frammler wypowiedział to niemal z zadowoleniem. — Wszystko bzdura!

— Ty nie możesz zabierać głosu w tej sprawie. — Kerze czuł się dotknięty, że do jego zeznania na temat tego, co widział na własne oczy, tak mało przykładano wagi.

— Piramidalna bzdura! — Frammler spojrzał wyzywająco na Giseniusa, ale ten był pochłonięty czymś innym.

— A więc twierdzisz, mój Kerze, żeś go widział — rzekł Gisenius. — Aleś z nim nie rozmawiał, co?

— Podobno rzadko się zdarza, żeby upiory mówiły — rzekł Martin Hirsch. — A jeżeli to czynią, to trudno przypuszczać, żeby to czyniły w formie meldunku. Na przykład: melduje się szeregowy Meiners, wyszedł przed chwilą z grobu, żeby odnowić przeżycia frontowe!

— Słuchaj no, Hirsch — powiedział Gisenius — ty, zdaje się, nie uświadamiasz sobie wagi tej historii.

— Co to mnie obchodzi? — Hirsch wychylił swój kieliszek do dna. — Nie mam z „upiornikami” nic wspólnego.

— Co to ma znaczyć? — zaatakował go Gisenius. — Czyżbyś chciał nas wystawić do wiatru, gdyby nasze przypuszczenia jednak się sprawdziły? Co prawda nie sądzę, ale niestety nie wydaje mi się to już teraz wykluczone.

— Gdyby Hirsch chciał się teraz wycofać — zawołał Kerze oskarżycielsko — mógłbym tylko powiedzieć: to do niego podobne.

— Zawracanie głowy! — rzekł Hirsch. — Jak wisieć, to razem. Poza tym to też miałyby swój urok zobaczyć Kerze-go w stroju areztanckim.

— Ależ moi panowie! — upomniął ich Gisenius. — Szczególnie teraz nie możemy sobie pozwolić na spory we własnych szeregach. Właśnie teraz winniśmy być wyjątkowo solidarni. Musimy być zvarci bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie do pojęcia! — Frammer wychylił z prawdziwą rozkoszą kolejny kieliszek swojej pięćdziesięcioprocentowej gorzały. — Nigdy nie słyszałem większej bzdury. Włosy człowiekowi stają dęba.

Dwie sprawy rozdzieliły po chwili skłóconych: wniesiona kawa i pojawienie się Bennickena juniora, który miał na sobie zniszczony szoferski strój, zapewne znoszony przez ojca.

Chłopiec podszedł bliżej, twarz jego miała wyraz łobuzerski, kiedy jednak zobaczył wśród sześciu panów swego starego, który mu się bacznie przyglądał, przybrał postawę pełną respektu.

— Czy junior się czegoś napije? — zapytał Hirsch.

— Nie! — zawołał Bennicken senior. — Jest na służbie.

— Może filiżankę kawy?

— Również nie! — Bennicken był nieubłagany. — To wywołuje zdenerwowanie.

— Mój drogi młody przyjacielu! — Gisenius, uśmiechając się uprzejmie, przysunął się do chłopaka. — Czy pamięta pan jeszcze, co panu wczoraj wieczorem zlecił pan Schulz?

— Ależ oczywiście!

— Jeżeli jestem dobrze poinformowany, to miał się pan bliżej przyjrzeć jednemu z pasażerów.

— Zrobiłem to. Miałem go na oku.

— Z jakim rezultatem?

— Nie różnił się niczym od innych. Mógł mieć lat czterdzieści, a może trzydzieści pięć. Patrzył przed siebie. Miał wielkie oczy, powiedziałbym: wole oczy. I blizny

jak gdyby od bijatyki. Głos kaznodziei, łagodny jak **miód**. Drobny, niepozorny, krzywe, kawalerskie nogi.

— To mógł być on — rzekł Kerze.

— Albo i nie — powiedział Hirsch. — Taki rysopis może pasować do setek ludzi.

— Miał bagaż — rzekł Bennicken junior. — Walizkę.

— Z jakimś napisem? — zapytał Gisenius. — Etykieta, nazwisko, monogram?

— Owszem. Coś w tym rodzaju. Dwie litery. To wpadło mi w oko, nie można było tego nie zauważyć, bo to było podwójne M.

— Michel Meiners — rzekł Schulz niemal nabożnie wśród grobowej ciszy. — A wyście próbowali i próbujecie wmówić we mnie, żem się pomylił!

— To jeszcze niczego nie dowodzi — zachnął się Hirsch.

— M. M. może mieć najróżniejsze znaczenie. Na przykład Matheus Muller, nazwa znanego szampana. Może ten czło wiek jest komiwojażerem firmy handlującej napojami wy skokowymi...

— Pan nie wie, skąd jechał i dokąd?

— Tego mi nie powiedział. — Bennicken junior nie domyślał się nawet, jakiego narobił zamętu. Stał z głupią i dumną miną, rozkoszował się tym, że jest ośrodkiem zainteresowania. — Nagle znikł razem z walizką. Nie mam pojęcia, dokąd się udał.

— Po prostu rozpląnął się w powietrzu, ulotnił jak dym! — zawołał Hirsch. — To podobno jest normalne u duchów.

— Dobrze — rzekł Gisenius do młodego Bennickena — to byłoby wszystko. Dziękujemy, może pan odejść.

— Należy mi się trzy pięćdziesiąt — oświadczył junior.

— Tyle wskazuje licznik.

— Pójdzie na konto kosztów handlowych — zdecydował Bennicken senior. — Odmaszerować!

Młody Bennicken ulotnił się posłusznie. Pozostali zareagowali bardzo różnie na to, co powiedział. Kerze i Schulz czuli się wyraźnie usatysfakcjonowani. Hirsch był najmniej skłonny widzieć w tym nadeciągającą katastrofę. A Fram-mler był wyraźnie rozbawiony.

— Moi panowie! — rzekł wreszcie Gisenius. — Zreasumujmy sobie wszystko dokładnie: Kerze i Schulz widzieli człowieka, którego wszyscy znamy czy znaleźmy. Jeden z nich mógł się mylić, chociaż chodzi w tym wypadku o dwóch doskonałych obserwatorów. To, żeby obaj ulegli złudzeniu, uważam prawie za wykluczone. Nasuwa się więc nieuchronny wniosek: coś tu jest nie w porządku. I to właśnie mnie martwi. Mnie i nas wszystkich. Jedyne Hirsch uważa całą sprawę za zabawną. Dlaczego, kolego Hirsch, dlaczego?

— Chcemy to teraz wiedzieć dokładnie — zażądał Kerze.

— Odpowiedź moja jest zupełnie prosta — rzekł Hirsch

— nie z mojej winy może się wam wydać nawet obraźliwa. A więc należałoby wiedzieć, że na tej ziemi i w tym życiu istnieje kilka jasno określonych, niezachwianych, nieodwracalnych prawd. Należy do nich na przykład płodzenie, w którego rezultacie człowiek się rodzi, oraz śmierć, która jest kresem ostatecznym.

— Płodzenie! — wykrzyknął Kerze. — Zawsze te świństwa! I zawsze te same!

— Dobrze, mówmy więc o śmierci — powiedział Hirsch.

— Nikt jej nie może uniknąć i zdarza się ona człowiekowi w życiu tylko raz.

— Otóż to! — zawołał Frammler. — Dokładnie to samo chciałem przez cały czas powiedzieć.

— Zgadza się z Frammlerem — rzekł Hirsch. — Nie powinniśmy byli w żadnym wypadku pomijać naszego sławetnego eksperta od trupów.

— Ależ w tym wypadku — wmieszał się Schulz — Frammler wie równie mało albo równie wiele co my.

— Błąd, pomyłka — zareplikował Frammler z wielką pewnością siebie. — Kiedy chodzi o trupy, wiem o wiele więcej niż zwykli śmiertelnicy. Widziałem nieboszczyka Mi-chela Meinersa, był martwy jak mało kto.

— Jak to? — zapytał głucho Gisenius.

— Przeprowadziłem — ciągnął dalej Frammler rozkoszując się zdumieniem obecnych — coś w rodzaju oględzin zwłok w dwa tygodnie później, kiedy wszystko się do pewnego stopnia uspokoiło i, żeby tak rzec, sprawa zaczęła

zarastać trawą. Z należytą ostrożnością udałem się więc na miejsce wypadku, aby wszystko, zgodnie z moją naturą, gruntownie zbadać. Tak, tak, możecie mi wierzyć. Gruntowność, dokładność, precyzja to w moim zawodzie rzeczy nieodzowne. Mnie z katafalku nikt nie ucieknie!

— Do rzeczy, człowieku! A więc udałeś się na ów skraj lasu!

— Tak jest. I wszystko było jak czternaście dni temu. Poza smrodem. Ale smród do mnie nie dociera, to także właściwość mego zawodu. Wcześniej czy później człowiek się do tego przyzwyczaja. Zżyłem się ze smrodem dość wcześnie. Już jako dziecko byłem niewrażliwy na zapachy.

— No dobrze, jesteś na skraju lasu. Coś tam zobaczył?

— To, co spodziewałem się zobaczyć. Dziurę w piasku, drózkę, świerkowe gałęzie, którymi został przykryty trup.

— To była sośnina — sprostował Schulz.

— Mniejsza o to — powiedział Frammler, lekko dotknięty. — Nie jestem botanikiem, wiedza moja dotyczy innej dziedziny, ale za to tę dziedzinę mam opanowaną jak mało kto. Rozglądam się więc, okolica była dosyć zrujnowana, ledwie ją poznałem. Ale potem znalazłem to, czego szukałem: Meinersa, skulonego, z połamanymi kośćmi, z pogruchotaną klatką piersiową, z głową rozbitą na miazgę. Jak już powiedziałem: chyba nigdy nie widziałem kogoś, kto by był tak absolutnie martwy.

— Są jakieś pytania? — zawołał Hirsch.

Obecni milczeli, przejęci, zamyśleni. Trochę im ulżyło. Tylko Frammler podniósł rękę.

— Ja mam pytanie. Właściwie dlaczego dają nam tu tak mało do picia? Nie uważam, żeby to było bardzo po koleżeńsku.

4. Skutki mecenatu kulturalnego

Jestem artystą i nie ma na to rady! — oświadczył Ouahnke. — Jako taki mam swoją dumę. — I nic ponadto? — zapytał Martin Hirsch ubawiony. Znajdował się w biurze kawiarni (z muzyką) „Paris”. Siedzący przed nim William Ouahnke, tak zwany kierownik artystyczny zakładu, był dostojnym sześćdziesięcioletkiem o brzuchu de Gaulle'a i twarzy Cezara; nieco wymięty, niezbyt czysty, ale jak się rzekło, dostojny!

Kawiarnia należała do hotelu „Unter Drei Kronen”. Mieściła się w budynku hotelowym, w suterenie bocznego skrzydła. Stosunkowo niewinna nora rozrywkowa dla mieszczuchów spragnionych dreszczyków i niezwykłych przeżyć.

— Jeżeli pan łaskaw, panie Hirsch, to pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę na pannę Marlenę Sonnenberg — rzekł Ouahnke.

— Czyżby był pan z niej niezadowolony? Przecież śpiewa równie dobrze albo równie źle jak przed trzema tygodniami, kiedy to zaczęła występować.

— Ależ oczywiście — przytaknął z miejsca Ouahnke. — Jej kwalifikacje artystyczne, o ile w ogóle może być u niej o nich mowa, się nie zmieniły. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że jej czysto ludzkie zachowanie pozostawia w ostatnich czasach wiele do życzenia.

— Dawać sobie z pańskimi tak zwanymi artystami radę w sprawach czysto ludzkich to wyłącznie pańska sprawa, panie Ouahnke.

Kierownik artystyczny wił się jak piskorz. Odgrywał rolę Talleyranda zabiegającego o łaskę Napoleona. Dawał do

zrozumienia, że chodzi tu o coś w rodzaju akcji państwowej w ramach kawiarni „Paris”.

Hirsch rozkoszował się tym widowiskiem. Ze znudzoną miną udawał, że się przygląda urządzeniu biurowemu: wy-sortowanym, niechlujnym, parszywym meblom, jakie można było znaleźć tylko w najgorszych pokojach hotelu, wystrzępionym, zżartym przez mole kotarom z pluszu, które zdobiły niegdyś tak zwany apartament książęcy, wiszącym na ścianach krzykliwym, pstrym plakatom, prezentującym jędrne ciała kobiece.

— Sprawa wygląda tak — kontynuował Ouahnke — kiedy panna Marlena Sonnenberg została tu zaangażowana, była w niej jeszcze owa artystyczna skromność, która wydaje mi się nieodzowna. Niestety, to się zmieniło, i przyczyna tego jest chyba jasna. Może przypomina pan sobie jeszcze, panie Hirsch, że poleciłem pannie Sonnenberg owo prywatne mieszkanie, na które był mi pan łaskaw zwrócić uwagę.

— No i? — Hirsch udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

— Cóż to ma za znaczenie? Dowiedziałem się od mego przyjaciela, pana Schulza, że ma w swoim mieszkaniu do wynajęcia umeblowany pokój, i poinformowałem pana o tym. Uważa pan to za coś niezwykłego?

— Ależ nie, na pewno nie! — Ouahnke skręcał się cały, puścił w ruch ręce. — Posłałem wtedy pannę Sonnenberg do pana Schulza. Ale może to był błąd?

— Mógł pan równie dobrze posłać tam jednego z muzykantów albo kogokolwiek.

— No tak. Sądziłem jednak, że oddam panu Schulzowi, z którym jest pan zaprzyjaźniony, coś w rodzaju przysługi.

— Ouahnke! Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że pośrednio skłoniłem pana do odegrania roli sutenera?

Ouahnke podniósł obie ręce w teatralnym geście przerażenia, bo niechcący znalazł się na bardzo niebezpiecznym gruncie. Wmieszanie człowieka na takim stanowisku, jakie zajmował Hirsch, w wątpliwej natury machinacje obyczajowe mogło Williamowi Ouahnkemu grozić utratą posady.

— Panie dyrektorze — rzekł więc pospiesznie — jeżeli w ogóle może tu być mowa o jakimś fałszywym pociąg nięciu, cała wina jest oczywiście po mojej stronie. Ale co mam robić?! Jestem na skraju rozpaczy! Ta osoba, ta panna Sonnenberg, traktuje mnie od pewnego czasu jak osobnika niższej klasy.

Hirsch potrafił sobie doskonale wyobrazić sytuację Ouahnkego, którą ten się tak zadręczał, i wydawało mu się to wszystko groteskowe. Ta Marlena Sonnenberg próbowała prawdopodobnie wykorzystać swoją zażyłą przyjaźń z Schulzem. Hirsch zapytywał się w duchu: co też ona może sobie przy tym myśleć? Kogo chce sprowokować? Ouahnkego czy też może jego samego, Hirscha?

— A więc, Ouahnke — rzekł chłodno — nic mnie nie obchodzi, co prywatnie robią pracownicy tego przedsięwzięcia. Jeżeli jednak nie spełniają swych zadań, bo są niezdolni, opieszali i niechętni, to muszą być usunięci, i to lepiej dziś niż jutro. W pańskim przypadku oznacza to: jeżeli ta Sonnenberg jest punktualna, zachowuje się poprawnie i pracuje w miarę swoich sił, to wszystko jest w porządku. Jeżeli nie, wyleci. Jeszcze jakieś pytania?

Saffranski ślęczał nad stosem akt i załączników. Kiedy jednak wszedł do pokoju jego dyrektor, podniósł się błyskawicznie i skłonił. Potem z uprzejmym wyrazem twarzy stanął w unizonej pozie nieco z boku, w pobliżu szafy pancernej.

— No i cóż, Saffranski, powoli wgrzył się już pan w całą sprawę?

— Tak jest, panie dyrektorze. Chyba mogę powiedzieć, że mam już dostateczny wgląd. Buchalteria hotelu bowiem pracuje również zgodnie z przyjętymi normami. Jedyne pewne zaksięgowane pozycje wydają mi się na razie nieco skomplikowane. Ale i to da się rozgryźć.

— Doskonale! — Kerze kiwnął głową z uznaniem. — Prucker, doradca finansowy przedsiębiorstwa Hotele Europy,

dostarczy panu wszystkich akt i załączników dotyczących roku handlowego tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt siedem — pięćdziesiąt osiem. Przyniesie je pan tutaj i dokładnie opracuje.

— Tak jest, panie dyrektorze. Zostaną dokładnie opracowane.

— Nie chodzi mi przy tym tak bardzo o to, aby pan przeprowadzał kalkulację rentowności, będziemy mieli na to czas później. Na razie niech pan spróbuje wytropić jakąś pomyłkę, może tylko jakąś niedokładność. Może uda się panu wykryć coś, co śmierdzi. Zrozumiał pan, panie Saf-franski?

— Zrozumiałem, panie dyrektorze.

— W porządku — rzekł Kerze i znowu skinął przychylnie głową. — Niech się pan stara. Mam nadzieję, że się pan dobrze tutaj czuje, co?

— Dziękuję, panie dyrektorze. Czuję się bardzo dobrze.

— Słyszałem, panie Saffranski, że zajmuje się pan czasami moim synem. Uważam to za piękny rys pańskiego charakteru. Dobrze, że chłopcu daje ktoś czasem bodźca, niech się czymś zajmie, ale z sensem, planowo, w miarę możliwości niech to będzie praca ręczna. Za wiele mi chłopak marzy! Już lepiej żeby zamiast bujać w obłokach wymachiwał łopata.

— Słusznie, panie dyrektorze.

— A więc niech pan spokojnie pracuje dalej, potrafię docenić pański wysiłek. Bo trzeba panu wiedzieć, że nie jestem małostkowy. I zawsze byłem za tym, żeby każdy uczynek był wynagradzany. Każdy!

Niech się pani nie boi — powiedział Schulz ciepło. — Jestem dziś usposobiony wybitnie pokojowo. I spróbuję zachowywać się w jakimś sensie wytwornie.

Schulz rozmawiał z Gizelą Wandel, sekretarką hotelu. Podniosła się z krzesła jak zwykle nieco sztywno i z rezer-

wą. Przyglądała się Schulzowi niepostrzeżenie czujnym, dokładnie rejestrującym wzrokiem. Uśmiechnął się do niej młodzieńczo i powiedział:

— Chciałbym przeprosić panią *za* ostatni incydent.

— Ależ, panie Schulz, to naprawdę niepotrzebne.

— Cóż robić, kiedy odczuwam potrzebę przeproszenia pani! — Był zbity z tropu, jak aktor oglądający samego siebie w sznurowatym filmie. — Musiałem zachować się jak ostatnia świnia. Na pewno miała pani ze mną wiele kłopotu. Bardzo mi przykro, panno Wandel.

— To już zapomniane, panie Schulz.

— A mimo to głęboko nad tym ubolewam.

— Więc pan do pana Hirscha — powiedziała ciepło Gi-zela Wandel. — Niech pan spokojnie wejdzie.

— Bez zameldowania przez panią?

— Przyjaciół się nie melduje. — Uśmiechnąwszy się, zagłębiła się znowu w swej pracy.

Schulz wszedł do biura. Hirsch kołysał się na krześle, nogi miał na stole. Przypatrywał się z uwagą kłębowi dymu, unoszącym się z papierosa, którym się błogo zaciągał. Ujrawszy gościa, nie zmienił wcale pozycji.

— Nie chciałbym przeszkadzać ci w pracy — rzekł Schulz z uśmiechem. — Ale znowu miałbym ochotę wykorzystać naszą przyjaźń.

— To przecież należy również do przyjaźni. — Hirsch zrobił szeroki gest ręką, zachęcając Schulza, by usiadł. — A co się tyczy mojej pracy, mogę powiedzieć tylko tyle: każdemu dobrze, tylko nie dyrektorowi hotelu! Mimo to nie pozwalam sobie na taki luksus, żeby się załamywać. Co mogę zrobić dla ciebie?

— Wiesz, mam dziś wolne popołudnie.

— Nie musisz być wcale z tego powodu taki zakłopotany, mój drogi. Wolne popołudnie nie jest jeszcze samo w sobie rzeczą karalną, ale może się stać. A więc, w czym mogę ci być pomocny? Chcesz wydać bankiet w srebrnej sali? Masz ochotę obejrzeć naszą piwnicę win? Mam dać ci do dyspozycji apartament?

— Jeżeli się tak koniecznie upierasz przy tym, żeby mi wyświadczyć przysługę...

— Tak, mój drogi, upieram się. Stanowczo.

— To chciałbym pójść do kawiarni „Paris”, jeżeli ci to nie sprawi kłopotu.

— Nasz lokal rozrywkowy otworzy dziś swe podwoje dopiero wieczorem. Mogę ci dać wtedy do dyspozycji naszą ekstra norę: tak zwaną lożę dyrekcyjną.

— Wiem oczywiście, że dziś po południu nic się oficjalnie w kawiarni nie dzieje. Ale odbywa się tam próba... wiesz...

— Wiem — rzekł Hirsch ubawiony.

Wiedział od razu, do czego Schulz zmierza. Oczywiście nie miał nic przeciwko stosunkowi Schulza z tą Sonnen-berg, ale nie odnosił się do tej sprawy ze zbytym szacunkiem. I to z bardzo prostej przyczyny: ta Marlena Sonnen-berg nie była godną partnerką dla jego przyjaciela. Z pewnością nadawała się na przelotną, a może nawet na dłużej trwającą miłośćkę, ale brakowało jej kwalifikacji do tego, aby się z nią wiązać mocniej i poważniej.

— Chętnie przyjrzałbym się takiej próbie, mój drogi.

— Tego się nie da tak łatwo zrobić. Nie ma takiego zwyczaju. Ci artyści bowiem, a raczej ludzie uważający się za artystów, są, trzeba ci wiedzieć, straszliwie wrażliwi i przeculeni. Kiedy chodzi o występy publiczne, nie uznają hamulców i obnażają się całkowicie. Ale na próbach wrzeszczą jak opętani, jeżeli ktoś chce uchylić rąbka zasłony.

— Tak chyba jest. — Schulz był rozczarowany jak chłopak, którzy marzy o kucyku, a dostaje wypchanego konika na biegunach.

Martin Hirsch podniósł się z krzesła. Było mu już żal, że swemu kochanemu Schulzowi, którego tak považał, sprawił zawód. Wydał się sam sobie niewdzięczny, a nie chciał być niewdzięcznikiem w stosunku do przyjaciela.

— Rzecz jasna, że jest cała masa możliwości — rzekł po chwili. — Wprawdzie obcy nie są na próbach mile widziani, ale nikt nie może mieć nic przeciwko obecności kierownictwa. Pójdę więc oficjalnie jako dyrektor, a ty będziesz mi towarzyszył.

— Chcesz to dla mnie zrobić?

— Nie masz żadnego powodu do wdzięczności, mój drogi. Robię to nie tylko dla twojej przyjemności, ale i dla swojej własnej. Podobno pojawiła się tam wspaniała kobieta, dlaczegóż więc nie miałbym się jej przyjrzeć? Kto wie, na co się to jeszcze może przydać?

Więcej duszy! — zawołał Ouahnke w stronę reflektora. — O wiele więcej duszy! Trzeba to mieć w koniuszkach palców, moje dziecko.

„Dziecko” stało na małej scenie — trzy metry na cztery — kawiarni „Paris”. Właśnie usiłowało w sposób najbardziej uwodzicielski zrzucić z siebie pierwszą zasłonę. Nie bardzo jej się to udawało. Stąd krzyk Quahnkego o więcej duszy.

Ouahnke odwrócił się i pobiegł w głąb lokalu, który wydawał się pusty. Siedział tam Martin Hirsch, a za nim tkwił na swym krześle przejęty i zaciekawiony Schulz.

— Ona da sobie z tym radę — zapewnił Hirscha Ouahnke. — Jeszcze chwila, a pozbędzie się zahamowań. Czuję to.

— Niech pan spokojnie czuje dalej — rzekł Hirsch.

Martin Hirsch spoglądał na to, co się rozgrywało na podium, całkowicie obojętnie, jak gdyby chodziło o wystawę towarów. Mizerne światło sfatygowanego reflektora, a w nim postać kobieca pełna żądz, chęci podobania się i strachu. Jakby kopia tysiąca innych scen i obrazków, jakie się widuje w trzecio- i czwartorzędnych nocnych lokalach tego rozpustnego świata. Nagie ciało, grzech, pokusa.

Ouahnke znowu wypadł z półmroku i stanął w nędznym świetle reflektora. — Biodra za sztywne! — zawołał, czerpiąc ze skarbnicy swoich doświadczeń. — Musisz nadać swemu tyłkowi więcej wyrazu, bo inaczej nic z tego nie będzie!

Karl Schulz podniósł rękę na powitanie. Nareszcie zobaczył na podium, w natarczywym świetle reflektora, Marlenę Sonnenberg. Siedziała leniwie przed kapelą.

Marlena Sonnenberg również podniosła rękę na powitanie. Nie koniec na tym: posłała w stronę Hirscha i Schulza całusa.

— To wielkie przeżycie — szepnął Schulz do przyjaciela.

— Gdybyś to przeżywał codziennie, widziałbyś u tego rodzaju kobiet tylko taryfę cen i przepis, jak ją należy stosować.

Tymczasem jędrne dziewczę na podium usiłowało w sposób jak najbardziej efektowny zrzucić z siebie drugą ze swoich zasłon. To też jakoś się nie udawało. Dziewczyna próbowała odtworzyć Salome, jak wiele dziewcząt jej typu; ale to była rzecz drugorzędna. Decydujące było to, w jaki sposób pozbywa się swych zasłon. Tu każda kobieta ma swoje własne metody, pomyślał Hirsch.

Niestety mała mimo wielkich wysiłków daleka była od tego, aby być kobietą albo przynajmniej na taką wyglądać. Hirsch się w tym zorientował.

— Niech no pani tu podejdzie — powiedział.

— Chodź tu! — zawołał Quahnke. — Ale żywo! — Potem dodał szeptem: — Pokaż, co umiesz, Brygitto.

Brigitta woląла nie pokazywać tego, co umie, lecz zademontrować to, co ma. A było tego bez porównania więcej. Stała przed Martinem Hirschem, u boku Quahnkego, z pokorną miną.

Martin Hirsch uznał za wskazane rozwiązać pewne złudzenia. Spoglądając na dziewczynę w zasłonach niemal ze znużeniem, zapytał:

— Wiek?

— Osiemnaście.

— Za młoda — rzekł Hirsch zdecydowanie.

— Za pozwoleniem, panie dyrektorze — wtrącił Quahn-ke. — Ten wiek jest dla tego rodzaju zakładu dozwolony ustawowo. Zrobię z niej pierwszorzędną atrakcję lokalu.

Hirsch wiedział, że to niewielka sztuka uchodzić w kawiarni „Paris” za atrakcję. Czuł jednak, że ta mała jędrna Brygitta ma w sobie немало energii i ambicji. Wyglądała na to, że jest zdecydowana pójść przebojem i pokonać wszystkie piętzące się przed nią przeszkody. Jako mąż-

czyzny zupełnie go to nie interesowało, jako handlowiec nie miał nic przeciwko temu.

— Jazda, Brygitto — zawołał Quahnke zachęcająco. — Jeszcze raz od początku, ale teraz, jeżeli mogę prosić, zdecydowanie więcej duszy!

— Jak ci się ta mała podoba? — zapytał Hirsch.

— Przecież nie jestem lubieżnym starcem! — zareplikował Schulz zdecydowanie. — Dziewczęta w tym wieku powinny znajdować się w szkole gotowania albo na kursach dla pielęgniarek niemowląt. Gdybym był jej ojcem lub bratem, nie mogłaby tu robić swoich wygibasów, bo cały tyłek miałaby w sińcach.

Hirsch zapalił czwartego z kolei papierosa. Potem powiedział do Schulza bez cienia wyrzutu:

— Opowiadałeś naszym przyjaciółom o dziewczynie, która się rozbierała w moim mieszkaniu.

— Owszem. I bardzo tego żałuję. Skądże jednak miałem wiedzieć, że chodziło ni mniej, ni więcej, tylko właśnie o córkę Kerzego.

— Nie robię ci też wyrzutów. Mam tylko prośbę: nie rozpowiadaj już dalej tej niemiłej historii.

— Jakżebym śmiał! Czy jestem gadułą?! Domokrążcą? Przecież to było takie tylko gadanie między nami, starymi kolegami.

— Byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś nie mówił o tym ani pannie Sonnenberg, ani twojej siostrze Ewie.

— Zrozumiano. Wiem, że byłoby ci niemiło, gdyby się to rozniosło tutaj przez Marlenę. Nie obawiaj się jednak. A co się tyczy Ewy, mogę ci powiedzieć tylko jedno: jest na takie sprawy za młoda. Ode mnie nie dowie się niczego, nawet w formie aluzji.

— Wiesz, Schulz, jestem pełen uznania dla twego stosunku do siostry. Jak ty się nią opiekujesz, jak o nią dbasz!

— Przecież to samo przez się zrozumiałe. Muszę temu dziecku zastąpić ojca.

— Robisz to z doskonałym rezultatem. Niewiele jest takich kobiet jak Ewa. Nasza paskudnie zmaterializowana epoka ześwinia prawie wszystkich.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że coś podobnego chodzi ci po głowie. Ale możesz mi wierzyć, że ilekroć przychodzę do domu i widzę moją siostrę czyściutką, schludną, nie zepsutą, ogarnia mnie błogość, sam czuję się dobry i przyzwoity. Jedno ci powiem, Hirsch: Gdyby kiedyś po jawił się ktoś i chciał sięgnąć po moją siostrę brudnymi rękami, połamałbym mu wszystkie gnaty.

Martin Hirsch spoglądał na oświetlone reflektorem podium; właśnie opadała piąta zasłona. Nie był tym widokiem zachwycony, to rzeczywiście było dobre dla lubieżnych starców. Był więc zadowolony, kiedy zbliżył się jeden z jego podwładnych i podał mu słuchawkę telefonu, oświadczając: — Dzwonią do pana dyrektora z biura.

Jak było do przewidzenia, odezwała się panna Gizela Wandel. Komunikowała mu, że przyszedł pan Gisenius i chciałby z nim pomówić.

— Proszę powiedzieć panu Giseniusowi, że nie mogę teraz stąd odejść. Cieszyłbym się jednak, gdyby mnie tutaj odwiedził.

— W kawiarni? — W głosie panny Wandel zabrzmiała nutka lekkiego zdziwienia.

— Ma pani coś przeciwko temu?

— Zakomunikuję pańską propozycję panu Giseniusowi. Hirsch zwrócił się do Schulza:

— Słyszałeś? Będziemy mieli gościa.

— Ciekawe! Gisenius, to wcielenie cnoty, w jaskini rozpusty to coś nowego. Mógłbym się założyć, że tu nie przyjdzie.

— Przyjdzie. Jak jest do załatwienia coś ważnego, nawet Giseniusowie godzą się z takim otoczeniem. Kiedy będę z nim gawędził, mógłbyś w moim zastępstwie zająć się nieco artystami, zwłaszcza tymi, którzy śpiewają.

— Zrozumiano! Morowy z ciebie chłop!

— Spróbuj zachować to dobre o mnie zdanie. Może przyjdzie kiedyś taka chwila, że będę chciał wyciągnąć z tego profit. Ale na razie musimy zająć się naszą szarą eminencją.

Gisenius, przyprowadzony przez jednego z pracowników hotelu, stanął w otwartych drzwiach. Zdaje się, że go oślepiło jaskrawe światło reflektora. Zapewne dlatego zamknął na chwilę oczy. Nie jest również wykluczone, że uczynił to pod wpływem zrzucającej z siebie zasłonę Brygitty. Stała nieruchomo, z napiętymi biodrami, podczas gdy jedna z zasłon, piąta z kolei, różowoczerwona, opadła właśnie malowniczo na podłogę.

— Teraz nareszcie wydobyłaś odpowiedni łuk! — zawołał Ouahnke niemal zadowolony. — Musisz tylko jeszcze bardziej wypiąć piersi, co ci z pewnością nie przyjdzie z trudem.

Gisenius przysłonił ręką oczy, aby się uchronić od jaskrawego światła i tak niespodziewanego widoku. Po upływie kilku sekund ujrzał kiwającego mu ręką Hirscha. Obok niego znajdował się Schulz, którego Gisenius nigdy by się tutaj nie spodziewał. Miarowym krokiem zbliżył się do obu i przywitał się z nimi.

— Jestem już na odchodnym — rzekł Schulz.

— Wcale nie przeszkadzasz — zapewnił go Gisenius. — Ale nie chcemy cię zatrzymywać.

— Mam zamiar oddać się działalności artystycznej — powiedział Schulz, mrużąc oczy.

— To nigdy nie zaszkodzi — zauważył Gisenius powściągliwie.

Spojrzał w stronę Schulza, który zrobił kilka kroków w kierunku światła padającego z reflektora. Widział, jak Schulz podał rękę istocie płci żeńskiej, znajdującej się wśród muzykantów, po czym oboje znikli w półmroku. Z kolei ujrzał w jaskrawym blasku reflektora Brygittę.

— Ładny widok, co? — zapytał Hirsch.

— Paskudny, obrzydliwy! — Słowa te nie powstrzymały go jednak od spoglądania na podium. Może chciał się utwierdzić w przekonaniu, że jego oburzenie jest całkowicie uzasadnione.

— Pokaz kobiecej piękności, mój drogi. Chyba tak można to określić.

Gisenius zdobył się na żart:

— Wypożyczasz dziewczęta, co?

— Jak kogoś mocno przyciśnie, mogę zadziałać. Gdyby cię ta mała tancerczka z zasłonami interesowała...

— Niepoprawny z ciebie kawalarz i dowcipniś! Przyszedłem tu w niesłychanie poważnej sprawie. Moglibyśmy usiąść gdzieś z boku?

Dyskretnie usunęli się w głąb kawiarni. Hirsch usiadł plecami do estrady. Giseniusa posadził naprzeciw siebie. Dzięki temu Gisenius miał przed oczyma całe podium, na którym właśnie ćwiczone gorliwie zrzucanie szóstej zasłony.

Ale on był zdecydowany nie zwracać na to uwagi. Przystąpił z miejsca do rzeczy:

— Posłuchaj, Hirsch — powiedział — kiedy wczoraj Frammler opowiadał, jak to później było, uderzyły mnie i zastanowiły pewne szczegóły.

— Mam wrażenie, że wiem, o co chodzi — zawołał Hirsch. — Masz na myśli fakt, że istnieje pewna różnica między świerkami a sosnami.

— Trafiłeś w sedno — rzekł Gisenius z uznaniem. — Jeżeli o ten punkt chodzi, to mieliśmy te same myśli. Bo ostatecznie Frammler jest w sprawach pogrzebowych fachowcem i powinien dokładnie wiedzieć, jaka jest różnica między świerkami a sosnami.

— Rzecz tylko w tym, czy już wtedy umiał je rozróżniać. Dopiero wówczas gdybyśmy to wiedzieli, moglibyśmy osądzić, czy się omylił, czy nie.

— W każdym razie możliwość pomyłki nie jest wykluczona. I to mnie niepokoi.

— Inne punkty w opowiadaniu Frammlera też warte są zastanowienia — rzekł Hirsch półgłosem. — Nasz poczciwy grabarz mówił o dziurze w piasku, w której widział trupa, za co ręczy, a przecież to był teren błotnisty.

— Nie do wiary! — Gisenius nie odrywał wzroku od podium, na którym właśnie opadała zasłona numer sześć, ale nie wiadomo było, czy to w ogóle widzi. — Nieprawdopodobne! Gdyby tak było istotnie...

— Mogło być tak, a mogło być też inaczej. — Hirsch z cichą radością popychał Giseniusa w krąg ponurych myśli.

— Ale jeszcze inne rzeczy mnie uderzyły. Wydaje mi się, że Frammler nie przyjrzał się dokładnie okolicy, w której szukał zwłok Meinersa. Powiedział, że wszystko było zrujnowane. A potem ujrzał trupa i wydawało mu się, że poznaje zwłoki Meinersa. Ale te zwłoki były całkowicie zniekształcone. Frammler powiedział dosłownie: głowa była rozbita na miazgę. Pytam się: jak można zidentyfikować człowieka, jeżeli została z niego jedynie miazga?

W tym momencie kapela taneczna puściła w ruch wszystkie swoje instrumenty. Powstał straszliwy zgiełk i huk. Puzony, czynele i trąbki wyrzuciły z siebie z piekielnym hałasem *pierwsze takt piosenki*. „*Śpiewaj, bracie, śpiewaj*, dopóki ci wesoło na duszy!” Miało się wrażenie, że z podłogi unoszą się kłęby kurzu, a z sufitu zaczyna opadać tynk. Stojąca na sąsiednim stole samotna szklanka zaczęła brzęczeć.

— Katastrofalne! — zawołał Gisenius.

— Ja tam uważam tę całą historię za zdecydowanie komiczną.
— Hirsch spojrział na Giseniusa wyzywająco, jak to-reador na byka. — Bo przecież bawimy się w to samo, za cośmy objechali tego poczciwego Schulza: w idiotyczne, całkowicie zbyteczne polowanie na duchy.

— Nie znajduję w tym nic śmiesznego.

— A ja znajduję. Spróbujmy spojrzeć na tę sprawę z całą trzeźwością i w miarę możliwości logicznie. Albo Meiners nie żyje, albo żyje. Jeżeli nie żyje, co wolno nam uważać za pewnik, wszystko pozostaje tak, jak było. Jeżeli żyje, też dobrze, a nawet jeszcze lepiej: jest to dla nas pocieszające. Bo nie stało się nic, co do jego śmierci doprowadziło, a zatem nic z tym wszystkim nie mamy wspólnego.

— Zapominasz o pewnych okolicznościach — wtrącił Gisenius chłodno.

— O jakich okolicznościach? — zapytał Hirsch prowokacyjnie.
— Nie wiem o niczym.

— Twierdzisz, żeś zapomniał o wszystkim, co bezpośrednio poprzedziło śmierć Meinersa?

— A cóż ją miało poprzedzić? Nic, co by mogło nas przyprawić o ból głowy.

— Słuchaj no, Hirsch — rzekł Gisenius znacząco i pochylił się naprzód — czy nie chcesz tego wiedzieć, czy też twierdzisz, że już tego naprawdę nie wiesz?

— Czyżby było tu jeszcze coś — odparł Hirsch wyzywająco — o czym mi nie wiadomo?

Gisenius odchylił się na krześle. Choć muzyka znowu wszczęła hałas, a Gisenius nie mówił zbyt głośno, można było zupełnie wyraźnie usłyszeć jego słowa. Zapytał:

— Przeciwstawiasz się naszej wspólnotcie, Hirsch?

— Gisenius, jedno ci mogę powiedzieć: jestem głęboko przekonany, że Meiners nie żyje. O to przekonanie mógłbym się założyć. Stawka: moja głowa.

— Może, jeżeli nic innego nie pozostanie do wyboru, przyjmę ten zakład.

Panie dyrektorze, pan radca Bartosch. Sekretarka Kerzego była starszą panną, szarą jak mysz, ruchliwą jak łąszka. Kto tak niepozornie wyglądał i zajmował takie stanowisko, ten musiał mieć kwalifikacje wyjątkowe. Tak też było. W zakładach Kerzego „Stabilator” pracowano ciężko i na całego. Umiejętności fachowe były decydujące. Kto u Kerzego nie chciał czy nie umiał pracować, ten nie miał tam czego szukać.

— Proszę poprosić pana radcę jeszcze o chwilę cierpliwości. — Kerze spojrział na swego interesanta, był to pan Lehmgruber. — Wkrótce będę do jego dyspozycji. Proszę to zakomunikować panu radcy.

— Tak jest, panie dyrektorze.

Kerze rozejrzał się po swoim biurze z zadowoleniem. Odpowiadało ono dokładnie temu, co zakłady „Stabilator” rozumiały przez etykę pracy: skromność i wielkość, wytrwałość i solidność. A więc: dąb i stal, płótno i skóra. Precyzyjnie wyliczone powierzchnie, meble jak wykute z kamienia, żadnych ozdób.

— Przystańmy się zajmować rozważaniami teoretycznymi, panie Lehmgruber. Jak pan słyszał, muszę przyjąć pewną wysoko postawioną osobistość z kół rządowych, której oczywiście nie mogę pozwolić czekać godzinami. Niech mi pan więc powie krótko i węzłowo, co pan dla mnie może zrobić.

— No cóż — rzekł Lehmgruber ostrożnie — mogę panu udzielić informacji co do dwóch spraw. Po pierwsze: mogę przedstawić panu dotychczasowe oferty firm niemieckich ze wszystkimi odnośnymi kalkulacjami i wykazami. Po drugie: mogę podać cenę orientacyjną, ustaloną przez tę drugą stronę.

Willy Kerze złożył swe mocne, mięsiste ręce, jakby miał zamiar się modlić. W istocie rzeczy intensywnie myślał. I zorientował się od razu, że gdyby był w posiadaniu tych informacji, jakie ofiarował mu Lehmgruber, świetny interes byłby mrowany.

— Kto mi jednak zaręczy, że dostarczone mi przez pana informacje będą prawdziwe?

— W takich sprawach jestem uczciwy, to moja zasada.

Kerze nie miał czasu, by się trochę z tą świnią pobawić. Za drzwiami czekał Bartosch. Poza tym było mu całkowicie obojętne, czy ten Lehmgruber jest człowiekiem honoru, czy nie, jego informacje mogły być przydatne. Ale nie miał ochoty, żeby go potraktowano jak nowicjusza lub wystrychnięto na dudka.

— Drogi panie Lehmgruber — powiedział jowialnie — mam wrażenie, że już najwyższy czas, abyśmy pomówili szczerze, jak Niemiec z Niemcem. Ostatecznie nie jestem w ciemię bity. A więc przekaże mi pan te informacje, że tak powiem, w zaufaniu, jakbym był pańskim powiernikiem. Jeżeli dzięki nim uda mi się doprowadzić do zawarcia transakcji, wypłacę panu, powiedzmy, jeden procent prowizji od ostatecznej sumy.

— Czy mógłbym dostać zaliczkę, jakis paręset marek, może pięćset?

— A jakie daje mi pan za to gwarancje, panie Lehmgruber? — Kerze czuł się całkowicie panem sytuacji. Miał wrażenie, że Lehmgruber zaakceptuje wszystkie warunki.

— Każda rzecz ma swoją cenę, nie zwykłem niczego dawać za darmo. Powiedzmy: dwieście.

— Wolałbym trzysta.

Kerze wypisał błyskawicznie czek, wyrwał go z książeczki i podsunął Lehmgruberowi. Widniała na nim suma dwieście. — Albo, albo — powiedział.

Lehmgruber złapał natychmiast ten czek. Rzucił nań badawczo okiem, po czym włożył go do kieszeni i pożegnał się. Wielkodusznie nie zwrócił na to uwagi, że Kerze nie podał mu ręki. Czek był dla niego ważniejszy.

Dla Kerzego był ten Lehmgruber jednym z wielu królików doświadczalnych. Dwieście marek to suma minimalna. Ryzykował już o wiele większe. A dzięki równie małym sumom osiągał czasami niezwykle zadowalające rezultaty. Lehmgruber był jedną z wielu pozycji w rachunku. Drugą stanowił Bartosch. Oczywiście innego, bez porównania większego formatu.

Kerze otworzył na oścież drzwi swego gabinetu.

— Proszę, panie Bartosch, bardzo proszę. Teraz jesteśmy wreszcie zupełnie sami. Mamy czas. Proszę usiąść. A więc witam, witam serdecznie! Czemu mam przypisać ten zaszczyt, że mnie pan odwiedził?

— Przed godziną miałem dłuższą rozmowę z panem ministrem.

— Ciekawe!

— Podczas tej rozmowy pan minister udzielił mi poufnej, ściśle poufnej informacji. Pan minister poinformował mnie, że wniosek o nadanie panu Krzyża Zasługi pierwszej klasy już się znajduje w willi „Hammerschmidt”. A pan premier zwykł z reguły podpisywać tego rodzaju wnioski, praktycznie więc odznaczenie to zostało już panu przyznane.

— Bardzo mnie to cieszy. Niezmiernie. — Radość Kerzego była szczerą i wielką. Spełniało się jedno z jego marzeń. To uhonorowanie go mógł uważać za jeden ze szczytowych punktów swego życia. Dzieło jego zostało nareszcie uznane. I obwieszczał mu to właśnie Bartosch. Bardzo sobie zaskarbił tym serce właściciela zakładów „Stabilator”.

— Nie koniec na tym — powiedział Bartosch poufnie. — Pan minister oświadczył nawet, że jest gotów osobiście

wręczyć ten krzyż, może w ramach jakiejś reprezentacyjnej uroczystości.

— Jestem panu za to wszystko bardzo zobowiązany, drogi panie Bartosch! Byłbym szczęśliwy, gdybym się mógł panu za to jakoś zrewanżować.

— To jest nawet możliwe — rzekł gość.

— Niech pan mówi, zamieniam się cały w słuch.

— A więc korzystam z wyraźnego przyzwolenia i zachęty! Co by pan powiedział, gdybym poprosił o rękę pańskiej córki?

Kerze oczekiwał tego pytania. Wczoraj jeszcze bał się go. Tymczasem jednak, jak sądził, zarysowała się perspektywa na spełnienie jego nadziei. Córka jego Karen potrzebowała jakiegoś mężczyzny. Jego przyjaciel Gisenius przywiązywał wagę do dobrych stosunków. A on sam też pragnął zrealizować swe zamierzenia możliwie jak najprędzej. Krótko mówiąc: Bartosch był gwarantem przyszłości. I, chwała Bogu, był mężczyzną! Kerze postanowił sobie uroczyście nie powątpiewać w to już więcej od tej chwili.

— Jestem skłonny...

— Czyżby miał pan jakieś zastrzeżenia?

— Jedyne natury ojcowskiej. Propozycja ta nie zaskakuje mnie, ostatecznie mam oczy. A poza tym już kilkakrotnie robił pan na ten temat aluzje. Przygotowałem więc moją córkę na tę możliwość.

— Czy mogę z tego wnosić, że córka pańska również byłaby skłonna?

— Jestem ojcem i człowiekiem myślącym konserwatywnie. Nie oznacza to, że jestem w domu tyranem. Ale oznacza, że w domu moim nie dzieje się nic, czego sobie nie życzę.

— Jestem o tym przekonany.

Bładoniebieskie oczy Kerzego spoglądały w dal.

— Nie zdradzę chyba tajemnicy, drogi panie Bartosch, jeżeli panu powiem, że Karen odziedziczyła po mnie pewne cechy. Nie ulega tak łatwo cudzym wpływom. Zna swoją wartość.

— Nikt nie potrafi ocenić tego bardziej ode mnie.

Kerze spoglądał na Bartoscha jak na formularz, na którym wypisać należy decydujący bilans. I znowu doszedł do wniosku: to człowiek reprezentacyjny! Ma stosunki i umie je podtrzymywać. Rezultat: to człowiek nieprzeciętny. Pożądanym kandydatem na zięcia.

— Zrobione! — zawołał Kerze zdecydowanie. — Ma pan, że tak powiem, moje błogosławieństwo. Podkreślam: błogosławieństwo. Nie ma pan jednak mojej zgody oficjalnej, że tak powiem, prawomocnej. Ale to się da wszystko załatwić, jestem tego pewien, ku naszemu obopólnemu zadowoleniu.

Hirsch udał się do swego biura, gdzie już oczekiwała go Gizela Wandel. Miała surową minę. — A więc, moja wielce szanowna, niech mi pani powie, co się nieprzyjemnego tymczasem działo.

— Skarga z pokoju dwieście siedemnaście. Pani von Plonitz odczuwa brak kelnera Paula. Pragnie być obsługiwana tylko przez niego.

— Paul pozostanie na sali jadalnej! — rzekł Hirsch zdecydowanie. — Jeżeli się to tej pani nie podoba, niech się wprowadzi.

— Właśnie to samo powiedziałam pani von Plonitz, oczywiście innymi słowami. Dalej: Lehmgruber zaproponował na konto rachunku sto marek. Przyjęłam je, oświadczając równocześnie, że warunki nasze przez to wcale się nie zmieniają.

— Jak zawsze, panno Wandel, doskonale. Czy nie wie pani przypadkiem, skąd ten Lehmgruber dostał forszę? Nie? Może powinniśmy to wywahać. I cóż jeszcze?

— Trzy razy telefonowała panna Kerze.

— Jeżeli zadzwoni po raz czwarty, proszę mnie z nią połączyć.

— Powiedziała, że zatelefonuje znowu za dwadzieścia minut. Raz dzwonił również dyrektor Kerze.

— Proszę mnie z nim połączyć.

Hirsch rzucił na Gizelę Wandel przelotne spojrzenie. Nie zauważył na jej twarzy najmniejszego nawet drgnienia, które by świadczyło o jakimś zaangażowaniu osobistym. Była zajęta łączeniem go z Kerzem. To dobrze, powiedział sobie. Ale nie zanadto. Odrobina swobodniejszej, pogodniejszej uprzejmości wcale by nie zaszkodziła. Ostatecznie tu w hotelu chodzi często o bardzo drażliwe problemy, i to na dobitkę problemy natury osobistej.

— Panie Hirsch, przełączam na pański aparat prywatny.

Hirsch skinął głową i udał się do swego gabinetu. Celowo się nie spieszył. Kerze może poczekać, a panna Wandel niech zobaczy, że mu się nie spieszy. Opadł na fotel, wyciągnął wygodnie nogi, wziął wreszcie słuchawkę i powiedział:

— Chciałeś ze mną mówić, Willy.

Głos Kerzego brzmiał nieoczekiwanie miło i uprzejmie. Musiał się szykować jakiś ważny interes. Nieodzwonne frazesy brzmiały jak dźwięki skrzypiec. Rozległ się nawet śmiech, który według zamierzeń miał zabrzmieć serdecznie.

— Mam wrażenie, że powinniśmy raz serdecznie ze sobą pogadać. Jak mężczyzna z mężczyzną, a raczej jak przyjaciel z przyjacielem. Co o tym sądzisz?

— Jeżeli masz takie wrażenie, mój Willy, nie będę ci się sprzeciwiał.

— A kiedy miałbyś czas dla mnie? Czy odpowiada ci na przykład dzisiejszy wieczór? Wydaje mi się, że powinniśmy spróbować zlikwidować kilka niemiłych spraw, a raczej nieporozumień, pomyłek.

— Nic nie mogłoby mi być miłsze. — Hirsch był nieufny jak doświadczony lis, który już nieraz miał do czynienia z sidłami. — Możesz mnie dziś o dziewiątej wieczorem zastać w łoży dyrektorskiej w kawiarni „Paris”.

Kerze chrząknął, niezbyt głośno, ale dostatecznie wyraźnie.

— Oczywiście, mój drogi, nie mam co do tego rodzaju lokali najmniejszych zastrzeżeń.

— Dlaczegoż miałbyś je mieć? Pamiętam dobrze, że swego czasu bywałeś w tego rodzaju lokalach niemal codziennie.

— To już przeszłość — rzekł Kerze stanowczym głosem. — Skończyłem z tym. Ale niezależnie od tego nie wydaje mi się, żeby to miejsce było idealnie odpowiednie do takiej rozmowy. Nie mógłbyś przyjść do mnie?

— Przykro mi, ale muszę być służbowo w kawiarni „Pa-ris”. Ale możemy przesunąć naszą rozmowę na inny dzień.

— Tylko nie przesuwaj! Wiesz przecież, że jestem człowiekiem szybkich decyzji i człowiekiem bez uprzedzeń. Przyjmuję twoją propozycję. Dziękuję ci, że idziesz mi na rękę. A więc do wieczora!

Martin Hirsch odłożył słuchawkę pieczołowicie i ostrożnie, jakby była z kruchego szkła. Nie wiedział, w jakim celu zaaranżowana została ta rozmowa. Ale jedno było chyba pewne: Kerze nie przychodził tu po to, aby kultywować uczucia koleżeńskie. Już prędzej po to, by wyrównać dawne rachunki. Ale próbowałby tego tylko wówczas, gdyby sytuacja była dla niego wyjątkowo korzystna. Wobec tego Hirsch musiał zapytać samego siebie: Czy jego sytuacja była wyjątkowo zła? Nie mógł temu pytaniu zaprzeczyć.

Podniósł się nieco zaniepokojony — stanął w oknie, objął wzrokiem stojące w szeregu na podwórzu hotelowym szare zapyłone skrzynie, skrzynki i kubły. Nawet najwytwor-niejszy styl życia ma swoje brudy.

Czujny, ale niezdecydowany postać tak parę minut. Potem ruszył w kierunku szafy pancерnej, otworzył ją pewną ręką i w ostatniej przegrodce, z tyłu, zaczął szukać cienkiej teczki z aktami. Potem udał się do swego biurka. Tu teczkę otworzył i wyjął z niej niewielką karteczkę rozmiarów pocztówki. Na karteczce widniała data: 6 stycznia 1958 r. Pod datą słowa: „skrypt dłużny” i suma: pięć tysięcy marek. Podpis, choć sporządzony dużymi literami, zdradzał rękę kobiecą i nie był łatwy do odcyfrowania.

Martin Hirsch wyciągnął zapalniczkę i pstryknął. Knot się zapalił. Potem Hirsch przytknął do niego ów skrypt dłużny, który szybko spłonął. Zwęglony papier wrzucony został do popielniczki i tam do reszty zniszczony ołówkiem. Pozostał po nim tylko popiół.

— Pięć tysięcy marek za odrobinę przyzwoitości. — Hirsch zaśmiał się z wysiłkiem. — Ciekaw jestem, czy to odpowiada kursowi oficjalnemu. No cóż, może przy okazji Kerze poinformuje mnie o tym.

Cóż to za kobieta! — zawołał Karl Schulz rozmarzony. Przepelniała go duma posiadacza. — Nikt jej nie dorasta nawet do pięt!

Schulz miał na myśli Marlenę Sonnenberg, a powiedział to do Martina Hirscha. Ten skinął tylko głową, ale w taki sposób, że można było przyjąć to za aprobatę. Wiedział, że Schulza niepodobna odstraszyć samymi tylko ironicznymi uwagami.

Siedzieli w jednej ze specjalnych nisz po lewej stronie, zwanej lożą dyrekcji. Rodzaj stajennego oparkowania, za którym mogło się zmieścić najwyżej sześć osób. Zbudowana była na podwyższeniu, co umożliwiało wgląd w najdalsze zakamarki. Widać było stąd względnie dobrze podium, przednie rzędy krzeseł i parkiet.

Kawiarnia „Paris”, do której ściągano także na dancing, nie była w tej chwili przepelniona: różne parki, dwie grupki młodzieży płci obojga, trzy rodziny, zdecydowane bawić się wesoło, i gdzieś z tyłu, w pobliżu drzwi prowadzących do toalety, w półmroku jakiś jegomość. Lokal zapełniał się dopiero później, po ostatnim seansie filmowym; w soboty był tu zazwyczaj nieprawdopodobny wprost ścisk.

Na razie przygrywała muzyka i śpiewano przeboje. Orkiestra dosyć się wysilała. Nie były to jakieś nadzwyczajne wyczyny, ale Marlena Sonnenberg, zaangażowana jako piosenkarka, umiała w sposób miły i wypróbowany odwracać uwagę od muzyki: śpiewała, żeby tak rzec, z bioder.

— Wspaniała kobieta! — Schulz domagał się od przyjaciela potwierdzenia. — Nie uważasz?

Hirsch skinął głową zgodliwie, nie odrywając wzroku od wejścia. Z pewnym niepokojem czekał na Kerzego.

„Marynarzu, gwiazdy to twoja radość. Tęsknisz za siną dalą, a na obczyźnie ognie tęsknoty cię palą!” Te słowa śpiewała teraz Marlena Sonnenberg przed chętnie słuchającą ją publicznością. Kotysała się przy tym w biodrach i ruch ten przejmowały jej plecy, przy czym piersi jej wykonywały również rytmicznie ruchy. Oczy miała lekko przymrużone, a przy słowach „ojczyzna, tęsknota za domem, miłość” zamykała je zupełnie i rozmarzona odchyłała się nieco w tył, jakby bliska omdlenia.

— Masz poważne zamiary? — zapytał Hirsch ostrożnie.

— Mam je właściwie stale — odparł Schulz szczerze. — To jest ode mnie nieodłączne.

Hirsch omal nie wybuchnął śmiechem. Ale pobłażliwa sympatia dla przyjaciela nie pozwoliła mu zburzyć tej idylli. Powiedział więc ciepło:

— Oczywiście, decydujące są w końcu zalety czysto kobiece. Ostatecznie nie chodzi o zdobycie kociaka do łóżka, człowiek szuka żony i matki. Pod tym względem masz co dzień przed oczyma egzemplarz wręcz wspaniały: swoją siostrę Ewę.

— Tak — przyznał Schulz ochoczo — masz rację. Ewa to dziewczyna, z której można być dumnym. Czegoś podobnego możesz szukać z latarnią w ręku.

— I ja jestem tego zdania.

— A przy tym znasz ją tak mało.

— Nie mów tak! Nieraz z nią rozmawiałem. Były to piękne godziny. Jest bardzo rozgarnięta.

— Jak to rozumiesz? — zapytał Schulz podejrzliwie i nieufnie.

— Mam na myśli jej umysł.

— A tak — przyznał Schulz. Nieufność jego znikła równie szybko, jak się pojawiła. — Wiesz — zwierzył się Hirscho-wi w zaufaniu — nie bardzo znam się na książkach, ci faceci piszą, jakby połknęli wszystkie rozumy. Ale Ewa zna się na tym. Jej się to nawet podoba. No cóż, każdy człowiek ma swoje słabości, jej wadą jest wykształcenie. Ale to zawsze lepsze niż niepokój w krwi.

— I na to przyjdzie czas.

— To jeszcze potrwa parę latek. I bardzo dobrze. Prze-

cięż Ewa to jeszcze dzieciak. Ciągłe jeszcze wierzy w bociana.

— Nie rób z niej bardziej dziecinnej, niż jest.

— No tak, w bociana już nie *wierzy*. — Schulz *przyznał* to z wyraźnym smutkiem. — Prawdopodobnie nawet wie, jak dzieci powstają. Ale nie odczuwa najmniejszego pragnienia, aby tego spróbować.

— Skąd możesz o tym wiedzieć?

— Wiem i kwita! Jestem absolutnie pewny. Ale co ci przyszło do głowy, żeby wypytywać mnie o takie sprawy? Czy się coś głębszego za tym kryje?

Martin Hirsch stanowczo zaprzeczył. — Chciałbym tylko, żebyś spróbował porównać twoją Ewę z Marleną Son-nenberg.

— Ależ, człowieku, to dwie zupełnie różne rzeczy!

— I właśnie na to chciałem ci zwrócić uwagę. Bo mówiąc, mój drogi, szczerze, między nami mężczyznami, ta Marlena może być wspaniała, może gwarantować nawet niejedną przyjemność, ale stanowi całkowite przeciwieństwo twojej siostry. Bo Ewa należy do tych dziewcząt, z którymi mężczyźni się żenią.

Pana nie ma w domu — powiedziała Ewa Schulz. — Jako człowiek bezwzględnie szczerzy muszę wyznać — rzekł Klaus Gisenius — że to mnie zbytnio nie zasmuca.

— Zawsze przychodzi pan akurat wtedy, kiedy brata nie ma w domu.

— To jedna z moich specjalności, panno Ewo.

Stali naprzeciw siebie w szeroko otwartych drzwiach mieszkania. Ewa znajdowała się w korytarzu, Klaus na schodach. Marne światło oświetlało skąpo ich twarze. Ale oczy ich błyszczały.

— Nie chce mnie pani poprosić do siebie, Ewo?

— To wykluczone — odpowiedziała energicznie. — Jestem sama w domu.

— Jeżeli pani mnie zaprosi, to nie będzie już pani sama.

— To zupełnie niemożliwe. Niechże pan zrozumie. Nie mogę prosić pana do mieszkania o tak późnej porze. Może mnie pan spokojnie uważać za staromodną, ale sądzę, że to po prostu nie uchodzi.

— Więc dobrze. Respektujmy pani poglądy, Ewo. Jeżeli jednak nie wolno mi wejść do pani mieszkania, to dlaczego pani po prostu nie wyjdzie do mnie tu na schody. Niech się pani nad tym zastanowi. Czekam. Dla pani gotów jestem czekać długo, dla pani mam dużo czasu.

Klaus usiadł demonstracyjnie na schodach prowadzących na wyższe piętro. Wyciągnął nogi i uśmiechał się do dziewczyny po łobuzersku. W młłym świetle żarówki jasnozielony kolor ścian klatki schodowej zdawał się łagodnie rozpywać, przypominał wodę w basenie wyłożonym kaflami i działał tak, że się miało wrażenie, jakby to wszystko było wyjęte ze snu nocy letniej.

— Ależ tak nie można! — Ewa powiedziała to z niechęcią, ale rozbawiona. — Cóż by sobie pomyśleli inni lokatorzy?

— Sąsiedzi zastanawiający się nad sąsiadami przepadają wprost za tym, aby dać folgę swej brudnej fantazji, przez *co* wcale nie chcę powiedzieć, że rozporządzają *jeszcze* innym rodzajem fantazji. Gdy są sąsiadowi niezyczliwi, to choćby on stawał na głowie, i tak nie wezmą tego za akt rozpacz, lecz za demonstrację najniższych instynktów.

— Klaus, jest pan niemożliwy!

— W oczach otoczenia na pewno. Ale właśnie to uważam za plus. Poza tym zwracam pani uwagę, Ewo, że wiosna zaczęła się oficjalnie dwudziestego pierwszego marca. Minął już od tego dnia miesiąc i zdaje się, że dotarła wreszcie i do naszego Rheine-Bergen. Zawsze patrzę na to jak na cud i jestem pełen wdzięczności. Czyżby nie była pani zdolna do takich odczuć?

— Może jutro albo pojutrze. Któregoś najbliższego popołudnia.

— Dziś — rzekł Klaus zdecydowanie. — A teraz ma pani do wyboru trzy możliwości. Oferty bardziej wspaniałomyślniej nie można już pani złożyć. Po pierwsze: zaprasza mnie pani do swego mieszkania. Odpada? Dobrze. Po drugie:

siada pani koło mnie na schodach. Też odpada? No tak, zrozumiałe, co by powiedzieli sąsiedzi? Pozostaje więc możliwość trzecia i ostatnia, i chyba najłatwiej będzie ją pani przyjąć: wspólny spacer, zatruwany przez spóźnione samochody, w świetle zimnego blasku neonów, wśród obojętnych spacerowiczów, łatwo upijających się pijaków i gorliwych policjantów.

— Na to mogłabym się zgodzić. Przy tej okazji mogłabym kupić w automacie papierosy dla brata.

— No więc! — zawołał Klaus zadowolony. — Spieszmy się wobec tego. Także w interesie brata.

Jeżeli chcesz, możesz spokojnie pójść do garderoby twojej przyjaciółki — rzekł Martin Hirsch. — Człowieku — zawołał Schulz — ale ja mam szczęście! A wiesz, na czym to szczęście polega? Na tym, że ty właśnie jesteś moim przyjacielem.

— Obyś nigdy nie musiał rewidować tego poglądu!

Schulz ulotnił się. Równocześnie zbliżył się do rezerwowanej łóżki Kerze, który już z odległości trzech metrów wyciągał na powitanie prawicę.

— Czyżby nasz Schulz znowu wytropił jakąś zwierzynę? — Kerze usiłował być miły i jowialny.

— Nie żałujmy mu tego. Kto wie, jak długo to jeszcze potrwa?

Kerze roześmiał się serdecznie.

— W gruncie rzeczy dla mnie tego rodzaju zajęcia to próżna krzątanina. Człowiek się wysila po to, żeby przez moment było mu dobrze. Ma się w tym swoją przyjemność, nie przeczę, ale to wszystko marne, przelotne. W końcu człowiek ma tego dość, rozgląda się za większymi sprawami i znajduje je. Ostatecznie kobiety nie są celem życia. Bo czymże one są na przykład w porównaniu z taką fabryką?

— Niech sobie każdy będzie szczęśliwy na swój sposób. I niech pozwoli drugiemu radować się jak mu się podoba. Tylko niewielu ożeniło się z fabryką.

W kawiarni „Paris” nadeszła tak zwana „pusta chwila”. Orkiestra zrobiła już, co mogła, Marlena Sonnenberg wystawiła już na pokaz swe wyjątkowe właściwości i uzdolnienia. Teraz oczekiwano niecierpliwie przedstawienia nocnego. Złożyć się na nie miały występy żonglera i skoczków akrobatycznych oraz taniec ze striptizem.

Lokal był względnie pełny. Gęste kłęby dymu łagodziły jaskrawość światła. Widownia zaczynała się już niecierpliwić. Człowiek siedzący samotnie w półmroku przy drzwiach prowadzących do toalety zamówił trzecie z kolei piwo i trzecią podwójną jałowcówkę.

— Po coś tu przyszedł, Kerze? Chyba nie zamierzasz na serio pouczyć mnie i wtajemniczać w to, co nazywasz swoją filozofią życiową?

— Wolalbyś, żebym ci zaproponował interes?

— Co chciałbyś na przykład kupić u mnie?

— Na przykład świstek papieru, w każdym razie coś, co jest nie więcej warte niż świstek papieru. Ale ofiaruję ci za to pięć tysięcy marek.

— Za to i za co jeszcze?

— Zastanów się — rzekł Kerze jowialnie; wydawało się, że jest nawet skłonny otworzyć ramiona. — Znamy się już kupę lat...

— I to dosyć gruntownie.

— Były między nami pewne tarcia z najróżniejszych powodów, to prawda. Wiem również, żeś utrzymywał, jako-byś był całkowicie bez winy.

— Twierdzą to również dzisiaj.

— Nawet jestem skłonny ci uwierzyć. — Kerze powiedział to z naciskiem i jednocześnie z przymrużeniem oka. — Uważam bowiem, że zbyt długo byliśmy na wojennej stopie i już najwyższy czas, żeby z tym skończyć.

— Sądzisz, że bawiliśmy się tylko w Indian?

Kerze nie dał sobie przerwać:

— Oto na przykład sprawa z moją drugą żoną. Twierdziłaś, że wszystko było, że tak powiem, zgodnie z honorem, przyzwoitą przyjaźnią, nic więcej. Wprawdzie w to nie wierzę, ale nie mogę udowodnić, że było wręcz odwrotnie. Można więc powiedzieć: racja jest po twojej stronie.

Dobrze, jestem gotów zgodzić się z tym stanowiskiem. I to w sposób wielkoduszny. Oddam ci te pięć tysięcy marek, któreś dał mojej drugiej żonie, owe pięć tysięcy marek, które jej umożliwiły odejście ode mnie.

— Mylisz się. Zerwanie było już przedtem rzeczą postanowioną. Zrobiłem później tylko to, coś ty powinien był zrobić: zatroszczyłem się o to, aby nie znalazła się na ulicy.

— Dobrze już, dobrze. — Kerze przełknął słowa Hirscha bez protestu. — Przyjmijmy, że znowu masz rację. Tym bardziej należy skończyć z tym raz na zawsze. Będziesz więc miał z powrotem swoje pięć tysięcy marek, nawet, jeżeli chcesz, z procentami.

— I co dalej? — zapytał Hirsch. — Jak wygląda ten rewanz, którego ode mnie oczekujesz? Bo chyba nie chcesz mi wmówić, że zachciało ci się nagle odegrać rolę dobroczyńcy.

— Pokrzep się naprzód. Wypijmy za coś, co gorąco Kochamy.

— A więc zdrowie twojej fabryki i zdrowie pięknych dziewcząt, żeby były w przyszłości dobrymi matkami!

Czym właściwie jest to koleżeństwo, o którym ciągle te stare barany tak chętnie gadają? — zapytał Klaus Gisenius. — Czy chodzi tu o produkt chorej wyobraźni, o zwykłe zawracanie głowy, czy też mamy tu do czynienia ze szczerym przekonaniem?

— To płynie ze szczerego przekonania! — rzekła Ewa Schulz. — W każdym razie u mego brata na pewno. Wydaje mi się, że dałby się za swoich kolegów posiekać na kawałki.

— No tak — odparł Klaus z uśmiechem — ostatecznie wszystko jest możliwe. Może koledzy dadzą mu kiedyś okazję, żeby mógł się dać posiekać za nich na kawałki. W obronie ich honoru.

— Bądź co bądź — zareplikowała dziewczyna gorąco — ojciec pana też należy do tego grona. Czy nie ma pan dla niego żadnego szacunku?

— Jeszcze jaki! — Klaus zaczął zacierać z zadowoleniem ręce.
— Mam dla niego taki szacunek, jaki się ma dla starego, szczwanego łobuza! Niech mi pani wierzy, im bardziej go poznaję, tym bardziej czuję się szczęśliwy, że jestem jego synem, to mi daje jakąś szansę uniknięcia ostatecznych posunięć. Taką mam przynajmniej nadzieję, ale pewny nie jestem.

— Myślę — rzekła Ewa z wyraźną niechęcią — że najlepiej będzie, jeżeli pójdę teraz do domu. Nie musi mnie pan odprowadzać.

Mimo tych słów nie zawróciła jednak. Była to reakcja, którą można by określić jako typowo kobiecą niekonsekwencję. Ale Klaus tego nie zrobił, w jego oczach Ewa była inna niż wszyscy. To wystarczało, aby usprawiedliwiać i tłumaczyć wszystko, co czyniła.

Szli powoli przez Bahnhofstrasse ku rynkowi. W dużej od siebie odległości. Kroki ich były niepewne, jakby poruszali się po nieznaną krainie, która mogła być pełna zasadzek i wilczych dołów.

— Nie musi mi pan nic tłumaczyć — powiedziała Ewa.

— Ale ja chcę! Powinna pani wiedzieć wszystko, co mnie dotyczy.

W uporządkowanym trybie życia Rheine-Bergen rozpoczęła się miła godzina trawienia. Ludzie spędzali ją przeważnie przy aparatach radiowych, przed ekranami kin, przy kartach i butelkach piwa. Z łózek nie robiono jeszcze na razie użytku. Jak się rzekło, większość ludności trawiła. Ulice były puste, kilkaset okien wystawowych zużywało bez sensu tysiące kilowatów. Mieli wrażenie, że są w tym rozrzutnie oświetlonym świecie sami.

— Powiem pani, dlaczego gotów byłem nazwać mego ojca szczwanym łobuzem. Ponieważ jest nim! Dlaczego? Działał na mnie bardzo mocno jako bohater Wielkiej Wojny, oczywiście tylko wtedy, kiedy przyjeżdżał na urlop. Przykładał wagę do tego, bym go podziwiał, a ja byłem wtedy dostatecznie głupi, aby to czynić. Potem z bohatera wojennego zrobił się antymilitarystycznie nastawiony demokracja i żarliwy przyjaciel oswobodzicieli. To mnie zdziwiło. Ostatecznie oswobodzony przeistoczył się w sprzy-

mierzeńca i przez to zaczął znowu zbliżać się powoli do bohatera wojennego. Wtedy ogarnęła mnie nieufność. Zrodziło się pytanie: kim właściwie jest ten człowiek, co się mieni moim ojcem? Słabeuszem, idiotą czy łobuzem? Robię mu zaszczyt i wybieram to ostatnie.

— Klaus — rzekła Ewa łagodnie — musi pan być bardzo nieszczęśliwy.

Klaus zdumiał się i przystanął, jakby ktoś wyrznął głową w jego pierś. Patrzył na jasną, dziecinną twarz Ewy, oświetloną łagodnym światłem, padającym z apteki, na której widniała tabliczka: „Dziś dyżur nocny”. Zdawało mu się, że widzi coś, czego nigdy jeszcze nie widział: całkowitą szczerość! Więcej: odzwierciedlało się tu uczucie — a sądził, że uczuciem pogardza — i pełna troski przychylność.

— Ja człowiekiem nieszczęśliwym? — zapytał Klaus ze zdziwieniem. — Nigdy o tym nie pomyślałem. Ale przy puśćmy, że tak jest, to czyż nie jest mi gwałtownie potrzebny ktoś, kto by mnie uczynił szczęśliwym? Co pani na to, Ewo?

My obaj - rzekł Kerze — znamy życie. I dlatego dobrze wiemy, że zające najchętniej ukrywają się w kapuście.

— Ale w swojej kapuście obcych zajęcy nie chcesz tolerować!

— Tacy mężczyźni jak my wiedzą ostatecznie, co to są sprawy realne. Taką sprawą jest na przykład fakt, że mi uciekła moja druga żona. No dobrze, powiedziałem wtedy sobie, wszystkiemu winien jest ten przekłety Hirsch. Ale dziś doszedłem do tego, że mówię: mam to do zawdzięczenia temu pocziwemu Hirschowi! Jeżeli o mnie chodzi, niech się ta dama włóczy i rozbija, gdzie jej się podoba. Oszczędzam sobie w ten sposób niepotrzebnych wydatków, zbędnych wysiłków i różnych nieprzyjemności.

— Tylko tak dalej — rzekł Hirsch z łagodną ironią. — W końcu gotów jeszcze jesteś twierdzić, że jestem jedynym

prawdziwym człowiekiem na ziemi. Mam jednak nadzieję, że mi tego nie zrobisz.

— Pozory czasami myślą. — Kerze zrobił ruch, jakby chciał serdecznie poklepać Hirscha po ramieniu, ale ten odchylił się w bok i udaremnił tę zamierzoną manifestację przyjaźni. Kerzego to nie zirytowało. — Kiedy na przykład w twoim pokoju rozbiera się dziewczyna, nie musi to wcale jeszcze oznaczać, żeś ją do tego wezwał lub zachęcił.

— Racja. I co dalej?

— Mogła na przykład mieć ochotę na kąpiel.

— To brzmi bardzo prawdopodobnie.

Hirsch uśmiechnął się bez żenady.

— Trzeba to tylko bliżej uzasadnić — ciągnął Kerze. — Na przykład: samochód wjechał w błoto, obryzgał jej suknię, była zmuszona zmienić ją lub wyczyścić. A ponieważ znajdowała się w pobliżu hotelu, którego dyrektorem był przyjaciel i kolega jej ojca, cóż naturalniejszego jak to, że się schroniła pod jego opiekuńcze skrzydła. Co ty na to?

— Czy owego dnia padał deszcz?

— Mogło to być równie dobrze coś innego. W każdym razie coś, co dowodzi całkowitej niewinności owej sceny rozbierania się. A może chcesz twierdzić, że to nie było wcale niewinne?

— A gdybym tak twierdził, to co wtedy?

— To do ciebie podobne! — zawołał Kerze ponuro. Ale zebrał całą swoją energię, żeby pohamować wzbierającą w nim wściekłość. — Gdybyś chciał mnie ugodzić, to miałbyś teraz po temu okazję. Zapytuję cię jednak: czy chodzi tu w ogóle o mnie? Czy przede wszystkim nie chodzi o Karen? Chcesz dziewczynę skompromitować? Masz zamiar raz na zawsze zrujnować jej dobre imię?

— Więc dobrze — powiedział Hirsch. — Oświadczam, że rzecz była jak najbardziej niewinna.

— Wspaniale! Czek na pięć tysięcy marek jest do twojej dyspozycji, po wydaniu mi tamtego skryptu dłużnego.

— Możesz oszczędzić sobie tego wydatku... tego rodzaju skrypt nie istnieje.

— Cóż to ma znaczyć?! — Kerze poczuł się jak rybak, któremu nagle pękła sieć z wielkim, ciężkim połowem. —

Wiem dokładnie, że żona moja świsstek tego rodzaju podpisała.

— Ale to wcale jeszcze nie znaczy, by ten, jak ty go nazywasz, świsstek musiał bezwarunkowo jeszcze dziś istnieć.

— Kryje się za tym jakieś świństwo! — Kerze nie ufał nikomu, a co dopiero Hirschowi! Wiedział dobrze, do czego ludzie są zdolni. — Co chcesz przez to wyhandlować?

— Nic. — Hirsch uśmiechnął się irytująco. — Masz tak bardzo przez ciebie upragnione moje oświadczenie. Czego więcej chcesz?


— I to oświadczenie złożysz wobec każdego, kogo to będzie interesowało?

— Jeżeli przykładasz do tego wagę, możemy nawet ogłosić odpowiednią notatkę w gazetach.

— Niepoprawny z ciebie kpiarz i żartownisi — zawołał Kerze z uczuciem ulgi, nie pozbywając się jednak tak od razu całej swojej nieufności. — Ale ze względu na Karen chcę ufać twoim słowom. Tak więc ta delikatna i kłopotliwa sprawa byłaby załatwiona, prawda?

— Nie zapominaj jednak, że oprócz mnie istnieje jeszcze dwóch świadków: nasz przyjaciel Schulz i jeden z moich kelnerów, mianowicie Paul.

— Dla mnie miarodajne jest jedynie twoje oświadczenie. Schulz to żaden problem, wystarczy, żebyśmy zaapelowali do jego poczucia koleżeństwa. A co się tyczy tego kelnera, jesteś ostatecznie jego dyrektorem i ty decydujesz o tym, co ma widzieć, a czego nie widzieć. Chyba nie będzie ci trudno to osiągnąć! Gdybyś miał w związku z tym jakieś wydatki, nie przejmuj się, pokryję je.

 próbuję być wobec pani zupełnie szczerzy — rzekł Klaus do Ewy Schulz. — Wiem, że wzbudzi to w pani nieufność. Muszę jednak zaryzykować. Przede wszystkim proszę nie robić sobie żadnych fałszywych nadziei, bo jestem człowiekiem biednym. Ewa, rozbawiona, zapytała z uśmiechem:

— Może mam zorganizować zbiórkę na pańską intencją?

— Proszę na ten temat nie żartować! Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł cały świat rzucić pani do stóp! Ale finanse moje nie wystarczą nawet na to, żeby panią zaprosić do trzeciorzędnego lokalu.

— Wyobraża pan sobie, że jestem okropnie rozpieszczona?

Minęli rynek i znaleźli się na Kronenstrasse, która nazywała się kiedyś aleją Zwycięstwa, później ulicą Republiki, potem ulicą 9 Listopada, a wreszcie Kronenstrasse. Nazwano ją tak na cześć radcy Theodora Kronena, który zbudował również hotel „Unter Drei Kronen”. Pod trzema, ponieważ właścicielami jego byli trzej członkowie rodziny Kronen: dziadek, ojciec i syn. Dziadek zmarł śmiercią naturalną, ojciec padł za cesarza i Rzeszę, syna wpakowano w imieniu Fihrera i narodu do obozu koncentracyjnego, gdzie go różgami zasieczono na śmierć. Teraz ten reprezentacyjny hotel należał do Spółki Akcyjnej Hotele Europa, ale zanim stał się jej własnością, obłowiło się na tej transakcji niemało powierników.

— Lody w każdy razie albo parówki mógłbym zafundować.

— Może pan sobie tego oszczędzić.

— Oszczędzać? Po co? Dla kogo? Czy jestem głową rodziny? Czy mam jakąś przyszłość? Jak pani sądzi, Ewo?

Niewielu ludzi spotykali po drodze, ale nawet i na nich nie zwracali uwagi. Nie spoglądali również na wystawy sklepowe, widzieli tylko padające z nich światło. Odzwierciedlało się na ich twarzach. Oczy ich lśniły. Ale starali się na siebie nie patrzeć.

— Trzeba pani wiedzieć, Ewo, że moja sytuacja finansowa jest bardzo skomplikowana. Otrzymuję ściśle wyliczone kieszonkowe; gdybym poprosił mego ojca, dostawałbym może więcej, a może i nie. Obawiam się bowiem, że ojciec mój wie, na co zużywam moje kieszonkowe... pożyczam je mianowicie mojej matce.

— Nie powinno to budzić żadnych zastrzeżeń. To nawet bardzo pięknie z pana strony.

— Kochana z pani dziewczyna — rzekł Klaus niemal czule. — Chciałbym powiedzieć: niech pani zostanie taka, jaka jest. Ale może byłby to błąd... zważywszy zamiary, jakie mam wobec pani. Będzie chyba lepiej, jeżeli nie będę pani zwodził. Otóż za te otrzymane ode mnie pieniądze matka moja kupuje sobie alkohol. Pije mianowicie, a mówiąc szczerze, chleje. Nie wiedziała pani o tym?

— Nie — odparła Ewa bezradnie. — Nie wiedziałam.

— Czyżby się to jeszcze nie rozniosło? Brat pani o tym nie mówił?

— Mój brat traktuje mnie jak dziecko — odparła Ewa z całą szczerością. — Nigdy nie rozmawiamy o takich rzeczach.

— To mu przynosi zaszczyt, ale to jest równocześnie niebezpieczne. Co sobie ci opiekunowie naszych dusz właściwie myślą? Chcą w nas wmówić, że świat jest dobry, piękny, że jest w porządku i znowu wart tego, aby dla niego dobrowolnie zdychać? Kupa błota jest ten świat, ot co! No tak, może jest również ciepły, osłonięty od deszczu, świetlisty wszędzie tam, gdzie dopiero co wyszedł z fabryki, przytulnie ciasny, z przyjemnie zabudowanym horyzontem. Ale mimo to jest to kupa błota!

— Niech pan myśli o czymś innym. — Ewa położyła mu tkliwie rękę na ramieniu. — Niech pan spróbuje o tym zapomnieć. Przynajmniej na kilka minut.

Zeszli z głównej ulicy, minęli hotel „Unter Drei Kronen” i skręcili w Parkstrasse. Dlatego nazywała się ta ulica Parkową, że na wysokości kawiarni „Paris” rozpościerały się na przestrzeni dwudziestu metrów planty. Znajdowały się one pod opieką ogrodnika miejskiego i utrzymywane były we wzorowym porządku, ale zbyt piękna nie grzeszyły. Wyżwirowane ścieżki, okalające rabaty z geranium, biegnące wśród krzewów róż, bzu i szczodrzeńca, na nich kilkanaście ławek. Z ławek tych w dzień korzystali chętnie ludzie starsi i bawiące się dzieci, wieczorami i nocami zaś siadywały na nich parki miłosne i sypiali pijacy.

— Pora roku jest sprzyjająca. — Klaus ujął Ewę pod ramię. — W kwietniu prawie zawsze wszystkie ławki są puste.

— Skąd pan o tym wie? Sprawdzał pan już?

— Wiem to na zasadzie dedukcji! Dla większości ludzi wiosna i lato zjawiają się zgodnie z kalendarzem. Miłość na powietrzu nie zaczyna się u nich przed połową maja. Zresztą ma pani rację, Ewo, bywam tu czasem. Ale zawsze sam, może mi pani wierzyć albo nie. Zwykłem tu rozkoszować się świeżym powietrzem, którego nie ma u nas w domu. Poza tym mam słabość do tak zwanej muzyki nowoczesnej. Słyszysz pani? Te faceciki w kawiarni grają wcale nieźle. Próbują obywać się bez sacharyny. Usiądźmy, Ewo. Tu nie tylko przyjemniej pachnie niż tam w tej tancbudzie, ale jest również taniej. W sam raz dla gólców.

Musimy się czegoś dobrego napić — zaproponował Willy Kerze — żeby uczcić ten wieczór. Oczywiście na mój koszt.

— Jesteśmy w moim królestwie. Tu ja jestem gospodarzem — rzekł Hirsch.

— Na koszt firmy, co? — Kerze wypowiedział tę uwagę bez żenady. Ale szybko się zorientował, że zachował się niezbyt taktownie. — To miał być dowcip! — zapewnił przyjaciela skwapliwie i usiłował zaprodukować beztroski uśmiech. W duchu zaś pomyślał: To warto by dokładniej zbadać. Nasuwa się bowiem pytanie: jak wysokie są w tym hotelu koszty przyjęć wydawanych prywatnie przez dyrektora. Trzeba będzie zwrócić na ten punkt uwagę Saffranski ego.

— Miałbyś coś przeciwko temu, gdybym poprosił teraz Schulza, razem z jego aktualną damą serca?

— Dawaj go tu! — Kerze był w dobrym humorze. Dzięki pomocy Hirscha Karen odzyska białość lilii, nabierze koloru, który doskonale pasuje do przyszłej narzeczonej.

Hirsch polecił czatującemu kelnerowi poprosić do dyrekcyjnego stołu pana Schulza i pannę Sonnenberg. Kiedy kelner poszedł do nich, Hirsch obrzucił lokal rzeczowym spojrzeniem: jak zwykle około godziny dwudziestej trzeciej kawiarnia była prawie pełna. Goście znajdowali się

w zaawansowanym stadium nastrojowej gadaniny i nie umotywowanej wesołości.

Samotni panowie, przeważnie stali bywalcy lokalu, wyszukali już sobie miejsca w pobliżu podium; za chwilę miało się rozpocząć pierwsze przedstawienie nocne. Ów samotny jegomość, który siedział w pobliżu toalety, wlewał w siebie bez przerwy piwo i wzmocnioną, podwójną jałowcówkę.

— Rodzaj spelunki na wysokim poziomie — powiedział z uznaniem Kerze. — Dobrze idzie, co?

Zjawił się, z Marleną Sonnenberg, Karl Schulz, otwarty, jowialny, jak zwykle gotów cały świat do serca przycisnąć i promieniejący solidną dumą posiadacza. Marlena, wysoka, piersiasta, o tanecznych ruchach rasowej klaczy, o oczach lśniących jak oczy gwiazd widniejących na afiszach kin i lokali nocnych, prezentowała się nie najgorzej. Bardzo ją to mile polechtało, że Kerze pocałował ją w rękę.

— Jestem zachwycony, że nareszcie panią poznałem!

— Ja również! — zapewniła go Marlena.

Kerze nie był galantem ani wytwornym kawalerem, ale całowanie rąk należało do jego metod handlowych. Był przekonany, że wie dokładnie, czym można sobie zjednać ludzi.

Schulz nachylił się do Kerzego jak zawsze pełen ufności i wiary. Mrugnął do niego znacząco i zapytał:

— No i co teraz powiesz?

— Gratuluję ci, mój drogi! — zawołał Kerze, również mrugając znacząco. — Jest na co popatrzeć!

Ewo, podoba mi się pani — rzekł Klaus Gisenius. I dodał bardzo cicho: — Mam wrażenie, że jeszcze nikt mi się tak nie podobał jak pani. — Czy zawsze mówi to pan dziewczynie, z którą pan siedzi na ławce?

— Zawsze — rzekł i położył rękę na poręczy ławki, za jej plecami. — Co wieczora, o każdej godzinie, przy każdej nadarzającej się sposobności, od dziś, jeżeli pani chce.

Ewa nie miała odwagi na to odpowiedzieć. Czowała jego ramię, ale zupełnie lekko, jakby to było piórko. Spojrzała w stronę latarni ulicznej, która stała za żywopłotem; wisząca u słupa lampa była jakby poprzecinana subtelnymi gałązkami o delikatnych listkach. Światło jej ledwie tu docierało, mimo to, kiedy wolno odwracała głowę, widziała bardzo dokładnie twarz Klause. I zdawało się jej, że była to teraz twarz smutna, zmęczona i łagodna, jakby rozplywająca się w nocnej poświacie.

Nie patrzył na nią, ale czuł, że mu się przygląda. Zaczęło go to uspokajać. Ręka jego, umieszczona z tyłu na oparciu ławki, osunęła się w dół. Ale zmusił się do słuchania muzyki, której tony dochodziły z kawiarni „Paris”.

Trzy saksofony zawodziły *Charmaine*. Perkusista z wycuciem obrabiał swoje bębny. Potem rozległy się nieśmiałe okłaski. Miało się wrażenie, że to pierwsze grube krople deszczu spadają na dach kryty blachą.

— Teraz kręcą się tam w kółko — powiedział Klaus. — Sądząc po muzyce, miotają się jak w drgawkach, kręcąc pupką, kołysząc rajerami, zrzucając woale, ściągając z siebie części bielizny, lśniąc od potu. Chciałaby pani tam być, Ewo?

— Nie — odparła zdecydowanie.

— Jest pani godna pożałowania. Nie ma pani wiele szczęścia. Trafiała pani na człowieka, który nic pani nie może zafundować, nawet głupiej butelki wina w tym lokalu rozrywkowym tam naprzeciwno; kosztowałaby taka butelczyna ponad dziesięć marek, a to przekracza mój budżet. Nic nie mam, jestem nikim i będę nikim przez długie jeszcze lata. Czy idzie pani do domu?

— Nie, Klaus. — Ewa pochyliła się nieco ku niemu.

— Zaczyna mi się tu podobać.

— Charakterek też mam nie najlepszy. Może go odziedziczyłem. W nic nie wierzę, mam złą pamięć, nie jestem zdolny do wielkich uczuć, nawet krótkotrwałych. Poza tym jestem z pewnością zakłamanym, leniwym i chciwym. Najlepiej będzie, jeżeli pójdziesz jak najprędzej do domu.

— Zrobiło się dosyć chłodno — powiedziała Ewa cicho.

— Może mnie pan objąć ramieniem.

Dziewczyno , od kogoś ty się tego nauczyła?
— Od ciebie — odpowiedziała i przytuliła się do niego.

To mała wyrafinowana bestia. — Kerze stwierdził to tonem wybitnie rzeczowym. Mówił o Brygicie i jej tańcu z odrzucaniem zasłon. — Doświadczona czy tylko udaje?

— Ma instykt — powiedziała Marlena Sonnenberg. — To talent samorodny. Zdaje mi się, że dziś produkuje się publicznie ze swoim numerem po raz pierwszy.

— Bezwstydnicą — zauważył Schulz.

— Czego ty właściwie chcesz? — zapytał Hirsch obojętnie. — Uprawia najstarszy na świecie zawód kobiety i muszę powiedzieć, że nie jest pozbawiona zdolności.

Brygitta robiła, co mogła, a było to niemało. Lśniła różowo w przytłumionym nastrojowym świetle. Czowała, że na nią patrzą. Denerwowało ją to, wyprowadzało z równowagi, tak że uda jej dygotały. Potem jednak, popychana naprzód podniecającą egzotyczną muzyką, z odwagą straceniça postawiła wszystko na jedną kartę, na swoje ciało. I wygrała!

— Czy jest droga? — zapytał Kerze, na którym to wszystko nie robiło zbyt wielkiego wrażenia. — Co za to płacisz?

Hirsch wymienił sumę. Wydawała się ona Kerzemu niezbyt wygórowana. Kerze był przede wszystkim człowiekiem interesu. I znowu stwierdził, że Hirsch jest wcale niezłym dyrektorem tego przedsiębiorstwa. To go nieco zasmuciło. I zapytywał się sam siebie: czy istnieje taki człowiek, który mógłby być godnym następcą Hirscha?

— Kto właściwie w tej budzie jest twoim zastępcą, Hirsch?

— Sekretarka hotelu, panna Gizela Wandel.

— Dobra siła?

— Można śmiało powiedzieć, że to uosobienie zaradności i obrotowości.

Brygitta zamierzała właśnie uraczyć rozochoconą publiczność odrzuceniem zasłony numer siedem. Schulz

spoglądał z uszczęśliwioną miną na Marlenę. Również Willy Kerze się jej przypatrywał, wyraźnie mu się podobała. Jego oczy, które zdawały się taksować jej piersi, zwęziły się. Hirsch obserwował salę.

Właśnie zobaczył przechodzącego obok łoży dyrektorskiej kelnera Gustawa. Gustaw, posiwiały w służbie kelnerskiej, wykonujący swój zawód niezwykle solidnie, niósł na tacy duże piwo i podwójną jałowcówkę. Uśmiechnął się do Hirscha — mógł sobie na to pozwolić.

Hirsch skinął mu przyjaźnie głową.

— Interesy idą dobrze, co, Gustaw?

— Są ciągle jeszcze ludzie, którzy potrafią pić — powiedział z uznaniem Gustaw. — To już dziewiąta kolejka. Za każdą płaci gotówką i daje przy tym porządny napiwek.

Hirsch znowu skinął głową, przyjaźnie i z uznaniem. Patrzył w ślad za Gustawem, z całego serca życzył temu staremu kelnerowi z czterdziestoletnim doświadczeniem zawodowym, nabytym w nocnych lokalach, sutego napiwku. Widział, jak Gustaw przemyka się między stolami w stronę samotnego jegomościa, siedzącego w półmroku koło toalety.

Jegomość ten był chyba niskiego wzrostu. W każdym razie mocno się garbił. Miało się wrażenie, że najchętniej wlaźby do mysiej dziury. Siedział niemal nieruchomo, a równocześnie był jakby sprężony do skoku, czujny. Obserwował. Hirsch widział jego wielkie oczy.

I przez chwilę Hirschowi się zdawało, że oczy te spoglądają na niego. Więcej. Że mu się przypatrują. Tylko je mu.

Będziesz tego żałowała — rzekł Klaus ledwie dosłyszalnie. — Dawno już powinnaś być w domu, byłoby to z pewnością lepiej dla nas obojga, a zwłaszcza dla ciebie.

— Skąd możesz wiedzieć — zapytała Ewa tkliwie — co jest dla mnie dobre, a może i dla ciebie?

Klaus otoczył prawym ramieniem jej plecy. Były wąskie, delikatne, miękkie i okrągłe w dotyku. Takie plecy miała może owa Ewa, którą malował Lucas Cranach, kobiece, przymilne i kruche, przy pierwszym brutalnym dotknięciu gotowe się rozsypać.

Ewa siedziała przytulona do Klausu. Czuła błogie ciepło płynące od niego. Drżała pod jego ręką, która ją osłaniała i równocześnie brała w posiadanie. W pewnej chwili ręka ta nieśmiało, lękliwie, ale kierowana jakąś nieodpartą siłą, posunęła się w kierunku jej piersi. Ewa przytuliła się do niego jeszcze bardziej, tak że dotykał teraz ręką jej biustu. Poczowała na twarzy jego gorące, wilgotne usta.

— Kocham cię — powiedział. I dodał całkowicie bezradnie. — Ale w to nie wierzę.

— Kocham cię — usłyszała swój głos. — I wierzę w to.

Przepraszam was na chwilę — rzekł Hirsch i wstał. Nikt przy stole nie zwrócił nań uwagi. Schulz spoglądał na Marlenę, Marlena zaś na Kerzego. Orkiestra grała donośnie i hałaśliwie w gęstniejących coraz bardziej oparach alkoholu.

A Martin Hirsch szedł niemal z pewnością lunatyka w kierunku człowieka siedzącego w półmroku przy małym stoliku, na którym stały piwo i podwójna porcja jałowcówki. Wielkie oczy tego człowieka, które zdawały się patrzeć dotąd tylko i wyłącznie na Schulza, były teraz martwe i niewyraźne jak powierzchnia błotnistej stawu. — Meiners — rzekł Hirsch. — Michel Meiners. Człowiek, do którego te słowa zostały skierowane, podniósł się z krzesła gwałtownie i jakby w samoobronie, tak się przynajmniej Hirschowi wydawało. Potrącił stół. Kufel z piwem przewrócił się, jego zawartość utworzyła na marmurowym blacie stolika kałużę. Wyglądało to groteskowo i paskudnie, jak gdyby ktoś nalał na blat uryny. W oczach zaczeplonego człowieka była udreka, zdawały się patrzeć poprzez Hirscha w nieskończoną dal.

Chwiejąc się nieco, człowiek ten powiedział:

— Kiedy to wszystko widzę, robi mi się niedobrze! Tak, rzygać się chce!

— Michel Meiners — powtórzył Hirsch.

Ale tamten gwałtownie się odwrócił i znikł w drzwiach, na których widniał napis: „Dla panów”.

Po chwili Hirsch miał wrażenie, że go tu nigdy nie było.

RAPORT NR 2

STENOGRAM PRZESŁUCHANIA POLICYJNEGO WILLE-GO KERZE, przeprowadzonego przez inspektora policji kryminalnej Sanda dnia 1 maja 1961 r. w związku z wypadkami w dniu 20 kwietnia 1945 r.

Na wezwanie stawił się Willy Kerze. Poinformowany o przedmiocie śledztwa i upomniany, żeby mówił prawdę, podaje, co następuje:

Personalia:

Nazywam się Willy Kerze, mam lat czterdzieści siedem, jestem z zawodu fabrykantem.

Oдноśnie do sprawy:

A więc drużyna Schulza prezentowała się chwacko! Toteż cieszyła się wielkim poważaniem, potwierdzi to każdy, kto ją jeszcze pamięta. W kompanii, nawet w pułku, nazywano nas „jak z żelaza”. Zawdzięczaliśmy to przede wszystkim naszej stałej gotowości. Kiedy trzeba było paru tęgich chłopów, zwracano się do naszej drużyny. Mogę śmiało powiedzieć: zawsze można było na nas liczyć.

Oczywiście nie byliśmy białymi krukami, na pewno nie. Ale przeciętniakami też nie byliśmy. Karl Schulz był typowym, solidnym podoficerem zawodowym, Gisenius miał główkę na karku, Frammler nie cofał się przed najbrud-

niejszą robotą, Hirsch nawet na pustyni potrafił na zawołanie zorganizować kawior. Krótko mówiąc: były z nas chłopcy na medal, czemu często dawano wyraz.

Pytanie: Czy przy wyliczaniu nie zapomniał pan o kimś z waszej drużyny?

Odpowiedź: Ma pan zapewne na myśli Michela Meiner-sa. No cóż, trzeba panu wiedzieć, że on w gruncie rzeczy nie bardzo do nas pasował. Miły, kochany chłop, to prawda, ale nowicjusz. Był w drużynie dopiero od paru tygodni. Ja przynajmniej nie mogę powiedzieć, żebym go bliżej znał. A więc owego wieczoru, przed tą przebrzydłą sprawą, przyszlismy do jakiejś paskudnej dziury, zdaje się, że się nazywała Steinwiesen. Zabita deskami, piach, szyszki. Zakwaterowaliśmy się w jakiejś budzie na skraju wsi. Była już mocno sfatygowana, ale tylko od zewnątrz, bo wewnątrz była jeszcze całkiem znośna. Pan przecież wie, taki chłop wszystkie wojny przeżyje.

Natknęliśmy się tam na kupę ludzi. Rodzina chłopca, trochę uciekinierów. Wśród tych uciekinierów uderzyły mnie z miejsca dwie postacie: matka i córka. Nie wiadomo było, na którą naprzód patrzeć. Przypominam sobie dokładnie, że na ich widok Hirsch gwizdnął. Miał wówczas takie maniery. Amerykanie, którzy wkrótce potem przyszli, nie musieli mu ich wpajać. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć nic złego na Hirscha. Ani na Amerykanów.

Jedno tylko chciałem od razu podkreślić: nasza koleżeńskość była wręcz wzorowa. Jeśli o to chodzi, to nie można nam nic wytknąć ani zarzucić. Można śmiało powiedzieć: to te trudne czasy skuły nas tak ze sobą. Tygodnie, miesiące przeżyte razem w twardych warunkach nie pozostały bez śladu. I choć czasami jeden nie mógł znieść zapachu drugiego, wiedzieliśmy, że w każdej chwili musimy i możemy liczyć na siebie. Ostatecznie nie mieliśmy wyboru. Tak, koleżeńskość nasza była szczerą i prawdziwą. Dowodem tego był również ów wieczór. Hirsch, w takich rzeczach nieprześcigniony, zorganizował kosz butelek, oczywiście pełnych. Zdobył również kilka puszek wołowiny i kielbasę myśliwską. Nawiasem mówiąc, takie rzeczy zdarzały się

w ostatnich dniach wojny częściej niż w ciągu całych pięciu, sześciu lat wojennych. Dzięki likwidacji składów zaopatrzeniowych. Nie chcę przez to, jak mi Bóg miły, pomniejszać wyjątkowych zasług Hirscha, naprawdę organizował dla nas, gdzie i co tylko mógł.

A więc znowu mógł się odbyć jeden z naszych kolejnych „wesołych wieczorów”. Wiem, zdarzenia tego rodzaju nie są niczym nadzwyczajnym. Jeżeli o tym mówię, to tylko po to, by pokazać, w jakiej znajdowaliśmy się sytuacji. Naprawdę, nie mogło być mowy o jakimś szaleństwie, byliśmy w nastroju nie najlepszym, choć dalekim od skrajnej rozpacz. Chciałbym to podkreślić z całym naciskiem. Czegoś takiego u nas nie było!

Uprzejmie poprosiliśmy cywilów, aby wzięli udział w naszej małej uroczystości. Długo się nie ociągali. Mam wrażenie, że to Hirsch ich zaprosił, mogę się jednak mylić. Wiem tylko, że Hirsch bardzo się interesował obu uciekinierkami, zarówno matką, jak i córką. Palił się do kobiet również mały Meiners, ale ten kierował swe afekty wyraźnie ku córce. Dziś, po tym wszystkim, co się od tego czasu wydarzyło, cała ta sprawa wydaje mi się bardziej wzruszająca.

Mniejsza zresztą o to, kto brał w tym udział. Kto to potrafi dziś dokładnie powiedzieć? Wieczór był w każdym razie bardzo miły, choć Sowietci byli już tuż-tuż i sytuacja z minuty na minutę stawała się coraz groźniejsza. Wysłuchaliśmy wówczas mowy tego Goebbelsa z okazji urodzin Fuhrera, które przypadły następnego dnia. Słuchaliśmy jej, wolno mi tak chyba powiedzieć, niezwykle zdyscyplinowani, to znaczy, nie okazywaliśmy swych prawdziwych uczuć. Zona chłopca płakała ze wzruszenia, jakiś uciekinier ryczał również. Myśmy taktownie milczeli. Milczenie to było jednoznaczne. I jeśli nawet Hirsch milczał, to chyba dlatego, że pochłonięty był matką i córką.

Wydaje mi się, że teraz właśnie jest odpowiedni moment, abym powiedział parę słów o naszym nastawieniu politycznym. Chyba mam prawo twierdzić kategorycznie: byliśmy apolityczni, i to całkowicie! W dzisiejszych czasach uważane jest to, być może, za błąd, ale wtedy było bez-

względnie cnotą. Kiedy myślę o naszym nastawieniu wewnętrznym, to wolno nam, zwłaszcza Giseniusowi i mnie, nazwać się cichymi bojownikami ruchu oporu.

Podkreślam jednak wyraźnie: koleżeństwo było dla nas zdecydowanie ważniejsze od taniej próby dania walącemu się w gruzy kolosowi kopniaka. Myśleliśmy przede wszystkim o człowieku, o tym człowieku, który był naszym kolegą. A tym samym, pośrednio oczywiście, myśleliśmy o całej ludzkości. Ale dajmy spokój wielkim frazesom. Zbyteczne jest tłumaczenie tego, co jest zrozumiałe samo przez się.

W każdym razie, o ile coś takiego było wtedy w ogóle możliwe, była to uroczystość naprawdę harmonijna. Jeszcze raz, jak za niezapomnianych czasów pokoju, wojsko złączyło się z ludnością cywilną. Można by nawet powiedzieć, że było w tym wieczorze coś z nastroju manewrów. Niemal do północy rozbrzmiewały pieśni patriotyczne. I jeszcze po latach zapytywałem się nieraz sam siebie, co też sobie wtedy myślał czatujący gdzieś w ciemnościach wróg, jeżeli to słyszał. Tak więc zaświtał ranek dnia dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Pytanie: Czy owej nocy wytrzymał pan do końca uroczystości? Kto wytrwał razem z panem? Kto specjalnie interesował się córką uciekinierki. Nazywała się Bogdański, prawda?

Odpowiedź: Me musi mnie pan o to pytać. Miałem za sobą męczący dzień. Nie byłem od tego, żeby sobie zdrowo popić. Ale byłem bardzo zmęczony; kiedy mnie to zmęczenie ogarnęło, nie wiem. Wiem tylko jedno: przez cały czas panował ciepły, serdeczny nastrój, nic nie mąciło ogólnej harmonii. Potem usnąłem.

Następnego ranka, już o piątej, rozpętało się piekło. Rozległy się straszliwe wrzaski, przy czym najgłośniej zachowywali się cywile. Wszystko jednak zagłuszał głos Schulza, jakby stworzony do wydawania rozkazów; w ogóle ten Schulz był wtedy morowcem nie lada. Podkreślam to jako doświadczony żołnierz frontowy. Lepszego kaprala nigdzie

byśmy nie znaleźli. Jeszcze dziś brzmi mi w uszach jego ryk: „Wstawać, leniuchy, wstawać!”

Był to oczywiście żargon przyjacielski, jeżeli tak można rzec, żargon zawodowy. Zerwaliśmy się na równe nogi i dowiedzieliśmy się, że wbrew oczekiwaniom nie pomaszzerujemy dalej. Taki rozkaz wydał dowódca kompanii porucznik Kronshagen. Drużyna Schulza, a więc my, miała ryglować szosę, i to pod laskiem, w którego pobliżu byliśmy zakwaterowani. „Pozycja musi być utrzymana za wszelką cenę!”, oświadczył porucznik Kronshagen, po czym udał się do innych drużyn swojej kompanii.

Pytanie: Słyszał pan ów rozkaz dowódcy kompanii na własne uszy? Pamięta pan dokładnie jego brzmienie?

Odpowiedź: Jak pan sądzi, w jakim stanie budzi się człowiek po takiej małej harmonijnej uroczystości? Każdy włos mnie bolał, a głowę mam bardzo mocną. Wszystko mi w oczach wirowało. Ostatecznie nie jestem kamerą filmową. Mówię to, co wiem i o czym nawet dziś jestem głęboko przeświadczony. Próbuję być absolutnie obiektywny, ale że każdy drobiazg wyglądał tak, a nie inaczej, na to oczywiście nie mogę przysiąc.

A więc cała szóstka — siódmym był nasz kapral Schulz — zebrała się w oporządzeniu bojowym na podwórzu. Zdaje się, że na każdym z nas ta mała harmonijna uroczystość pozostawiła swój ślad. Staliśmy więc na podwórzu. Po skontrolowaniu broni czekaliśmy na rozkaz wymarszu.

Tymczasem po całej zagrodzie biegła jak oszalała ta uciekinierka, matka. Szukała swej córki. Twierdziła, że córka nie była w nocy przy niej — w ostatnich nocach wojny zdarzało się to niezawodnie wielu matkom. Cóż można na to powiedzieć? Skąd można wiedzieć, dokąd potrafi zaprowadzić młodą dziewczynę uczucie? W każdym razie to ludzka rzecz.

Tak czy inaczej córka owa została później znaleziona w stodole; pożegnała już ten padół płaczu. Kiedyśmy się o tym dowiedzieli, byliśmy już w drodze do lasku trzysta siedem, który zaczynał się niedaleko tej zagrody. Wiem, że Schulz miał szczerzy zamiar zając się tą sprawą. Ale i on

w końcu zrozumiał, że nasze zadanie było ważniejsze i pilniejsze niż wszystko inne.

Proszę mnie teraz nie pytać, dlaczego Schulz postąpił tak, a nie inaczej. Robił to, co uważał za stosowne, i kwita. Musiał powziąć decyzję i powziął ją. Uzasadnienie tego jest chyba rzeczą drugorzędną. Dlaczego zresztą miałyby się odwlekać działania wojenne albo ich nawet zaniechać? Dlatego tylko, że ktoś uległ żądaniu jakiejś wzburzonej uciekiniarki i zarządził poszukiwanie jej córki? Niech pan spróbuje rozumować realnie. Taka wojna to ostatecznie nie przedszkole.

Pytanie: *Czy nikomu nie przyszło do głowy, że gwałtowna śmierć córki owej uciekiniarki, nazwiskiem Bogdański, mogła być spowodowana przez jednego z członków waszej drużyny?*

Odpowiedź: *Me oczekuje pan chyba tego ode mnie, żebym kóregoś z moich kolegów o coś podobnego posądzal? Pięknie, Hirsch interesował się i matką, i córką, córka zaś wyraźnie wpadła w oJto naszemu kochanemu, poczciwemu Meinersowi. Ale czego to dowodzi? Kim była córka? Istotą godną pożądania? Może. Nie byliśmy jednak w tej okolicy jedynymi mężczyznami. Kręciło się tam jeszcze pa-ruset innych żołnierzy i co najmniej jakichś dwudziestu, trzydziestu cywilów.*

Pozostaliśmy więc przy faktach dających się udowodnić i wytłumaczyć. Drużyna Schulza obsadziła lasek trzysta siedem. Na jego skraju został ustawiony kaem. Równocześnie budowana była na szosie zaporą przeciwpancerna. Mogę śmiało powiedzieć, żeśmy harowali jak szaleni. Ścinaliśmy drzewa i maskowaliśmy decydujące punkty. I w każdej chwili byliśmy przygotowani na to, że spadnie na nas nieprzyjaciel.

Owego wczesnego ranka samiśmy się nazwali „Todeskommando”. Niech mnie pan nie pyta, kto wpadł na ten pomysł. Nie wiem. Wisiał on w pewnej mierze w powietrzu. Wymyśliliśmy tę nazwę pod wpływem wisielczego humoru. I używaliśmy jej później przez długie lata. Przez pewien czas nawet stół w knajpie, przy którym spotykaliśmy się od czasu do czasu, nazywaliśmy „Todeskommando”.

Proszę, niech się pan w tym nie dopatruje sentymentalizmu ani też jakiegoś zafascynowania się wspomnieniami. Nazwę tę zawdzięczamy wyłącznie humorowi żołnierskiemu. Tylko ten, kto przeżył to, co myśmy musieli przeżyć, może to zrozumieć. Cóż bowiem na świecie jest nam obce? Tym, którzy przeżyli i przecierpieli wojnę tak jak my, nic już zaimponować nie potrafi.

Wyglądaliśmy więc nieprzyjaciela z pewnym stoicyzmem. Ostatecznie nie po raz pierwszy patrzyliśmy śmierci w oczy. Proszę wziąć to pod uwagę! W tych sytych, nacechowanych powierzchownością czasach, w których musimy żyć, ludzie nie rozumieją pewnych rzeczy, które wtedy wydawały się nam zrozumiałe same przez się. Ale wówczas niemal codziennie chodziło o nasze życie. Niech więc się nam nie bierze za złe, że mamy dziś tak mało zrozumienia dla śmiesznych i prymitywnych trosk i pragnień młodzieży, która ma tak tragicznie kiepskie pojęcie o tym, cośmy musieli wycierpieć i cośmy też z cichą pokorą i żelazną wolą wycierpieli, niech mi to wolno będzie powiedzieć, dla dobra kraju, ojczyzny i narodu. Ostatecznie żyjemy znowu w czasach, w których prawdziwe wartości również znajdują zrozumienie i uznanie.

Owego ranka nieprzyjaciel napierał na nas przeważającymi siłami, którym przy najlepszej woli nie mogliśmy sprostać. Mimo to nikt z nas nie wzdragał się spełnić swego obowiązku, co chciałbym podkreślić z całym naciskiem. Na naszą siedmioosobową grupę runęły trzy czołgi, a należało się spodziewać, że za nimi idą dalsze. Bezpośrednio za czołgami szedł na nas przynajmniej batalion tych azjatyckich podludzi.

Mimo to z miejsca podjęliśmy walkę. Mieliśmy jedną szansę na sto, może nawet jedną na tysiąc. Ale w owej chwili wcaleśmy o tym nie myśleli. Pamiętam dokładnie, że Gisenius zawołał odruchowo: „Wpadliśmy jak śliwki w gówno!” Było to tylko lapidarne, męskie stwierdzenie, nic więcej. A może słowa te nie zostały wypowiedziane przez Giseniusa? Może ja je wypowiedziałem albo Frammler? Co to ma za znaczenie? Taki był w każdym razie nastrój walczącej drużyny, niezmqcony, jak zawsze bojowy, nacechowany wisielczym humorem.

Nie potrzebuję chyba specjalnie podkreślać, że daleki jestem od tego, aby nasze ówczesne zachowanie nazywać heroicznym. To, co myśmy robili, robiłyby miliony innych, gdyby oczywiście miały ku temu sposobność. Ale też niewielu przeżyło to, co myśmy musieli przeżyć. Był to atak przemocy i gwałtu, któremu jednak nie wahaliśmy się stawić czoła. Ale strata kaemu do tego stopnia osłabiła naszą siłę ognia, że zmuszeni byliśmy przejść do odwrotu.

Pytanie: *Kto oprócz Meinersa znajdował się przy kae-mie?*

Odpowiedź: *Ktoś spośród nas, ja w każdym razie nie. Przebywałem w łasku trzysta siedem. Ale zaraz po pierwszej serii strzałów, które unieszkodliwiły nasz kaem, chciałem pobiec na skraj lasu. Zatrzymał mnie jednak rozkaz odwrotu.*

Pytanie: *Kto go wydał?*

Odpowiedź: *Nie mogę na to dokładnie odpowiedzieć. Wiem tylko, że rozkaz ten przekazał mi Hirsch, o ile pamiętam. Proszę wziąć pod uwagę, w jakim to się działo zamieszaniu!*

Znowu okazało się, że dobry oddział — co mówię, najlepszy! — w obliczu barbarzyńskiej przewagi musi się wycofać. Ale jestem pewien, że powstrzymaliśmy nieprzyjaciela — chociaż tylko na parę minut. Pociągnęło to za sobą ofiary. Pożalowania to godne, ale nieuniknione. Czyżby ktoś ważył się czynić nam teraz z tego powodu wyrzuty?

Ten, kto by się na to ważył, nie mógłby być dobrym Niemcem!

5. Zające jeszcze nie drżą, ale polowanie już się zaczyna

Jak co ranka Konrad Gisenius klęczał w kościele Świętej Trójcy, w drugiej ławce z przodu. Chętnie rozpoczynał od tego dzień, nabierał w ten sposób sił i otuchy, a równocześnie dawał przykład godny naśladowania.

Kiedy przebrzmiało ostatnie westchnienie organów, Gisenius się podniósł. Wiedział, że kościół będzie teraz prawie zupełnie pusty, że zostanie w nim co najwyżej kilka staruszek, na których widok ogarniało go zawsze wzruszenie. Skinie im głową z uznaniem.

Owego dnia Konrad Gisenius ujrzał jednak obok tych miłych staruszek postać w tym miejscu wręcz niezwykłą: Martina Hirscha, otulonego w modny szary płaszcz z angielskiego materiału.

— Ty tutaj? — zapytał zdumiony.

— To cię nie cieszy?

— Ponieważ cię znam, nie przypuszczam, żebyś przyszedł tutaj po to, aby się pomodlić.

— Jestem tu w służbie solidarności koleżeńskiej.

— A więc chodzi o Meinersa — rzekł Gisenius całkiem naturalnie, jak meteorolog rejestrujący długo oczekiwany deszcz.

— Nie wydajesz się tym zbytnio zaskoczony.

— Jestem przygotowany na wszystko, a więc i na to. Proszę cię, opowiadaj, ze szczegółami.

Martin Hirsch uczynił to bez wahania. Gisenius słuchał uważnie. Chodzili tam i z powrotem po placu przed kościołem, wyłożonym prostokątnymi, szarymi, jednostajnymi

plytami z cementu. Sprawiali nieomal wrażenie ludzi zatopionych w głębokiej rozmowie na tematy religijne.

— Czy jeszcze coś jest niejasne?

— Bardzo wiele. Ale przede wszystkim pomówmy o tym, co wydaje mi się dość dziwne. Obecni byli oprócz ciebie jeszcze Schulz i Kerze, a więc akurat ci dwaj, którym się zdawało, że widzieli już Michela Meinersa. Czyżby to był tylko przypadek?

— Tym razem ja go widziałem.

— Ty sam? Oni nie?

— Ja sam.

— A reszta, znajdująca się razem z tobą w jednym pomieszczeniu, nie? Dość dziwne, prawda?

— Pomieszczenie to ma prawie czterdzieści metrów długości.

— Hirschowi niełatwo było odpowiadać na podchwytliwe pytania Giseniusa. — Tylina część lokalu jest skąpo oświetlona ze względu na parki oraz ze względów oszczędnościowych. Tam właśnie się udałem.

— Po co?

— Szedłem do toalety. Idąc więc ku drzwiom, widzę go, poznaję, nazywam po nazwisku.

— Nazwałś go Meiners?

— Michel Meiners.

— I co się stało później? Uważam to, co potem nastąpiło, Hirsch, za decydujące. Czy on cię też poznał? Czy wymienił twoje nazwisko? Co w ogóle potem, jak go zagadnąłeś, powiedział? Muszę to wiedzieć, powtórz słowo w słowo.

— Spojrzał na mnie. Potem wstał i powiedział mniej więcej tak: „Jest mi niedobrze”. Potem jeszcze coś. Mam wrażenie, że powiedział: „Rzygać się od tego wszystkiego chce”. Wyglądał też odpowiednio. Wlał w siebie niemało: w ciągu dwóch, trzech godzin dziewięć piw i dziewięć podwójnych jałowcówek. Kręcił się i wiercił, potem, chwiejąc lekko na nogach, udał się do ubikacji męskiej.

— Poszedłeś za nim?

— Nie.

— Nie? — Gisenius podniósł głowę jak pies węszący już z daleka zwierzynę. — Dlaczego?

— Przede wszystkim nie mam zwyczaju odprowadzać kogoś do ubikacji.

— Przecież i ty miałaś zamiar tam pójść, prawda? Tak przynajmniej przed chwilą powiedziałaś.

— Może, ale mi się odechciało. Poza tym ubikacja nie ma tylnego wyjścia. Prowadzą z niej wprawdzie drzwi do ogrodu, ale w okresie zimowym są zazwyczaj zamknięte.

— A więc czekałaś, aż on się znowu zjawi?

— Nie — rzekł Hirsch, któremu krzyżowe pytania Gise-niusa zaczynały już ciążyć. — Wróciłem czym prędzej do Schulza i Kerzego i powiedziałem im, kogo spotkałem.

— Na co oczywiście, tak jak ich znam, powiedzieli z tryumfem, że są wspaniałymi obserwatorami.

— Znasz ich na wylot. Ale długo się sobą nie zachwycali. Jak zwykle w takich wypadkach inicjatywę przejął Schulz. Z bojową miną wpadł do toalety, my za nim.

— No i?

— Była pusta.

Na martwej zazwyczaj twarzy Giseniusa pojawił się wyraz cierpienia. Prawdopodobnie dostał kurczy żołądka.

— Pusta? — powiedział z wysiłkiem. — Meinersa nie było?

— Ani Meinersa, ani w ogóle nikogo. Natomiast otwarte były drzwi prowadzące do ogrodu. W ogrodzie nie było jednak nikogo. Nawet kociego ogona.

— Dużoście wypili?

— Nie zwracaj głowy, mój stary, nie jestem poczciwym Schulzem. Nigdy nie pijam zbyt wiele, poza tym nie mam zrozumienia dla duchów. Widziałem człowieka, który mógł być Michele Meinersem. Słuchaj mnie dobrze: mógł! Oto, mój drogi, fakty. One muszą być dla nas punktem wyjścia.

Gisenius nie oponował. Nigdy nie był w swych poglądach za bardzo sztywny. Kiedy sytuacja tego wymagała, potrafił momentalnie zmienić kurs.

— A więc istnieje człowiek, który tak wygląda, że może być uważany za Meinersa. Ale czy to istotnie Meiners, tego z całą pewnością twierdzić nie możemy.

— Masz rację. Do tego stwierdzenia mogliśmy dojść na podstawie obserwacji Schulza już przed czterema dniami. Każde nasze dzisiejsze pociągnięcie jest więc już spóźnione o cztery dni. To może być błędem. Ale nie zawracajmy sobie tym głowy, postępujemy teraz metodycznie. A więc człowiek ten wygląda tak, jakby mógł wyglądać dziś Meiners.

— Może to być, i to jest najbardziej prawdopodobne, istotnie czysty przypadek. Wszystko, co wiemy, wskazuje na to albo, ściślej mówiąc, zdaje się wskazywać na to, że Meiners nie żyje. Siłą rzeczy narzuca się więc takie rozumowanie: Nie jest wcale wykluczone, że istnieje jakiś Bogu ducha winny człowiek bardzo podobny do Meinersa. Ktoś tak podobny, że można jednego wziąć za drugiego.

— Nie jest to niemożliwe — rzekł Hirsch — i nie należy tego tak z miejsca odrzucać. Ale wobec tego narzuca się automatycznie wniosek dalszy: to niezwykle podobieństwo nie jest przypadkiem, lecz, powiedzmy sobie, rzeczą jak najbardziej naturalną. A to, niestety, byłoby mniej niewinne.

— To byłoby — powiedział Gisenius — nawet niebezpieczne i alarmujące. I we mnie zrodziły się podobne przypuszczenia, i to zaraz za pierwszym razem, kiedy Schulz opowiadał o tym, kogo spotkał. I ja pytałem siebie, głęboko zatroskany: A co będzie, jeżeli ten człowiek jest bratem Michela Meinersa? Co wtedy?

— Wtedy — rzekł Hirsch — byłoby to niesłychanie niebezpieczne. Należałoby bowiem wtedy przyjąć, że ten ewentualny brat wypłynął z bardzo jednoznacznymi zamiarami. Przy okazji należałoby więc ustalić, czy Meiners w ogóle miał brata, czy ten był do niego podobny, czy wiek mniej więcej by się zgadzał.

— Krótko i węzłowato — rzekł zdecydowanie Gisenius — nie mamy teraz innego wyjścia: musimy wyśledzić tego człowieka, który wygląda jak Meiners.

— Ale to się musi stać szybko.

— Jednak — rzekł Gisenius zupełnie cicho, jakby mówił do siebie — jeden punkt wydaje mi się szczególnie zastanawiający i wątpliwy.

Gisenius zachowywał się tak* - jakby nie miał odwagi spojrzeć na Hirscha; zatopiony w myślach, spoglądał na kamienne płyty pod stopami.

— Jeżeli ten człowiek nie jest Michele Meinersem, a znane mu są okoliczności śmierci Meinersa, to pytam się: skąd o tym wie? Kto mu to powiedział? Bo jeżeli ktoś się przed nim zwierzył, to mógłby tu wchodzić w rachubę tylko i wyłącznie jeden z nas.

Jedenasta, panie dyrektorze — obwieścił kierownik kancelarii, zwany ogólnie szefem.

— Proszę wprowadzić pana Dänkla — rzekł Gisenius.

— Oprócz pana Dänkla zjawił się również niejaki pan Lehmgruber.

— Jutro — zdecydował Gisenius. Był pewien, że i w tym wypadku czas będzie pracować dla niego. Lehmgrubero-wi było wyraźnie spieszo, już to samo nakazywałoby chłodny, wyczekujący spokój, który się prawie zawsze opłaca.

— A więc pan Dänkel — rzekł szef kancelarii posłusznie.

Siegfried A. Dänkel — A, czyli Adolf, którym *to* imieniem ochrzcili go niefortunnie jego zawsze wiernopoddań-czy i lojalni rodzice — wdarł się, jeżeli można tak rzec, do biura. Był to drobny, okrągły, różowy człowieczek, starający się promieniować energią i optymizmem. Sposób, w jaki się zachowywał, zdawał się wrzeszczyć: ile kosztuje świat? Równocześnie jego mrugające oczki zapewniały: tanio, tanio, jeżeli go kupuje Siegfried A. Dänkel.

— Chodzi o zlecenie wymagające jak największej dyskrecji — rzekł Gisenius bez żadnych wstępów, bo mógł sobie tego wobec Dänkla oszczędzić.

— To moja specjalność — zapewnił go Dänkel bez wahania.

— Zlecenie to jednak — ciągnął Gisenius z namaszczaniem — wymaga nie tylko niesłychanej dyskrecji, ale jeszcze pewnych kwalifikacji detektywistycznych.

— Znajdą się. — W tej dziedzinie, i nie tylko w tej, Dänkel nie znał wstydu.

— Chodziłoby — rzekł Gisenius z pewnym wahaniem — o rzecz następującą: potrzebne mi są wszystkie dostępne dane o pewnym człowieku, który od paru dni przebywa w Rheine-Bergen.

— Nic łatwiejszego. — Dänkel był zawsze optymistą, gdy chodziło o jego interesy. — Proszę o szczegóły.

— Chciałbym dowiedzieć się ich od pana właśnie.

— Więc proszę o jakieś punkty zaczepienia.

— Panie Dänkel, jest pan osobą znaną w całym mieście, w każdym razie w kołach wtajemniczonych, które wiedzą, że współpracuje pan ze mną. Z tego powodu nie chciałbym, żeby pan działał osobiście.

— Rozumiem.

— Na pewno rozporządza pan ludźmi, którzy mają w tym wypadku tę decydującą zaletę, że są tu prawie nie znani.

— Oczywiście, że rozporządzam.

— A. zatem, kto, pańskim, zdaniem, wchodziłby w grę?

— Tantau. — Dänkel powiedział to tak, jakby zwiastował objawienie.

— Kto to jest Tantau?

— Stary lis. — Dänkel powiedział to nie bez pewnego entuzjazmu. — Były komisarz policji kryminalnej z Berlina, specjalista od morderstw. Jest wprawdzie od kilku lat na emeryturze i osiedlił się tu w pobliżu, ale lubi sobie od czasu do czasu paręset marek zarobić. Sprawa musi go jednak interesować, to jego warunek. Potem zabiera się do rzeczy jak Bliicher. Mogę tylko jedno powiedzieć: ten stary to geniusz!

— Wyobrażam sobie, że jest też odpowiednio drogi.

— Ale to geniusz! Pamięta pan te ciągle akty sabotażu w fabryce żarówek w Babenbergu. Policja tygodniami węszyła i dreptała w miejscu. Tantau dał sobie radę ze wszystkim w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

— Tęga głowa, co? Czy aby nie za tęga?

— Skądże znowu! Dla tego szczwanego lisa sama sprawa jest wszystkim, nic go poza tym nie interesuje. Na przykład w związku z tą aferą z żarówkami prowadził tylko poszuki-

wania, po czym podał nazwisko sprawcy i koniec, nie widział go nawet na oczy. Było mu to całkowicie obojętne. Wyjaśnia, inkasuje, ulatnia się aż do sprawy następnej. Żadna maszyna nie potrafi pracować precyzyjniej.

— Dobrze. Ten człowiek mógłby wchodzić w rachubę. Niech go pan przyśle do mnie możliwie jak najprędzej, najlepiej zaraz dziś po południu. Powiedzmy o drugiej.

— Mam nadzieję, że da się to zrobić. Proszę jednak pamiętać, że Tantaua zainteresować niełatwo. Oczywiście uczynię wszystko, co w mojej mocy.

— No dobrze. — Gisenius spojrzał demonstracyjnie na zegarek kieszonkowy. Zawsze posługiwał się zegarkiem kieszonkowym. Przede wszystkim ze względu na tradycję i na ozdobny łańcuszek, a także i dlatego, aby w odpowiedniej chwili demonstracyjnie wyciągnąć zegarek z kieszeni.

Mimo to Dänkel jeszcze się nie podniósł z krzesła. Na jego różowej twarzy widniał wyraz zakłopotania. Po chwili upomniał się delikatnie:

— Bardzo przepraszam, panie Gisenius, ale nie podał mi pan szczegółów ani żadnych punktów zaczepienia.

— Nie zapomniałem o tym. Wszystko, co będzie potrzebne, zakomunikuję temu pańskiemu Tantauowi.

— Tego się naprawdę nie praktykuje, panie Gisenius.

— To mój warunek.

— Niech będzie — rzekł Dänkel po chwili sztucznego wahania. — Jestem gotów się zgodzić, robię to jednak tylko i wyłącznie dla pana. Ale jak ja obliczę nasze honoraria, jeżeli nie będę wiedział, o co chodzi?

— Niech pan wyznaczy temu swojemu panu Tantauowi jakąś stawkę dzienną.

— Jak już powiedziałem, pan Tantau nie jest człowiekiem tanim. Należy liczyć się ze stoma markami dziennie, plus wydatki. Wszystko płatne na moje ręce, do kasy mojej firmy.

— Zaakceptowane.

Siegfrieda A. Dänkela zaniepokoiła tak szybka zgoda. Mógł spokojnie zażądać więcej! Powoli zaczęła go drażnić ciekawość. Zapytywał sam siebie: Co też było dla Giseniu-sa tak ważne, że bez ceregieli wyraził gotowość zapłacenia tak wysokiego honorarium?

Chodź — rzekł Bennicken. — Już najwyższy czas. — Nie możesz się doczekać, co? — zapytał Frammler. — Przebywać w kole zaufanych kolegów, słuchać bzdur, które oni plotą, oto co zdaje się być dla ciebie sensem istnienia.

— Nie — rzekł Bennicken z przekonaniem — wcale się tam nie plecie bzdur.

— A ja powiadam, że się plecie — upierał się Frammler. — W każdym razie na ten temat. Jeżeli bowiem chodzi o trupy, wyznaję się na tym lepiej niż ktokolwiek. W tej materii jestem fachowcem.

Nie było to zbyt wielką przesadą, toteż Bennicken nie zaprzeczył. Przyglądał się urządzeniu przedsiębiorstwa nie bez pewnego uznania: wysoki, szeroki, płaski stół pośrodku, dookoła pełno półek z materiałami aptecznymi i oznakami żałoby, na wysokości oka narzędzia: łyżki do balsamowania, puszki do pudru, czerpaki, brzytwy i coś w rodzaju gorsetów.

— Tak — powiedział Frammler, uśmiechając się z zadowoleniem — musisz przyznać, że się znam na swoim interesie. Wiesz, co jest moją najnowszą zdobyczą? Podwójne trumny!

— Podwójne trumny? — zapytał Bennicken zdumiony.

— Tak jest. — Frammler zacierał ręce z zadowolenia. Nareszcie czymś przyjacielowi zaimponował! — Sprawa wygląda tak: ludzie mają forsy jak lodu, a ostatecznie taki pogrzeb to wydarzenie jednorazowe i jednorazowy wydatek. Powinien być godny, żeby kosztował nie wiedzieć ile! W ostatnich latach ciągle podwyższałem jakość materiałów, no i oczywiście ceny również. Masywny dąb stał się powoli czymś zrozumiałym samo przez się, tak samo jak jedwab z Lyonu i wyściółka z holsztyńskiego puchu, wprowadziłem nawet srebrne uchwyty i okucia, słowem, wszelkie szykany. Ale powiem ci, mój Bennicken, że ludziom ciągle jeszcze mało. Wyobrażasz sobie?

— Musimy już iść.

— Zaraz, Bennicken, zaraz, niech ci powiem do końca, żebyś wiedział, jak się znam na swoim rzemiośle. Dumam

więc i dumam, co zrobić, żeby moich klientów zadowolić odpowiednio do koniunktury. I wpadłem na wspaniały pomysł: podwójne trumny! Powiadam ci, idą jak ciepłe bułki! I wszystko dzięki nauce, musisz wiedzieć, tej całej archeologii. Jasne?

— Nie.

— Cynkowe trumny, człowieku, ołowiane trumny, wedle życzenia. Jak u starych Egipcjan. Nie ma to wprawdzie wielkiego sensu, ale idzie jak woda. A więc najprzód materiał, potem metal, i wreszcie drzewo. Widzisz z tego, jak dalekosmy już zaszli? To jest mianowicie kultura! Jeszcze kilka lat temu ludziom wystarczało, jak się ich grzebało w pudle od cygar.

— A to ci dopiero! — zawołał Bennicken z podziwem i uznaniem. — Zalutowani jak konserwy w puszcze, co?

— Coś w tym rodzaju — odparł Frammler, nieco dotknięty w swej etyce zawodowej.

— Można asystować kiedyś przy tym?

— Przy czym?

— Jak będziesz kogoś zalutowywał.

— Dlaczego nie? Ostatecznie my dwaj zawsześmy się wyjątkowo dobrze rozumieli.

— To prawda.

— Ale teraz już naprawdę musimy iść. Gisenius z pewnością już czeka. Jedno ci tylko powiadam; on mnie nie będzie pouczał! I ciebie, mam nadzieję, też nie! W razie wątpliwości trzymaj się mnie.

Nasz hotel ma nowego gościa — oznajmiła Gizela Wandel.

— No i? — zapytał Hirsch. — Czy to u nas coś

nadzwyczajnego? — W zasadzie nie, panie Hirsch. —

Jak prawie zawsze, Gizela i tym razem była zimna jak sople lodu i nieprzystępna jak kasa pancerna. — W tym jednak przypadku

może chodzi o gościa, który nie powinien ujść pańskiej uwagi.

— Któż to taki?

— Panna Karen Kerze. Mieszka w pokoju sto siedemnaście.

Hirsch uniósł głowę i powiedział:

— Dobrze, że siedzę. Bo znając panią, mogę chyba przyjąć, że to nie był kawał.

— Może pan.

— Kiedy panna Kerze się zjawiała?

— Jakies pół godziny temu. Dowiedziałam się o tym przed chwilą dzięki pańskiemu zarządzeniu, w którego myśl należy natychmiast meldować każdego gościa w biurze dyrekcji.

Hirsch wybiegł przez boczne drzwi do recepcji. Tam sięgnął po teczkę z formularzami meldunkowymi, przerzucił ją i zabrał jeden z formularzy.

— Trzeba tu jeszcze pewne rzeczy wyjaśnić — oświadczył szefowi recepcji.

Szef skłonił się kornie i powiedział:

— Tak jest, panie dyrektorze.

Hirsch wygładził formularz, trzymając go w ręku, ruszył miarowym krokiem ku schodom i udał się na pierwsze piętro. W korytarzu przyspieszył kroku. Dotarwszy do drzwi pokoju 117, zapukał krótko i wszedł.

Karen Kerze zajęta była właśnie rozpakowywaniem walizy. Spojrzała na drzwi z niechęcią, jak ktoś, kto sobie nie życzy, aby mu przeszkadzano. Kiedy jednak stwierdziła, że to Hirsch, oczy jej załśniły jak świeczki na choince.

— Właśnie chciałam do ciebie za kilka minut zadzwonić — powiedziała. — Miałbyś wówczas okazję podziwiać mnie w moim nowym negliżu.

— Doskonałe! — zawołał Hirsch gniewnie, zamknąwszy starannie za sobą drzwi. — To by mi nawet bardzo odpowiadało, bo mam ochotę dobrze złożyć ci tyłek.

— Nie cieszysz się, że tu jestem? — Świeczki w jej oczach zaczęły przygasać. — Dlaczego się nie cieszysz?

— Jestem zachwycony. Ale będę jeszcze bardziej zachwycony, jeżeli stąd natychmiast znikniesz.

— Jestem tu i tu zostanę — powiedziała Karen z zaciekleym uporem i usiadła prowokacyjnie na łóżku. — Jestem tu gościem.

— Mylisz się. Byłaś nim.

— Płacę! — zawołała z wściekłością. — To mój pokój.

— Znowu pomyłka! Przede wszystkim nic jeszcze nie zapłaciłaś. A gdybyś nawet zapłaciła, nie zmieniłoby to mojej decyzji. Tak czy siak, zostaniesz stąd usunięta. Niechaj szanowna pani przyjmie do wiadomości, że nie ma jeszcze przymusu odnajmowania pokoi. Przyjmujemy, kogo chcemy; jak kogoś nie chcemy, nie przyjmujemy go. Koniec, kropka. A w tym wypadku powiadam: nie! A więc jazda, pakuj z powrotem manatki. Za dziesięć minut przyślę po twoją walizę.

— Martin! — Karen była bliska płaczu. — Nie wolno ci tego robić! Nie możesz mnie odtrącać. Potrzebuję twojej pomocy. Do kogoż mam się zwrócić, jeżeli nie do ciebie? Wszystko jest takie paskudne.

— Pod tym względem masz rację. — Hirsch zdawał się zdecydowany nie ustąpić pod żadnym pozorem. Ale w duchu przygotowywał się już do nieznaczących ustępstw. Bo było mu spieszo — koledzy już z pewnością czekali. Poza tym Karen sięgnęła po najcięższą artylerię: zaczęła beczeć.

— Słuchaj — powiedział szorstko Hirsch — nie dam się wmanewrować w sytuację, która mogłaby mieć dla mnie nie mile skutki. Przyjmij do wiadomości, co następuje: nie mieszkaś tu i nie będziesz tu mieszkała. Oto twój meldunek. Widzisz, drę go na kawałki.

Czyniąc to Hirsch ciągnął dalej:

— Spakujesz walizę i będziesz czekała tu na mnie. Wróć za jakieś dwie godziny. Wtedy omówimy wszystko inne. Jasne?

Karen skinęła pokornie głową. Nie patrzyła na niego, aby nie wzbudzać w nim podejrzeń. Sięgnęła po chusteczkę i otarła sobie twarz.

— Żebyś mi w ciągu tego czasu nie robiła żadnych głupstw — rzekł stanowczo. — Dosyć już narozrabiałaś.

Dänkel zaparkował swój wóz, wśliznął się przez wąską furtkę do ogrodu i ruszył w kierunku grządki. Klęczał tam człowiek o wzroście karła. Pochylony, grzebał w jakichś małych roślinach. Był to Tantau.

Dänkel zbliżał się ostrożnie, jak gdyby mały człowieczek był łatwo eksplodującą miną.

— Przepraszam, jeżeli przeszkadzam.

Tantau podniósł głowę. Wyglądał jak jamnik, który za chwilę ma się wedrzeć do kryjówki lisa.

— Nie przeszkadza pan, bo nigdy nie pozwalam sobie przeszkadzać. Nie potrzebuje więc pan przepraszać, panie Dänkel.

Dänkel rozejrzał się naokoło. Tantau mieszkał już od lat na tym odludziu, w tej chacie na skraju lasu, w pobliżu wsi nie figurującej wcale na mapie samochodowej.

— Czy przybył pan tutaj po to, aby ze mną trochę pogawędzić?

— Oczywiście, że nie. Chcę pana zaangażować.

Tantau kiwnął głową, podniósł się, nieco postępując, i spojrzął na swoje ręce uwalane ziemią. Potem powiedział:

— Bądź co bądź z czasem się pan czegoś tam nauczył. Nie gada pan teraz za wiele po próżnicy, jak pan czegoś ode mnie chce. Chwali się to panu. A więc o co konkretnie chodzi?

Dänkel, choć fizycznie mocno górował nad Tantauem, stał przed nim jak sztabak. I odpowiedział mu też niemal usłużnie:

— Mam dla pana zadanie.

— Na ile dni?

— Na jakieś dwa, trzy. Pięćdziesiąt marek dziennie pod gwarancją. Do tego zwrot wydatków. Wszystko wielkodusznie obliczone.

— Brzmi to wcale nieźle — rzekł Tantau i spojrzął z rozmarzeniem na swój domek. — Ale dwa, trzy dni pracy kulisa to nie bardzo pociągające. Szczerze mówiąc, ogród mój jest mi milszy. Ale bądźmy szczerzy i uczciwi: trzeba pokryć na nowo dach, naprawić płot. Oto powód mego zainteresowania.

— Pięknie! — rzekł Dänkel z ulgą i wdzięcznością. — W takim razie prosiłbym, żeby pan zaraz ze mną pojechał. Sprawa jest pilna.

— Powoli, powoli. Muszę umyć ręce, przebrać się. Ale nie koniec na tym: byłbym rad wiedzieć, o co chodzi.

— O wysłedzenie kogoś. Trzeba kogoś wytropić w Rhe-ine-Bergen.

— Dalej, proszę.

— Nic więcej ja sam nie wiem. — Dänkel miał minę sztubaka schwytanego na gorącym uczynku. — Daję słowo, panie Tantau! Niech pan nie patrzy na mnie tak nieufnie! Szczegóły nie są mi znane.

— To niemożliwe — rzekł Tantau łagodnie. — Przyjął pan zlecenie, nie wiedząc dokładnie, co i jak.

— Nie pozostawało mi nic innego. Chodzi o klienta specjalnego typu. O adwokata Giseniusa. Postawił warunek: żadnego pośrednictwa agencji. Oznacza to: chce pertraktować wyłącznie i bezpośrednio z panem i tylko jemu ma pan składać sprawozdania.

— I pan na to przystał? — Bładoniebieskie oczy Tantaua nagle jakby się trochę rozszerzyły. — To mi przypomina, że przydałby mi się nowy wąż gumowy i sikawka.

— Można by o tym porozmawiać. — Dänkel był gotów przyrzec gwiazdkę z nieba. — Najważniejsze, żeby pan poszedł teraz ze mną.

— Dobrze — powiedział Tantau. — Zaczyna mnie ta sprawa interesować. Klient, który bez trudu przypiera pana do muru, nie, tego typu muszę sobie z bliska obejrzeć. Na razie oczywiście tylko nieobowiązująco. '

Witam was, drodzy przyjaciele — rzekł Gisenius. — Przyjmuję, że wszystkim znana już jest najnowsza faza owej fatalnej sprawy.

— Jest znana — rzekł Frammler — ale jako nieprawdopodobna zostaje odrzucona. Trup to trup, tu nawet podwójne jałowcówki nie pomogą. Ale, ale, nasuwa mi się

w związku z tym jedno zasadnicze pytanie: Słuchaj no, Gi-senius, czy zamierzasz nas tu trzymać o suchym pysku?

— Na razie tak — odparł Gisenius stanowczo. — Dopiero gdy wszystko załatwimy, może być mowa o napitku.

— W takim razie możesz zaraz kazać podać coś do picia, bo przecież nie mamy nic do załatwienia.

Gisenius spojrział na Schulza. Potrzebny mu był jego autorytet. Bo ostatecznie Schulz był ciągle jeszcze uznawanym dowódcą drużyny. I Schulz też nigdy nie zawodził, kiedy potrzebne było jego kaprałskie słowo.

— Zamknij no się na kilka minut, Frammler — powie dział. — Głos ma na razie Gisenius.

Frammler pomruczał jeszcze trochę, potem zamilkł. Gisenius, skinąwszy Schulzowi z uznaniem głową, oświadczył:

— A więc jesteście wszyscy zorientowani. Teraz już nie chodzi wcale o to, jak dalece ten lub ów się pomylił i czy się w ogóle pomylił. Teraz sprawa jest już prosta: musimy się zabezpieczyć.

— Przed trupem, który się dawno rozsypał w proch? — Frammler potrząsnął z niedowierzaniem swoją okrągłą głową.

— Frammler — rzekł karcąco Schulz — ani nie prosiłeś o głos, ani ci go nie udzielono. Nie możemy dopuścić do rozprzężenia dyscypliny. Chyba się z tym zgodzisz? Mów dalej, Gisenius!

— Kiedy tak na was patrzę, zaczynam się naprawdę martwić. Żaden z was nie zdaje sobie sprawy z wagi wypadków. Czy nie rozumiecie, jakie następstwa to wszystko może pociągnąć za sobą w sprzyjających okolicznościach?

— Okoliczności te nie mogą po prostu zaistnieć — rzekł Kerze.

Gisenius miał zupełną rację: nie przejmowali się tym zbyt.

— Koledzy! — zawołał Schulz niemal entuzjastycznie. — Sumienia nasze są ostatecznie czyste jak lza! Nie damy się wam wmówić jakichś tam kompleksów winy. Ale jeżeli ktoś chciałby robić nam trudności, niech spróbuje! Już my mu pokazemy, gdzie raki zimują; tak się na nas nadzieje, że

w końcu będzie szczęśliwy, jeżeli będzie miał wszystkie gnaty całe!

— Brawo! — zawołał Bennicken.

— Tak jest — wtrącił ironicznie Hirsch. — Kto mnie **nie** uważa za człowieka honoru, temu wyrównam przedziałek na głowie siekierą.

— Hola, mój drogi, hola! — Schulz był zbity z tropu. — Sądziś poważnie, że któryś z nas mógłby wpaść na taki pomysł i stwierdzić, że nie spełniliśmy swego obowiązku?

— Poglądy na to, co jest obowiązkiem, stale się zmieniają — rzekł Hirsch. — Ale przyznaję, że jest znowu koniunktura na pewien rodzaj soldateski.

— Przyjaciele! — zawołał błagalnie Gisenius. — To, co w tej chwili robimy, grozi wielkim niebezpieczeństwem. Nie wolno nam się rozpraszać, musimy być zvarci!

— Zawsze byliśmy zgranym kolektywem — rzekł Schulz.

— I o to teraz właśnie chodzi! — zawołał Gisenius.

— Zgadzam się całkowicie z Schulzem: nasze sumienia są czyste. Ale samo to w tym przypadku niestety nie wystarczy! Musimy pamiętać, że raz wypowiedziane podejrzenie, choćby było fałszywe, może mieć dla każdego z nas jak najbardziej fatalne skutki. Pomyślcie nad tym!

Obecni pomyśleli — o ile uznali to w ogóle za potrzebne

— Gisenius pozostawił im na to dostateczną ilość czasu. Niektórzy, nie tylko Frammler, odczuwali gwałtowną potrzebę napicia się czegoś mocnego, ale zdawali sobie sprawę, że Gisenius nie zgodzi się na żadne picie, dopóki nie skończy swych wywodów.

— W związku z tą sprawą — ciągnął dalej Gisenius — chciałbym wskazać na następujące wypadki z ostatnich lat: W Monachium zaaresztowano i zabrano prosto od biurka poważnego obywatela, ponieważ podejrzewano go o deprawowanie nieletnich. Podejrzenie nie potwierdziło się, ale ofiara spędziła kilka tygodni w więzieniu. Wkrótce po tem pewien obywatel, cieszący się dotychczas nieskazitelną reputacją, dostał się do więzienia śledczego, a potem na obserwację do zakładu dla obłąkanych, ponieważ powstało podejrzenie, że nie przeszkodził krzywoprzysięstwu. Sie dział miesiącami, aż wreszcie oskarżenie zostało wycofane.

Inny, dotąd całkowicie nieposzlakowany obywatel musiał spędzić prawie dwa lata za kratkami, choć był zupełnie niewinny.

— Człowieku! — przerwał mu Frammler przerażony. — Dajże z tym spokój! I każ wreszcie podać wodę!

Kerze, otrząsając się, zawołał:

— To, co opowiadasz, jest naprawdę straszne!

— Tak zwana sprawiedliwość — rzekł Martin Hirsch — ma na sumieniu niejedno życie ludzkie. Ale gotów jestem się założyć, że są tacy, którzy wszystko, co się dzieje w jej imieniu, uważają za czyste jak łąza.

— Tak jest! — zawołał Bennicken. — Podczas stanu wyjątkowego.

— Przejdźmy wreszcie do wniosków praktycznych — zaproponował Gisenius. Nie był z przebiegu narady niezadowolony, wszystko przybierało przewidywany przez niego obrót. I też nie mogło być chyba inaczej. — Pewne jest w każdym razie, że istnieje ktoś, kto usiłuje wdrzeć się do naszego kolektywu.

— Powiesić! — zawołał ochoczo Bennicken.

Gisenius zbył tę uwagę krótkim ruchem ręki. Bennicken przyjął ten gest z pokorą. Gisenius ciągnął dalej:

— Czy chodzi tu naprawdę o Meinersa, tego nie wie my. Istnieje możliwość, że wchodzi w rachubę brat Meinersa. Czy ktoś na ten temat może powiedzieć coś bliższego?

Nikt nie mógł. Co prawda wypowiedziano głośno różne przypuszczenia, ale nie było w tym nic konkretnego.

— Przyjmijmy, że istotnie wypłynął na powierzchnię jego brat — powiedział Gisenius łagodnie. — W takim razie powstaje pytanie: skąd wie, co zaszło? Kto mu o tym do niósł? Jeżeli ktoś to zrobił, to mógł to być tylko jeden z nas, znajdujących się w tej chwili w tym pomieszczeniu.

Obecni spojrzeli po sobie z przerażeniem. Z wyjątkiem Hirscha. Potem niektórych z nich ogarnął ów rodzaj gniewu, jaki zwykł zjawiać się zawsze wtedy, kiedy człowiek uważający się za człowieka solidnego i uchodzący za takiego zwęszy haniebną zdradę.

— Świnia, bydlę! — warknął Bennicken.

— Jeżeli rzeczywiście taka świnia jest wśród nas, wypuscimy jej flaki! — pienieł się Kerze.

— A ja — zawołał Frammler — go nie pochowam, choćby wdowa błagała mnie o to nawet na kolanach!

Natomiast Schulz powiedział z głębokim przekonaniem:

— Żaden kolega nie robi takich rzeczy.

— Znałem kolegów — rzekł Hirsch — którzy byli zdolni do całkiem innych jeszcze rzeczy.

— W takim razie nie zasługiwali na miano kolegów!

— zawołał Schulz.

— Dłatego w tej sytuacji — ciągnął dalej Gisenius

— apeluję do was z całym zaufaniem, aby każdy dał świa dectwo prawdzie. Gdyby któryś z nas czuł się w jakiejś mierze winny lub współwinny, obojętne, czy przez przy padek, czy przez głupotę lub przeoczenie, proszę, niech się zgłosi. Niech nam powie z całą szczerością, co zaszło, a postaramy się go zrozumieć. Niechaj to zrobi teraz i tu taj, zanim będzie za późno. Proszę was, koledzy, o cał kowitą uczciwość. Kto ma coś do powiedzenia, niech się zgłasza.

Nikt się nie zgłaszał. Mijały długie sekundy milczenia. Gdyby był w tym pomieszczeniu zegar ścienny, słyszałoby się jego tykanie. Koledzy spoglądali po sobie, tym razem już nie tak ostrożnie jak przedtem. Zdawali się coś rozważać, obliczać, kalkulować.

Przerwał to zajęcie brutalnie i chyba przedwcześnie Schulz.

— Żaden z nas! — zawołał twardo.

— Naprawdę żaden? — zapytał Gisenius łagodnie.

— Nie! — powiedział Schulz energicznie. I obrzucił kolegów badawczym spojrzeniem. — Czy ktoś jest innego zdania?

Nikt nie był innego zdania.

— Wolno mi więc chyba przyjąć — rzekł Gisenius — że nie ma wśród nas nikogo, kto by chciał sabotować wyjaśnienie tej sprawy. Czy mogę również przyjąć, że mi dostatecznie ufacie i powierzacie mi załatwienie tej sprawy?

— Możesz przyjąć. — Słowa te wypowiedział Schulz za wszystkich.

- Czy mogę również liczyć na pełne poparcie tu obecnych?

— Możesz.

— Także i wtedy, gdy będzie chodziło o aktywną pomoc i pokrycie kosztów.

— I wtedy? — Tym razem powiedział to Willy Kerze. Jak bowiem słusznie przypuszczał, wzmianka o pokryciu kosztów dotyczyła przede wszystkim jego.

— Jestem do dyspozycji w dzień i w nocy — oświadczył Bennicken. Miał na myśli siebie i swoją taksówkę.

— Benzyna to moja sprawa — zobowiązał się zawsze gotowy do usług Schulz. — Dostarczę jej w każdej ilości. I w ogóle czego będzie potrzeba. Wystarczy zatelefonować.

— I mój zakład — rzekł Frammler z uśmiechem — będzie, rzecz jasna, w dzień i w nocy do dyspozycji.

— A ty, Hirsch? — zapytał Gisenius.

— Nie uchylam się. Ale wolę głośno nie mówić, co myślę o tego rodzaju akcjach.

— Możemy sobie wyobrazić — powiedział Kerze.

W tej decydującej chwili Gisenius nie chciał dopuścić do waśni i sporów. Oświadczył zatem:

— Pozostaje mi więc tylko podziękować wam za zaufanie. Zajmę się tą sprawą jako wasz powiernik. Naprzód musimy odnaleźć tego człowieka, który wygląda jak Meiners. Zaraz poczynię odpowiednie kroki. Będziecie stale na bieżąco informowani o przebiegu sprawy; liczę przy tym na waszą bezinteresowną pomoc. Jeżeli teraz chcecie się czegoś na pić, proszę bardzo, wszystko stoi przygotowane w holu.

Nazywam się Tantau. Henrich Tantau.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał szef kancelarii z rezerwą.

— Niczego sobie nie życzę — odparł uprzejmie jegomość, który się przedstawił jako Heinrich Tantau. — Nie jestem tu po to, żebym sobie ja czegoś życzył, lecz dlatego, że ktoś czegoś chce ode mnie.

— Od pana? Kto?

— Pan Gisenius.

Szef kancelarii zapytał niezwykle sceptycznie:

— Jest pan zamówiony?

Tak mi się zdaje. Skierował mnie tutaj pan Dänkel.

— Chwileczkę. — Szef kancelarii o mało co nie potrząsnął ze zdziwienia głową. Ale podniósł się z krzesła, co prawda demonstracyjnie niedbale, obrzucił jeszcze raz przybysza niedowierzającym spojrzeniem i wszedł do gabinetu Giseniusa. Jak zwykle pan mecenas był zatopiony w pracy. W każdym razie przeglądał jakieś akta z taką miną, jakby je pilnie studiował.

— Przyszedł jakiś człowiek — zaanonsował szef kancelarii. — Twierdzi, że jest przez pana zamówiony. Nazywa się Tantau. Przysłał go pan Dänkel.

— Dawaj go pan! — Gisenius zadowolony podniósł głowę znad akt. — Właściwie liczyłem się z tym, że pan Tantau zjawi się dopiero po południu, i dlatego pana nie poinformowałem. Niech go pan poprosi.

— Tak jest. — Szef kancelarii otworzył szeroko drzwi i poprosił jęgomościa, którego Gisenius nazwał panem, aby wszedł do gabinetu. Kiedy ta niepozorna, zaniedbana postać prześliznęła się obok niego, szef kancelarii podniósł niedwuznacznie brwi.

Gisenius wstał na powitanie i niemal machinalnie zaczął się uprzejmie uśmiechać. Ale na widok tego dziwaczного człowieka uśmiech zastygł mu na twarzy, a on sam zamarł bez ruchu. Trwało to jednak tylko sekundę. Na podstawie licznych bowiem doświadczeń Gisenius wiedział, że twarz i postać nie świadczą jeszcze o człowieku.

Dlatego też zrobił to, co sobie przedtem umyślił: podszedł do Tantaua, wyciągnął do niego prawicę i niemal serdecznie posadził go na najwygodniejszym fotelu. Uśmiechając się prawie zalotnie, zapytał:

— Pan pali, pije?

— Dziękuję — odparł Tantau. — Mam inne nałogi.

Dziwnie brzmiał również jego głos. Miało się wrażenie, że jest to ciekawy wszystkiego, uważny, dobroduszny chłopiec. W każdym razie głos miał niesłychanie grzeczny.

A przy tym ten cały Tantau ułożył swe ręce tak, że leżały jedna na drugiej, jak ręce uczniaka siedzącego na ławie szkolnej.

— Mówiono mi, panie Tantau, że pracował pan w policji.

— Tak jest.

— Jeżeli mnie dobrze poinformowano, jako komisarz wydziału kryminalnego, czy tak?

— Obecnie jestem na emeryturze.

Było to jedynie zwykłe stwierdzenie, nie czuło się w nim nawet cienia skargi czy żalu. Ten Tantau zdawał się nie przykładać żadnej wagi do rang i godności z minionych czasów. Było to przyjemne i bardzo ułatwiało sprawę.

— Byłby pan więc skłonny pracować dla mnie? — zapytał Gisenius.

— Po to tu jestem.

— Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję, panie Tantau?

— Może pan.

Gisenius usiłował znaleźć u Tantaua coś niezwykłego — na próżno. Nic u tego dziwaczного człowieka nie wskazywało na jego nieprzeciętne kwalifikacje. Twarz cała w zmarszczkach, podobna do dobrze wyżętej ścierki. Ust zdawał się wcale nie mieć. Oczy niebieskie, wodniste, pozbawione blasku, jakby po niespokojnym śnie. Włosy przyprószone siwizną, rzadkie, szczeciniaste. Żadnych, ale to żadnych cech charakterystycznych.

— Więc dobrze — rzekł Gisenius po wielu sekundach niezdecydowania. — Jeżeli to panu odpowiada, możemy przejść do rzeczy.

— Odpowiada mi — odparł Tantau.

— Zadanie pańskie nie jest zbyt skomplikowane, ale wymaga przede wszystkim dyskrecji. I moim zdaniem trzeba się do niego zabrać subtelnie. Przykładałbym do tego szczególną wagę.

— Chciał pan przejść do rzeczy — powiedział Tantau skromnie.

— A więc — rzekł Gisenius, dając spokój zastrzeżeniom — chodzi o rzecz następującą: potrzebny mi jest pewien adres.

— Istnieją księgi adresowe — zauważył uprzejmie Tan-tau. — Ale jeżeli pan sobie tego życzy, chętnie je prze-wertuję.

— Chodzi o coś więcej. — Gisenius usiłował ukryć swe niezadowolenie z tej uwagi, która wydawała mu się ironiczna. — Chodzi o człowieka, który prawdopodobnie przebywa w tym mieście, jak przypuszczamy, przejściowo.

— Przepraszam, „przypuszczamy”, to znaczy kto?

— To nie ma ze sprawą nic wspólnego, panie Tantau. Przypomnijmy, że proszę pana o to w imieniu jednego z moich klientów. Otóż czy potrafiłby pan wytropić tego człowieka w naszym mieście?

— Może. — Tantau poprzestał na tej lakonicznej odpowiedzi.

— A więc podejmuję się pan tego zadania?

— Tego jeszcze nie powiedziałem. Na razie jestem dopiero skłonny się go podjąć, już sama wysokość honorarium przemawia za tym. Ale najpierw chciałbym otrzymać jakieś informacje. Jak najwięcej szczegółów, niestety nie mam w sobie nic z jasnowidza.

Gisenius popadł na chwilę w zadumę. Po raz pierwszy, tak mu się przynajmniej wydawało, ten Tantau ukazał odrobinę tego, co w nim może tkwiło. Rozporządzał trzeźwą ironią i dał do zrozumienia, że zamierza stosunkowo gruntownie zabrać się do dzieła. Giseniusowi się to podobało.

— Niech więc pan pyta — powiedział.

— Proszę o nazwisko tej osoby.

— Meiners, Michel Meiners.

— Data urodzenia? Skąd pochodzi? Zawód?

— Na to wszystko nie potrafię niestety dokładnie odpowiedzieć. Do pewnego stopnia pewne jest jedynie, że ów Meiners urodził się w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, a może i później.

— Zna go pan osobiście? — chciał wiedzieć Tantau. A wobec dłuższego milczenia Giseniusa dodał: — Pytam o to, gdyż potrzebny jest mi choćby pobieżny rysopis tego Meinersa.

— No więc — wykrztusił z siebie Gisenius — wzrost około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów, szczupły,

kościsty, o bladej skórze, uderzająco wielkie, szaroniebieskie oczy, włosy jasne, mówi po niemiecku bez cienia naleciałości gwarowych.

— A zatem, panie Gisenius, pan nie wie, gdzie on mieszka, skąd przybywa, czym się zajmuje?

— Nie wiem. Nie wiem nawet, czy ten Michel Meiners rzeczywiście istnieje.

Tantau zamknął oczy. Miał taką minę, jak gdyby myślał. Uśmiechał się przy tym, jak się Giseniusowi zdawało, głupawo. Wyglądał w tej chwili jak małpka siedząca samotnie za kratą w ogrodzie zoologicznym.

Po chwili z trudem otworzył oczy. Były prawie szklane, miało się wrażenie, że nic i nikogo nie widzą. Potem rzekł zamyślony:

— A gdybym istotnie odnalazł tego Michela Meinersa, to co dalej?

— Wtedy zadanie pańskie będzie skończone. Poinformuje mnie pan tylko, gdzie ten człowiek przebywa, i koniec, kropka.

— To niewiele. Naprawdę niewiele, zważywszy honorarium, jakie pan za to płaci.

— Niech pana o to głowa nie boli. Zadanie to może wydawać się panu proste i nieskomplikowane, tym lepiej. Dla mnie, a raczej dla mego klienta, jest to sprawa wielkiej wagi. Niech więc pana wysokość honorarium nie ekscytuje.

— To mnie nigdy nie ekscytowało — zapewnił go Tantau ciepło. — Ale czy mogę zapytać, co pan dotąd sam w tej sprawie zrobił?

— Właściwie tyle, co nic, panie Tantau. Wydaje mi się, że to rzecz fachowca.

— Jeżeli takie jest pańskie zdanie, panie Gisenius, to nie widzę powodu, żebym go nie miał respektować. Ale niech mi pan pozwoli zreasumować: szuka pan człowieka, który się nazywa Michel Meiners i o którym pan sądzi, że przebywa w tym mieście. Od kiedy?

— Od jakichś pięciu, sześciu dni. Wtedy ujrano go po raz pierwszy, w każdym razie, zdaje się, że go widziano.

— Chodzi zatem o człowieka, o którym pan nawet nie wie, czy w ogóle istnieje. Czy nie tak pan powiedział?

Gisenius kiwnął potakująco głową. Stwierdził przy tym, że ten Tantau zdaje się mieć dobry słuch, pamięta nie tylko sens, ale dosłownie wszystko, co zostało powiedziane, rozporządza więc doskonałą pamięcią i prawdopodobnie, mimo swego wieku, sprawnie działającym zmysłem kombinacyjnym. Tak, ten człowiek miał odpowiednie kwalifikacje.

— Może to być — powiedział Gisenius — ten właśnie Michel Meiners, którego panu opisałem, albo też inny Meiners, albo nawet taki, który tylko wygląda jak Meiners.

Tantau uśmiechnął się jak szczerze obdarowany dzieciak.

— Sprawa zaczyna być interesująca — powiedział. —
Podejmuję się tego zdania.

— To mnie cieszy. — Gisenius pomyślał, że teraz wolno mu poczuć ulgę. — Jak pan zamierza się do tego wziąć?

— Najważniejszy punkt zaczepienia przedstawia się dla mnie chyba tak: ktoś jest przekonany, że widział człowieka, który mógł być Michele Meinersem. Od tego zaczniemy. Kim jest ten ktoś? Gdzie i kiedy to było? Co konkretnie widział?

— Udamy się wobec tego do Martina Hirscha, który tu pełni obowiązki dyrektora hotelu „Unter Drei Kronen” — powiedział Gisenius. — Tam będzie się mógł pan dowiedzieć dalszych szczegółów.

Proszę o dzisiejsze gazety — rzekł Willy Kerze do szefa recepcji hotelu „Unter Drei Kronen”.

— Będą natychmiast, panie dyrektorze.

— Potem niech pan zawiadomi pana Hirscha, że już jestem. On mnie oczekuje. Będę w holu, tam mnie znajdzie.

— Niezwłocznie go zawiadomię.

Sposób załatwiania gości w tym hotelu podobał się Kerzemu. Wiedział, co jest warta natychmiastowa gotowość do usług w czasach ogólnego braku personelu. Było to

dowodem, że Hirsch prowadzi swoją budą z fantazją i rozmachem. Gdyby więc on, Kerze, miał wskoczyć do interesu, Hirsch mógłby zatrzymać swą posadę, oczywiście pod warunkiem, że byłby przyjaźnie do niego nastawiony i umiał się dostosować.

Kerze zagłębił się w gazecie „Rheine-Bergen Nachrich-ten”. Lubiał to pismo. Nie tylko dlatego, że znał naczelnego, ale również ze względu na to, że miał tam niemałe wpływy. Nie zdziwił się zbytnio, ale jednak mu to trochę pochlebiło, kiedy na trzeciej stronie natrafił na obszerny artykuł o Targach Budowlanych, zaopatrzone w trzyszpaltowe zdjęcie, na którym na pierwszy plan wybijało się urządzone ze smakiem stoisko zakładów „Stabilator”. Zwłaszcza że pod zdjęciem widniał następujący podpis: „Długofalowe planowanie i konstruktywna solidność decydują o obliczu tych wzorowych Targów”. Słowa te wziął Kerze bez odrobiny fałszywego wstydu do siebie.

Czyż w końcu nie miał prawa być zadowolonym ze swoich wyczynów i sukcesów? Odczuł potrzebę wypicia za swoje zdrowie. Skinął więc na kelnera, stojącego w drzwiach restauracji.

Kelner — był nim Paul — zbliżył się skwapliwie. Skłoniwszy się, powiedział przytłumionym głosem:

— Pan dyrektor szuka zapewne swojej córki Karen.

Zaskoczony Kerze upuścił gazetę. Spojrzał na Paula, jak gdyby miał przed sobą bociana, który naprawdę przynosi dzieci.

— Skąd to panu przyszło do głowy?

— Zdaje mi się — rzekł Paul niezwykle unizenie — że panienka wyszła.

— Czyżby? — zapytał Kerze, ciągle jeszcze zdumiony.

Skombinował sobie błyskawicznie: skoro się mówi, że wyszła, siłą rzeczy musi mieszkać tu w hotelu. I to może jeszcze nawet u Hirscha! Paskudny dziwkarz, pozbawiony zupełnie skrupułów. Wszystkiego się można po nim spodziewać.

— Pan dyrektor jeszcze sobie czegoś życzy? — zapytał grzecznie Paul. Rozkoszował się efektem swoich słów.

— Podwójny koniak — zadysponował Kerze szorstko.

Wkrótce po tym podwójnym koniaku zjawił się Hirsch. W pierwszej chwili Kerze go nie zauważył. Siedział i dumał, i w myślach widział już najokropniejsze szczegóły. Człowiek pokroju Hirscha prawdopodobnie nie zawahałby się uwieść córki jednego z przyszłych akcjonariuszy Spółki Akcyjnej Hotele Europa, już choćby dlatego, żeby się utrzymać na swej intratnej posiadzie. Taki był świat — Kerze znał się na tym.

— Wybacz — rzekł przyjaźnie niczego nie przeczuwający Hirsch — jeżeli się trochę spóźniłem. Musiałem zająć się pewnymi drobnymi nieporządkami w magazynie z bielizną.

— Że też po tym wszystkim, na coś sobie pozwolił, masz jeszcze czoło szczerzyć do mnie zęby! — powiedział Kerze wojowniczo i nieszczerólnie cicho.

— Proszę cię, nie tak głośno — powiedział Hirsch. — Nie jesteś w swojej fabryce.

— Jeżeli ci się nie podoba mój głos — szalał Kerze — to twoja sprawa. A mnie się nie podoba twoje zachowanie. A to obchodzi nas obu.

— Proponuję, żebyśmy przeszli do mojego gabinetu.

— Dlaczego nie do twojego mieszkania? — zapytał Kerze, czając się w sobie. — A może chcesz coś przede mną ukryć? Wiedz jedno: przede mną nic się ukryć nie da!

— A więc dobrze. — Hirsch starał się przerwać tę scenę, która już i tak wywołała lekkie poruszenie. — Chodźmy do mojego mieszkania.

Kerze zerwał się i ruszył w stronę głównych schodów. Hirsch szedł za nim z miną niechętną, zamyślony. Mijając kelnera Paula, zauważył, że ten z trudem powstrzymuje uśmiech. I właśnie pod wpływem tego uśmiechu nagle go olśniło...

— Paul, czy to pan obsługiwał pana dyrektora Kerzego? — zapytał.

— Owszem. Ku całkowitemu zadowoleniu pana dyrektora.

Kerze był już na górze. Z miną pewną siebie zmierzał do prywatnych apartamentów dyrektora. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi na oścież. Nie zobaczywszy wewnątrz nic, co by mu się mogło wydawać podejrzanym, wyraźnie się odprężył.

— Jeśliś spodziewał się tu znaleźć swoją córkę — rzekł Hirsch z całkowitym spokojem — to muszę cię rozczarować.

— Tere-fere! — zawołał Kerze szorstko. — Nie zaprzeczysz chyba, że Karen znajduje się u ciebie w hotelu?

— W hotelu tak, ale nie u mnie.

— No właśnie! Przyłapałem cię.

— Może byśmy naprzód usiedli. Jak sądzisz, mój drogi, po co cię tu poprosiłem?

— Zapewne po to, aby mnie nabić w butelkę. Aby dopóty kuć żelazo, dopóki jest gorące. Ale nic z tego nie będzie! Ze mną nie da się tak zrobić. Dostarczysz mi tu zaraz moją córkę, zabiorę ją ze sobą do domu.

— Odpowiada to jak najbardziej moim życzeniom.

Teraz Kerze poczuł nagle, że musi usiąść. Mocno zdziwiony gapił się na Hirscha. Był trochę stropiony. Sądził, że będzie musiał walić w masywne drzwi dębowe, a tu nagle stanął przed zmurszałymi deskami.

— Nie próbuj wyprowadzić mnie w pole! — zawołał niemal tak, jakby zaklinał Hirscha.

— Córka twoja Karen zjawiała się dziś w hotelu i kazała dać sobie pokój. Kiedy się o tym dowiedziałem, odszukałem ją i przekonałem, że musi opuścić hotel. To wszystko.

— Gdzie ja tę bestię teraz znajdę?

Po chwili milczenia Hirsch powiedział obojętnie:

— W pokoju sto siedemnaście.

Kerze skoczył na równe nogi. Jak pies myśliwski, który natrafił na trop, wybiegł na korytarz. Węsząc od drzwi do drzwi, znalazł nareszcie numer sto siedemnaście. Chciał wtargnąć do środka, ale pokój był zamknięty na klucz.

Zaniepokoiło to lekko Hirscha. Z kieszeni spodni wyłowił pęk kluczy i jednym z nich otworzył pokój. W pokoju nie było nikogo. Ale był na pewno zamieszkały. Świadczyły o tym porozrzucane części garderoby, niewątpliwie należącej do Karen, oraz waliza, która stała teraz pusta.

— A to co ma znowu znaczyć? — ryknął Kerze wściekły.

Hirsch podszedł do telefonu i kazał się połączyć z re cepcją.

— Co się dzieje z gościem z pokoju sto siedemnaście? — To, co usłyszał, zdawało się nie sprawiać mu zbyt wielkiej

radości. Po chwili, bardzo niezadowolony, odłożył słuchawkę i rzekł do Kerzego: — Karen nie dotrzymała naszej umowy. Wypisała nowy formularz meldunkowy, zapłaciła za siedem dni z góry i wyszła, to znaczy pojechała gdzieś swoim wozem. Dokąd, na jak długo, nie wiadomo.

— Słuchaj, Hirsch — zawołał Kerze groźnie — gdyby to miało być jakieś nowe pociągnięcie przeciwko mnie, pożałujesz tego! Będę wtedy twardy i bezlitosny!

Nareszcie was znalazłem! — Gisenius udawał, że się ucieszył.

— Czy chcesz przez to powiedzieć — zapytał Kerze z niedowierzaniem — żeś nas obu szukał? Skądże wiedziałeś, że tutaj będziemy?

— To prawda, właściwie chciałem pomówić z Hirschem — przyznał się Gisenius. — Ale nie szkodzi, że zastaję was obu.

— Niewiele brakowało — rzekł Hirsch — a z jednym z nas mógłbyś rozmawiać jedynie w szpitalu.

— W każdym razie tym jednym nie byłbym ja! — stwierdził Kerze.

Gisenius z miejsca zorientował się w sytuacji. Wystarczyło jedno spojrzenie na obu przyjaciół. Siedzieli naprzeciw siebie niemal gotowi do skoku. Gisenius nieraz już natknął się — niestety! — na taki widok. Zwykle nie miał nic przeciwko temu, nic go to nie obchodziło, ale w takiej sytuacji jak ta był to całkowicie zbyteczny kłopot.

— Co za dużo, to niezdrowo — rzekł Kerze, amator utartych powiedzonek. — Wyobraź sobie, Gisenius, że ten Hirsch skłonił moją córkę Karen do zamieszkania w tym hotelu.

— To nieprawda — zaprzeczył energicznie Hirsch.

— To nie może być prawdą — powiedział Gisenius łagodnie, ale zdecydowanie.

— Co ja słyszę? — zawołał Kerze wzburzony. — Stajesz po stronie tego ptaszka?

— Ani po jego stronie, ani po twojej — powiedział Gisenius, siadając między nimi. — Stwierdzam tylko to, co jest dla mnie zrozumiałe samo przez się. Jeżeli powiadam, że Hirsch nie skłonił twojej córki do zamieszkania w tym hotelu, to mówię tak po prostu dlatego, że nie uważam go za tak głupiego i lekkomyślnego, aby zaryzykował coś podobnego.

— No więc — rzekł Hirsch. — Nareszcie jakieś rozsądne słowo.

— Istotnie — przyznał Kerze po chwili wahania. — To rozumowanie nie wydaje mi się takie absurdalne.

Gisenius skinął głową, zadowolony ze swej zgrabnej taktyki i z pocieszającej reakcji przyjaciół.

— Jestem tu z tym człowiekiem, który ma wytropić Meinersa lub tego, kto za Meinersa uchodzi. Człowiek ów czeka w holu. Chciałby przede wszystkim zobaczyć zdjęcie Meinersa. Hirsch, ty jedyny z nas jeszcze je masz.

— Właściwie dlaczego? — zapytał Kerze, obwąchując swój koniak. — Dlaczegoś przechował to zdjęcie, Hirsch?

— Powiesiłem je nawet na ścianie w mojej sypialni — odparł Hirsch.

— By stanowiło dla ciebie budujący przykład?

— Abym pamiętał, źle sypiał, nie wpadł w manię wielkości. A może z sentymentu albo żeby zakryć plamy na ścianie, kto to wie?

— W tej chwili ważny jest fakt — rzekł Gisenius — że takie zdjęcie w ogóle istnieje. Nasz detektyw chce je widzieć, a więc pokażmy mu je.

Martin Hirsch udał się do swej sypialni. Wrócił z niej po chwili ze zdjęciem w ręku i dał je Giseniusowi. Ten zaczął się zdjęciu dokładnie przyglądać. Przysunął się do niego Kerze i też pochylił się nad fotografią.

— Jakie to właściwie dziwne — rzekł Gisenius zadumany. — Ileż to już lat temu!

Kerze uderzył w weselszy ton.

— Aleśmy wtedy komicznie wyglądali, zwłaszcza ty, Hirsch!

— Sam sobie też wydaję się dziś śmieszny.

Było to zdjęcie jak z bardzo odległego, minionego już i niemal zapomnianego świata, jeszcze matowo lśniące, ale

wyblakłe już od światła pięciu tysięcy dni. Było to jedno z raczej przypadkowych, beztroskich zdjęć amatorskich: zagroda wiejska w Niemczech środkowych, między stodołą a stajnią siedmiu żołnierzy o zmiętych twarzach, patrzących pod słońce, w różnym wieku, ale sprawiających wrażenie ludzi raczej młodych. Świadom swej godności barczysty kapral Schulz jako postać centralna, na prawo od niego, również z ważną miną, rozłożysty szeregowy Kerze, na lewo od Schulza, nieco w tyle, podobny trochę do cienia, ale wyraźnie widoczny, starszy szeregowy Gisenius, po bokach jak dwa słupy, lekko rozkraczeni, gotowi do skoku, starsi szeregowcy Frammler i Bennicken, zupełnie zaś na szarym końcu, obok Hirscha, młodziutki mizerak, wyglądający na człowieka trochę ograniczonego, szeregowy Michel Meiners.

— Istotnie — stwierdził Kerze — wygląda dziś prawie tak jak wtedy. Tego baraniego wzroku nie można tak łatwo zapomnieć.

— Michel Meiners był dzielnym chłopcem — uznał za stosowne podkreślić Gisenius. — Nie wahajmy się określić go jako walecznego. Ale cóż, miał pecha i nikt nie jest temu winien.

Gisenius wsunął sobie zdjęcie pod pachę i podniósłszy się rzekł:

— Towarzysze mi, koledzy. Nasz detektyw może potrzebować tej lub owej informacji. Mam wrażenie, że nie powinniśmy kazać mu dłużej czekać. Jest kosztowny. Poza tym, moim zdaniem, ten Tantau nie jest typem, któremu można kazać czekać jak szoferowi.

— Chwileczkę! — Hirsch wyciągnął rękę, jakby chciał zagrozić Giseniusowi drogę. — Jakieś ty przed chwilą wymienił nazwisko?

— Tantau — odparł Gisenius, trochę zdziwiony tym zainteresowaniem. — Heinrich Tantau. Tak się nazywa człowiek, który dla nas pracuje.

— Czy chodzi o tego karła w starszym wieku, który pracował dawniej w policji kryminalnej?

— Zgadza się — potwierdził Gisenius, ciągle jeszcze zdziwiony. — Podobno ten Tantau był nawet kiedyś komisarzem policji kryminalnej.

— Czy ty właściwie masz pojęcie — zawołał Hirsch — z kim się wdajesz?

— Za pozwoleniem — wmieszał się Kerze. — Gisenius cieszy się naszym całkowitym zaufaniem i ostatecznie nie najgorzej się w tej materii wyznaje. Nie ma najmniejszego powodu do kwestionowania jego posunięć.

Stali ciągle jeszcze stłoczeni w pobliżu drzwi. Ale Hirsch robił takie wrażenie, jakby chciał te drzwi zablokować. Uparcie nie odstępował od tematu.

— Poznałem tego człowieka jakieś trzy, cztery lata temu. Pracował tu w hotelu z polecenia zarządu spółki. Trzeba było wyjaśnić kilka wypadków kradzieży.

— No i? — zapytał Gisenius trochę niecierpliwie. — Wyjaśnij je?

— W ciągu dwóch dni.

— To cudownie! — Kerze mrugnął okiem w stronę Gise-niusa. — Z tobą zawsze to samo, Hirsch, jeżeli nie możesz uprawiać opozycji, jesteś chory.

— Ten Tantau — nie ustępował Hirsch — nie tylko wykrył kradzieże hotelowe, lecz jeszcze kupę innych rzeczy. I tak pewnemu gościowi dowiódł, że kogoś szantażował, a drugiego obciążył podejrzeniem o uprawianie paserstwa. Poza tym ów Tantau stawiał tak niemiłe pytania, że część gości i pracowników poczuła się zaniepokojona.

— Cudownie! — zawołał Kerze. Wyobrażał sobie, ile Hirsch się przy tym napocił jako kierownik hotelu.

Ale Gisenius zdawał się nie lekceważyć zastrzeżeń tego rodzaju. Poza tym zwykł był doszukiwać się we wszystkim przyczyny. Dlatego też zapytał:

— Czy pan Tantau miał wtedy określone zadanie?

— Nie — przyznał Hirsch. — Polecenie dane mu przez firmę było nawet wyraźnie wieloznaczne. Nie powiedziano Tantauowi, że ma się ograniczyć tylko do danego konkretnego wypadku, wręcz przeciwnie, aby sprawy nie wikłać, powierzona mu została, żeby tak rzec, funkcja detektywa hotelowego. Jako taki miał oczywiście wielkie pole do popisu, którego nie omieszkiał też wykorzystać. Nie można go było po prostu pohamować, a zresztą nie miałem do tego najmniejszych nawet pełnomocnictw. Mogę tylko jedno po-

wiedzieć: jeden, dwa tygodnie z tym Tantauem, a hotel stałby pustką.

— Cudownie! — zawołał Kerze zachwycony. — Ależ ten człowiek musiał ci wtedy zalać sadła za skórę! Nic dziwnego, że tak źle o nim mówisz. A może masz powody, żeby się go bać?

— Może to ty mógłbyś mieć powody do strachu, Kerze, tylko jeszcze tego nie wiesz.

— Ależ, przyjaciele, dajcie spokój! — wmieszał się Gise-nius. — A więc stwierdzam, że zastrzeżenia twoje, Hirsch, wydają mi się w pewnej mierze godne uwagi. Ale jako człowiek dalekowzroczny wyjaśniłem już punkt najbardziej istotny. Ode mnie mianowicie Tantau otrzymał zadanie zupełnie jednoznaczne i ściśle określone. Będę pilnował tego, żeby się ściśle trzymał moich poleceń. Zobaczycie, w końcu okaże się jeszcze znakomitym narzędziem w obronie sprawiedliwej sprawy.

— Tego się właśnie obawiam — powiedział na to Hirsch. Ale nikt nie miał ochoty go słuchać.

Mam zamiar postępować zupełnie metodycznie— oświadczył Tantau. — Ale liczę się z tym, że metody moje mogą się wydać dosyć dziwaczne.

— Niech się pan o to nie martwi — rzekł Gisenius. — Najważniejszy jest dla nas rezultat.

— Jakiś rezultat — zapewnił go Tantau łagodnie — zaprezentuję na pewno.

Stali w kawiarni „Paris”. Tantau wyraził życzenie rozejrzenia się po tym lokalu. Spełniono chętnie tę prośbę, nie musiał jej bliżej uzasadniać. Gisenius natychmiast się zgodził mu towarzyszyć. Również Hirsch i Kerze dołączyli się do tego bez wahania.

W kawiarni robiono przygotowania do wieczoru. Kelnerzy ustawiali stoliki, w barze wycierano szklanki, na podium królował „kierownik artystyczny” przedsiębiorstwa,

Quahnke. Ilekroć czuł bliskość Hirscha, okazywał wielką gorliwość i wytrwałość.

Hirsch ulokował się z Kerzem przy stoliku obok baru. Siedziała tu, wyraźnie w dobrym nastroju, Marlena Sonnenberg. Kazał jej tu przyjść, wraz z pianistą, kierownik artystyczny Ouahnke. Ouahnke zaplanował sobie nowe efekty sceniczne: egzotyczna muzyka w głębi, górujący nad nią śpiew w stylu Duke'a Ellingtona, a na froncie coś w rodzaju „dziecka puszczy”, przedzierającego się przez dżunglę. Dziecko to, odbijające się w wodzie, zaczynało wskutek upału i samotności zapadać w sen i przy tej okazji pozbywać się swoich szat. Krótko mówiąc: Brygitta w nowych ewolucjach.

Gisenius spojrział na podium. Właśnie zjawiała się tam Brygitta, niewinna jak dziecko, a jednak już pełna namacalnej, cielesnej kobiecości; choć sprawiała wrażenie nietkniętej, była napiętnowana żądzą. Gisenius zmusił się i odwrócił wzrok. Skierował swe spojrzenie w stronę stolika, przy którym siedzieli Kerze i Marlena Sonnenberg. Kerze był wyraźnie w dobrym nastroju. Siedzący przy tym samym stole Hirsch spoglądał to na Giseniusa, to na Tantaua, z powątpiewaniem, ostrzegawczo, z troską.

— Zdjęcie — rzekł Tantau — które mi pan dał do dyspozycji, jest niezwykle interesujące.

— Nie przypuszczam, aby go pan jeszcze potrzebował — powiedział Gisenius.

— Może je pan dostać z powrotem. Tylko jeszcze przedtem chcę je dać jakiemuś zręcznemu fotografowi, żeby skopiował twarz Michela Meinersa. Jego fotografia będzie mi potrzebna.

— Panie Tantau, chyba jesteśmy całkowicie zgodni co do tego, jak wygląda pańskie zadanie. Ustaliliśmy dokładnie wyraźne granice. Potrzebny nam jest jedynie określony adres, nic więcej.

— Wszystko zrozumiałem właściwie. Otrzyma pan to, co chce mieć, i nic poza tym. Ale środki, które zastosuję, to już wyłącznie moja sprawa.

— Oczywiście, jest pan przecież fachowcem.

Wyglądało na to, że Tantau czekał na to stwierdzenie.

Zmrużył nieco oczy jak zmęczone psisko domowe, wygrzewające się w promieniach słońca. Potem rzekł:

— Żeby miał pan możność zorientować się, za pomocą jakich metod zwykłem pracować, chętnie panu wytłumaczę, dlaczego właśnie tutaj zamierzam rozpocząć badania.

— Ależ drogi panie Tantau! — Gisenius zdawał się być myślami gdzie indziej. Jakby przypadkiem spojrzął znowu na podium, na którym produkowała się Brygitta. — Ma pan moje całkowite zaufanie, chętnie więc będę respektować pańskie tajemnice zawodowe.

— To dość powszechna pomyłka. Zawód mój daleki jest od tajemniczości, jego praktyki są przeważnie całkowicie proste i nieskomplikowane. Tylko że każdy ma swoje metody i zasady. A jedna z moich właściwości polega na tym, że każdemu z moich zleceniodawców pozwalałam zapoznać się z moimi metodami.

— Świetnie — rzekł Gisenius, znowu rzucając przelotne spojrzenie na podium. — Dzięki temu powstaje kapitał zaufania.

— Rozpaczynam poszukiwania tutaj, gdyż poszukiwany przebywał tu przez pewien czas. Widziało go parę osób. Osoby te miały czas, a może i okazję, żeby bliżej przyjrzeć się poszukiwanemu.

— Co pan zamierza przez to osiągnąć, panie Tantau?

— Bardziej dokładny opis, jakieś wskazówki, może nawet uchwytny punkt zaczepienia. To znaczy jakiś monogram na zapalnicze, jakieś szczegóły dotyczące portfela, jakieś fizyczne znaki szczególne czy wreszcie pudełko zapalek z nadrukiem firmowym. Może nawet ktoś widział już kiedyś poszukiwanego albo zobaczył go powtórnie. Przypominam sobie wypadek nieco podobny. Dzięki szczęśliwemu trafowi udało mi się wykryć pewnego osobnika w ciągu piętnastu minut. Położył bowiem obok siebie klucz z marką hotelu, w którym mieszkał, i w dodatku na tej marce wyryty był numer pokoju.

— Widzę już — rzekł Gisenius z uznaniem i zadowoleniem — że pan się na swoim fachu doskonale zna. Mogę więc spokojnie wrócić do moich przyjaciół.

— Może pan — powiedział Tantau. — Proszę mi jednak wyświadczyć drobną przysługę. Niech pan spowoduje, aby pan Hirsch przysłał mi kelnera, który tu wczoraj usługiwał. Niech pan Hirsch zarządzi również, aby ów kelner oraz inni pracownicy, z którymi będę musiał chyba rozmawiać, byli gotowi udzielić mi wszelkich informacji, jakich tylko od nich zażądam. Pan Hirsch już będzie wiedział, jak osiągnąć taką gotowość do zeznań.

Powiedziawszy to, Tantau mrugnął do Giseniusa i ze zwinnością łasicy znikł w toalecie męskiej. Prawdopodobnie po to, żeby sprawdzić, w jaki sposób można opuścić to pomieszczenie przez tylne drzwi.

Gisenius spojrzął w ślad za Tantauem nie bez pewnego zadowolenia. Potem poszedł do stolika, przy którym siedzieli Kerze, Hirsch i Marlena Sonnenberg. — Przyjaciele — rzekł — zdaje się, że się nie omyliłem. Ten człowiek zna się na swoim interesie.

— Co to za interes? — chciała wiedzieć Marlena Sonnenberg.

— Ten pan Tantau — powiedział jowialnie Kerze — to, zdaje się, tresowany pies, nie ostoi się przed nim żadna buda z królikami.

— Panno Sonnenberg — rzekł Hirsch — mam wrażenie, że wzywa panią Ouahnke, a zatem głos obowiązku.

— Szkoda — rzekła Marlena, podnosząc się. — Chętnie pogawędziłabym jeszcze z panem na temat tego tresowanego psa.

— Może później — powiedział szarmancko Hirsch. — Bardzo nam będzie miło zobaczyć panią znowu przy naszym stoliku po próbie.

— Próba na pewno długo nie potrwa — obiecała Marlena. Uśmiechnąwszy się do obecnych, szczególnie do Kerzego, odeszła elastycznym krokiem.

Nikt, nawet Kerze, nie popatrzył za nią, gdyż Gisenius miał im do zakomunikowania ważne szczegóły. Przede

wszystkim przekazał Hirschowi polecenia Tantaua. Nie miał przy tym dla Tantaua słów uznania.

— W gruncie rzeczy — rzekł Hirsch — to, co Tantau robi, jest najprostszą rzeczą na świecie.

— Ale trzeba to robić — odparł Gisenius. — A przede wszystkim trzeba na to wpaść.

Tymczasem na podium zrobiło się głośno: nieporozumienie między Quahnkem a Marleną Sonnenberg groziło przekształceniem się w kłótnię. Przyciągnęło to uwagę trzech panów siedzących przy stoliku, zwłaszcza Hirscha. Również i Gisenius nie miał nic przeciwko tego rodzaju rozrywce. A Kerze należał do zdecydowanych amatorów brutalnych kłótni i awantur, nawet wtedy, kiedy sam w nich nie brał udziału.

— To, czego pan ode mnie wymaga — wołała oburzona Marlena Sonnenberg — jest pogwałceniem mojej osobowości!

— Panno Sonnenberg — powiedział „kierownik artystyczny” Ouahnke — nie chcę się spierać tu o to, czy pani w ogóle posiada osobowość, czy nie. Jedno jest pewne: zaangażowana została tu pani jako piosenkarka.

— Jako solistka! — zawołała panna Sonnenberg, pusząc się jak paw. — I tylko w tym charakterze chcę być eksploatowana. Nie będę tkwić gdzieś na tylnym planie jako tuba propagandowa dla pańskiej pupilki, tej płaskostopej parodii tancerki.

Brygitta wydała wrzask oburzenia. Ouahnke, siny z wściekłości, szukał odpowiednich słów. Nie było to takie proste je znaleźć. Przy doborze ich bowiem musiał pamiętać o różnych rzeczach: o swym stosunku do Brygitty, o znajomości Marleny Sonnenberg z dyrekcją, no i o obecności dyrektora.

Kerze szepnął z uznaniem:

— Cholera, ta ma proch w lufie!

— Ale — wtrącił Gisenius mniej zachwycony — zdruzgotala tę małą, która jest jeszcze przecież dzieckiem.

- Dzieci tego gatunku — rzekł Hirsch — są na tym rynku mięsnym pełnowartościowymi konkurentami. Ta Son-nenberg doskonale to wie i odpowiednio też postępuje. Kerze ciągnął dalej:

— Ta ma ikrę! Taką babę warto by mieć, żeby ją napuścić na moją gospodynię, tę Brandstadter.

Hirsch, który uważnie obserwował Kerzego, pochylił się do przodu.

— Może — rzekł figlarnie — powinieneś ją zaangażować, że tak powiem, na występ gościnny.

— Wcale niezły pomysł — przyznał Kerze.

— Tak — rzekł Gisenius raczej do siebie — walka o byt bywa czasami bardzo ciężka.

Tymczasem Ouahnke dotarł do Hirscha i przybrawszy pogrzebową minę, oświadczył:

— Głęboko ubolewam, że w pańskiej obecności, panie dyrektorze...

— Dobrze, już dobrze — rzekł Hirsch, podnosząc się z krzesła. — Już ja to załatwię.

— Serdeczne dzięki.

— Idziecie ze mną? — zapytał Hirsch obu przyjaciół. — Chciałbym trochę pogawędzić sobie z panną Sonnenberg.

— Ja idę! — krzyknął Kerze bez namysłu.

— To idźcie — powiedział Gisenius. — Ja zostaję i będę tu na was czekał.

Gisenius patrzył w ślad za Hirschem i Kerzem, którzy, wyraźnie w dobrym humorze, maszerowali w stronę garderób damskich. Potem rzucił okiem tam, gdzie się znajdowały drzwi do toalety. Jak się należało tego spodziewać, ujrzał Tantaua, już przy robocie. Wypytywał jednego z kelnerów, który stał przed nim z wyrazem zmęczenia na twarzy. Z kolei Gisenius rzucił okiem na G/uahnkego, który próbował pocieszyć Brygitte.

Gisenius sięgnął po kieliszek Hirscha, umoczył w nim usta. Różowe wino z Anjou lśniło jak rozplywająca się we

mgle poranna jutrzeńka. Opróżniwszy kieliszek do dna, poczuł w całym ciele przyjemną słodycz, nie pozbawioną jednak pewnej cierpkości. Podniósł się i podszedł do Brygitty. Ouahnke oddalił się błyskawicznie, nagle stał się gwałtownie potrzebny gdzie indziej. Wskutek tego zwoleło się krzesło obok nowicjuszeki lokali nocnych. Gisenius zajął je z dostojną miną. Minęła spora chwila, zanim przemówił:

— Pożałowania i ubolewania godne.

Brygitta spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma — mimo zapłakanej twarzy mogła sobie na to pozwolić. Wiedziała o tym. Jej gminną urodę ulicznej piękności nie tak łatwo było zmać, miała jeszcze wszystkie zalety młodości. Ale jak długo to jeszcze potrwa?

— To było ordynarne — powiedziała z nadzieją w głosie. — Jak można twierdzić, że mam płaskie stopy! Czy ja mam płaskie stopy?

Wyciągnęła ku Giseniusowi obie nogi. Gisenius cofnął się nieco, ale przyglądał się temu, co mu zaprezentowano, zupełnie serio i nie inaczej, niż jakby studiował jakieś akta. Po chwili powiedział:

— Tego wszystkiego można było uniknąć. Nigdy nie powinna była się pani znaleźć w podobnej sytuacji.

— Ależ ja jestem całkowicie bez winy — powiedziała Brygitta. — Przecież zaczęła Sonnenberg!

— To nie miejsce dla takiej dziewczyny jak pani — powiedział Gisenius.

— Zapewne! — zawołała Brygitta z miną naiwnego niewiniątka. — To z pewnością nie najlepsze, ale co robić? Przecież trzeba żyć!

Dalsze piękne i zawsze skuteczne komunały tego rodzaju zostały na razie Giseniusowi oszczędzone. Zbliżył się bowiem Tantau i Gisenius odsunął się instynktownie od Brygitty. Ale Tantau patrzył w ziemię, jakby znajdowało się tam coś niezwykle ważnego. Powiedział: — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. — Oczy jego patrzyły nieśmiało i jakby przez cienkie zasłony przyglądały się siedzącej naprzeciw niego parze: starszemu panu i młodziankiej dziewczynie. Trudno było powiedzieć, które z tych dwojga miałyby w pewnych sytuacjach przewagę.

— Ależ skąd! Wcale pan nie przeszkadza — zapewnił go Gisenius.

— Tu już skończyłem! — Tantau spoglądał na nogi Bry-gitty tak, jakby miał przed sobą stół, rurę od pieca lub klamkę.

— Jakie rezultaty?

— Raczej wskazówki. Między innymi jedna wydaje mi się przydatna. Mianowicie jeden z kelnerów spotkał poszukiwanego poza hotelem, dwukrotnie, i za każdym razem w tym samym miejscu. Od tego rozpocznę. Chętnie skorzystam z pańskich wskazówek i przyjmę ofiarowaną mi pomoc właściciela taksówki, Bennickena.

— Proszę bardzo. Bennicken to człowiek, na którym można całkowicie polegać.

— Mam nadzieję.

— A więc tak, jakieśmy ustalili, będzie mnie pan informował na bieżąco, prawda? Na razie mogę tylko powiedzieć: dużo szczęścia!

— Tego samego życzę i panu — powiedział Tantau, mrużąc oczy.

6. *Pamięć umiera wielokrotnie*

Martin Hirsch udał się do swego pokoju. Tu otworzył swoją szafę z płytami. Nie potrzebował długo szukać — Bach, *Koncert Brandenburski nr 4*. Wysłuchawszy pierwszych taktów, położył się na tapczanie, nie ściągając butów. Patrzył w sufit, który, jak mu się zdawało, wisiał nad nim bardzo nisko.

Tym razem nawet ta muzyka nie działała tak jak zwykle. Tony płynęły, ale nie docierały do niego. Były jak gęsty deszcz walący w szyby.

Całymi latami żył beztrosko, w przekonaniu, że to najlepszy sposób, żeby sobie dawać radę z życiem. Próbował nie uznawać żadnych przeszkód, nie podejmować żadnych ważkich decyzji, unikać wszelkich trudności. I oto nagle waliło się na niego to wszystko, czemu się tak zręcznie wymykał. Tok jego myśli został gwałtownie przerwany. Rozległo się ostre pukanie do drzwi. Hirsch był zadowolony, że mu ktoś przeszkodził w tej jego kontemplacji. Podniósł się z ulgą i zawołał: — Wejść! Weszła Gizela Wandel.

— A to pysznie — rzekł Hirsch, usiłując wpaść w ton ironicznej wyższości. — Chciała pani zapewne posłuchać muzyki. Proszę bardzo, niech pani usiądzie, ot tutaj.

— Nie mam zamiaru uczestniczyć w pańskim życiu prywatnym — rzekła Gizela Wandel.

— Może pani spokojnie zostawić drzwi otwarte na oścież! — zawołał Hirsch. — Niech każdy widzi, że przychodzi pani do mojej budy, kiedy wyleguję się akurat na tapczanie. Takie typy jak pani przyjaciel kelner Paul tylko czyhają na podobne sytuacje.

Gizela Wandel zamknęła pospiesznie drzwi, stanęła przy nich, spojrzała na niego z wielką powagą i powiedziała:

— Znowu zjawiła się panna Karen Kerze. Oto co chciałam panu zakomunikować.

— Aha — rzekł Hirsch. — To rzeczywiście niezwykle interesujące. Ale żeby to zakomunikować, zjawia się pani u mnie osobiście? Nie słyszała pani nigdy, że mam telefon?

— Może będę panu potrzebna?

— Jak mam to rozumieć?

— Otóż — oświadczyła Gizela Wandel, znowu rzeczowo, jasno i zdecydowanie — panna Karen jest tu w hotelu, ale znajduje się w pokoju nie sama.

— Popatrz, popatrz! — zawołał Hirsch z miną fachowca hotelowego, doskonale obeznanego z wszystkimi możliwymi doświadczeniami swojej branży. — Czyżby ta osoba przytaszczyła ze sobą jakiegoś bubka?

— Zdumiewające! — powiedziała Gizela Wandel. — Wyznaje się pan w tej dziedzinie zupełnie wyjątkowo. Istotnie pannie Kerze towarzyszy jakiś młody człowiek.

Hirsch nie zwlekał ani chwili. Poprawiwszy sobie krawat, powiedział jakby od niechcenia:

— Niech mnie pani ubezpieczy, panno Wandel. Proszę obudzić z popołudniowej drzemki kelnera pełniącego służbę na tym piętrze. Portier również niechaj będzie w pogotowiu.

Powiedziawszy to Hirsch wybiegł na korytarz i popędził w kierunku pokoju zajmowanego przez Karen. Wpadł tam bez pukania.

Obraz, który się przed nim roztoczył, nie zaskoczył go — oczekiwał tego. Ujrzał przed sobą dość klasyczną parę hotelową: swobodny strój i gnuśne rozleniwienie. Zaciągnięte zasłony na oknach, półmrok. Porozrzucane w pośpiechu części garderoby, kółdra na podłodze. Wszystko przepojone zapachem perfum i potu.

— Do diabła! — wrzasnął młodzieniec wściekły. — Zamknąć drzwi!

— Ach! — krzyknęła Karen Kerze. Podniosła się, w głosie jej była niemal radość. — To ty?!

Martin Hirsch nie zważał na to, czy drzwi za nim są zamknięte, czy nie. Zapalił górne światło, a potem gwałtownym ruchem rozsunął zasłony — do pokoju wdarło się jaskrawe światło popołudnia. Hotelowa para odsunęła się już teraz od siebie całkowicie.

— Co panu wpadło do głowy? — wrzasnął zaczepnie młodzieniec.

Martin Hirsch przyglądał mu się: młoda, nieopanowana kupa mięśni, tkwiąca na tapczanie jak bokser w kącie ringu. Siła przyzwyczajona do zwyciężania i pogardliwa pewnością siebie. Małe starcie z tym typem i pokój hotelowy stanie się pobojowiskiem. Hirsch znał takie typy.

— Człowieku! — Młodzieniec powoli się podniósł. — Czego pan chce ode mnie? Dam ci dobrą radę, starszaku: Zamknij drzwi, ale z tamtej strony.

Hirsch zrobił to, co mu się wydawało nieodzowne. I zrobił to szybko i gruntownie: wyrznął młodzieńca w podbródek prawą ręką, dołożył mu lewą, w okolicę żołądka, i niemal jednocześnie kopnął go kolaniem w brzuch.

Rezultat był zaskakujący, i to przede wszystkim dla Martina Hirscha: młodzieniec jakby w bezgranicznym zdumieniu przewrócił oczyma i zwałił się na podłogę. Leżał tam cichutko i nieruchomo jak kukła.

— Wspaniale! — rzekła Karen z uznaniem.

Martin Hirsch oparł się o ścianę. Jak przez mgłę ujrzał portiera i kelnera, skierowanych tu przez Gizelę Wandel. Zarejestrował z wysiłkiem: jakieś wleczone po podłodze ciało, twarze przyglądające mu się ze zdumieniem, pokój rozplywający się w oczach.

Potrzebował nieco czasu, żeby dojść do siebie. Oszłomiła go zaskakująca świadomość: udało się! Te śmieszne, prymitywne trzy ciosy, skopiowane z jakiegoś filmowego triku, istotnie skończyły się sukcesem. Inna sprawa, że ręce go solidnie bolały, czuł się tak, jakby go przepuszczono przez wyżymaczkę. Było to uczucie bolesne i błogie zarazem. Tak, był mężczyzną!

— Ależ z ciebie chłop! — powiedziała Karen z entuzjazmem.

— Az ciebie — odparł Hirsch z wysiłkiem, ale zdecydowanie — lekkomyślny drań! Gdzieś ty się włóczyła?

— Wszędzie. — Karen rozpostarła ramiona, jakby była gotowa ofc>jąc jeżeli już nie cały świat, to przynajmniej jego połowę. — Cóż mam robić? Szukam kogoś, kto by mnie kochał. Ale nikt mnie nie kocha.

— Bzdury!

— Czyżbyś ty mnie kochał? Byłabym szczęśliwa. Niczego baidziej ^{^e} ptagną. Powiedz mi s2C2eize: biies się ra przed chwilą z mojego powodu, prawda?

— Jeżeli wdaję się w bójki, to tylko przez poczucie koleżeństwa-

— Myślisz, że się to opłaca?

— Wstawaj i ubieraj się! — powiedział Hirsch rozkazująco. — Potem spakujesz walizkę i pójdziesz ze mną. Dostarczę cię twemu ojcu.

— Czy to musi być zaraz?

— Natychmiast. I nie udawaj, że jesteś uosobieniem rozpusty, nikt ci i tak nie uwierzy. A najmniej ja!

— Ty *też* mnie nie kochasz! A jeżeli już miałam do kogoś zaufanie, to do ciebie! Naprawdę chcesz mnie na siłę rozczarować?

— Spiecz się, twój ojciec czeka. Zaprowadzę cię do niego z cholerną przyjemnością.

Najlepiej, żeby pani o tym wszystkim zapomniała — zalecała Karen Gizela Wandel. — Zobaczysz pani bardzo prędko, jak ograniczona jest pamięć mężczyzn, gdy chodzi o sprawy drażliwe.

— Ten pani Martin Hirsch — rzekła Karen Kerze — bardzo mnie rozczarował, choć potrafi zdrowo walić pięściami.

— Nie jest on „moim” Martinem Hirschem.

— A chciałyby pani tego, prawda? Gizela Wandel udała pogodną bez troskę.

— Czy na to wyglądam?

- Owszem. Gizela Wandel pochyliła się mocniej nad walizką, którą wspólnie pakowały. Karen Kerze stosowała przy tym swoje własne metody. Po prostu beładnie rzucała swoje rzeczy na kupę. Gizela Wandel zaś łapała je zwinnymi rękami i porządnie układała na dnie walizy. Pochłonięte tym zajęciem, milczały przez dłuższą chwilę.

— Powiadają, że każda sekretarka jest w swoim szefie zakochana.

Powiedziawszy to Karen roześmiała się nieco histerycznie, a potem, wzruszywszy ramionami, weszła do łazienki, zostawiając jednak drzwi do pokoju otwarte. Stanąwszy przed lustrem, zaczęła sobie starannie malować usta.

— Jak skończy pani te swoje zabiegi kosmetyczne, będziemy mogły chyba już pójść? — zapytała Gizela Wandel.

— Jeżeli chodzi o mnie, to nie mam nic przeciwko temu — powiedziała Karen lekceważąco. — Te prowincjonalne hotele to tylko przybytki rozpusty!

— Skoro tak pani uważa... — powiedziała Gizela Wandel pobłaźliwie. — Zawiadomię wobec tego pana Hirscha, że jest pani gotowa do drogi. Potrwa to jakieś dziesięć minut. Jeżeli na te dziesięć minut nic specjalnego sobie pani nie planuje, to może zechciałaby nam pani wyświadczyć pewną uprzejmość?

— Państwu? Uprzejmość?

— Nie mnie! Mówiąc „nam”, miałam na myśli hotel, a zwłaszcza pana Hirscha.

— I cóż, zdaniem pani, mogłabym zrobić?

— To zupełnie proste. Żąda pani telefonicznie kelnera imieniem Paul. Niech pani będzie wobec niego miła, a nawet, jeżeli to możliwe, nieco poufała. Niech go pani zapyta, czy nie mógłby przynieść pani na chwilę jej formularza meldunkowego, pod pozorem, że chce pani w nim coś dopisać. Niech pani zaoferuje mu dwadzieścia marek, a gdyby się wzdragał je przyjąć, to trzydzieści, ale nie więcej.

— Jeżeli tylko o to chodzi! — powiedziała Karen wielkodusznie i machnęła lekceważąco ręką. Potem podeszła do telefonu.

Gizela Wandel, wyraźnie zadowolona, opuściła pokój. Z korytarza weszła na główne schody, prowadzące do holu. Tam zamieniła kilka słów z szefem recepcji, u którego znajdowały się wszystkie formularze z bieżącego dnia. Postawiła mu parę szablonowych pytań, a potem poprosiła go do biura dyirekcji. Stało się to w tej samej prawie chwili, kiedy w pustym holu zjawił się kelner Paul.

Szef recepcji poszedł z Gizelą Wandel do biura dyirekcji. Gizela zostawiła go w przedsionku, każąc mu sprawdzać stos meldunków z tygodnia poprzedniego, sama zaś udała się do gabinetu dyrektora.

Tam ujrzała obraz, który zresztą spodziewała się ujrzeć: wściekły, lekko zmasakrowany amant panny Kar en Kerze siedział w fotelu, przeznaczonym dla interesantów, za nim stał portier hotelu, który aż się palił do tego, żeby zademonstrować rezerwy swych sił fizycznych; przed nim, lekko oparty o blat biurka, stał gotowy do skoku Hirsch.

— Dobrze, że się pani zjawia! — zawołał Martin Hirsch na widok Gizeli Wandel. — Ostatecznie była pani świadkiem! Otóż czy ten młody jegomość próbował zaatakować mnie, czy nie?

— Owszem, próbował — odparła Gizela Wandel. — I najlepiej będzie, jeżeli zaraz zadzwonię na policję, by go stąd zabrano.

— Po co zaraz policja? — zapytał skromnie portier. — Odegram chętnie rolę wykidajły i sprawa będzie z miejsca załatwiona!

— Musimy postępować przyzwoicie i poprawnie — rzekł Hirsch. — Zastanawiam się nad tym, czy nie wszcząć procesu o zakłócenie spokoju domowego.

— Iz powodu wykroczenia przeciw obyczajności i moralności — poradziła Gizela Wandel. — Wchodzilby wówczas w grę paragraf o nierządzie.

— Do stu diabłów! — wrzasnął młodzieniec. — Co to wszystko ma znaczyć?! Ta baba poderwała mnie i przywlokła mnie tu ze sobą, a nawet dała mi do zrozumienia, że otrzymam zapłatę.

— No to pięknie — stwierdził Hirsch. — Jeżeli to prawda, to byłoby to kurestwo! A za to grozi więzienie.

Młodzieniec rozglądał się dookoła mocno zbity z tropu. Miał wrażenie, że sytuacja staje się dla niego coraz bardziej kłopotliwa i niebezpieczna. Nie był już w stanie orientować się w niej.

— A więc — zapytała Gizela Wandel — kogo mam za wiadomić? Naszego adwokata czy policję?

Młodzieniec, wyposażony we wspaniałe mięśnie, ale w nienadzwyczajny rozum, zaczął się poddawać. Jeszcze się trochę poawanturował, ale potem zaczął zapewniać o swej niewinności. Wreszcie błagał już tylko o zrozumienie, pobłażliwość i łagodność, zgrzytając przy tym bezsilnie zębami.

Martin Hirsch okazał pobłażliwość. Oświadczył, że chodzi mu przede wszystkim o dobre imię tej młodej damy. Na poczekaniu podyktował Gizeli Wandel oświadczenie. Podpisany ubolewał w nim, że w sposób brutalny i godny nagany zakłócił w hotelu „Unter Drei Kronen” normalny bieg spraw. Niemal z wdzięcznością przyjął zapewnienie, że jeżeli okaże skrucę, Hirsch zrezygnuje ze ścigania go na drodze sądowej. Wszystko to ochoczo podpisał i ulotnił się.

— Mam wobec pani dług wdzięczności — rzekł Martin Hirsch, kiedy znowu pozostał z Gizelą Wandel sam na sam.

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu — powiedziała Gizela po prostu — zaprowadzę pana teraz do panny Kerze.

Zastali Karen Kerze w pokoju sto siedemnaście. Czekająca z miną obojętną, niemal zrezygnowaną. Ale oczy Gizeli Wandel zabłysły — na bładozielonym kocu leżał formularz meldunkowy.

— A więc zbieraj manatki — rzekł Hirsch względnie obojętnie. — Ojciec czeka, a twego amanta spławiliśmy. Jakaś ty się w ogóle wzięchała z taką pozbawioną mózgu kupą mięśni?

— Po co pytać o finezję — powiedziała Karen Kerze znużonym głosem — kiedy chodzi o prymitywne pojęcia? Jestem przekonana, że tak zwana miłość duchowa to wynalazek słabeuszy.

— Idiotka! — zawołał Hirsch.

— Czy mogę zwrócić na coś pańską uwagę? — powiedziała Gizela Wandel, aby rozładować sytuację. — Panna

Kerze znajduje się w posiadaniu swego formularza meldunkowego.

Hirsch natychmiast się tym zainteresował i przysunął się bliżej do Karen.

— Naprawdę? — zapytał zdumiony. — Jak go dostałaś?

— Mam wrażenie, że dostarczył go panie Kerze jeden z kelnerów. — Gizela uśmiechnęła się lekko do Hirscha. — Kelner imieniem Paul.

— Wspaniale! — Hirsch niemal z nabożeństwem zaczął oglądać formularz. Wiedział dobrze, co ten dokument oznacza: ten niebezpieczny wśczytel Paul był teraz zdany na jego łaskę i niełaskę. To, co Hirsch trzymał w ręku, było dostatecznym powodem prawnym do zwolnienia.

— Mam wrażenie, że to wystarczy — rzekła Gizela Wandel.

Hirsch skinął potakująco głową. Formularz ten był równoznaczny ze spełnieniem jego życzeń specjalnych. Wyszedł z pokoju z gotowym postanowieniem.

To systematyczna nagonka — utrzymywał oburzony kelner Paul.

— Wyciągam jedynie konsekwencje z faktów — rzekł Martin Hirsch. — Zwędził pan z biura formularz meldunkowy.

— Nie zwędziłem, tylko po prostu wziąłem.

— Ile to panu przyniosło marek?

Kelnerowi Paulowi, stojącemu w biurze dykcji na przeciw Hirscha, zaczęło świtać w głowie, że przynajmniej na razie przegrał. Hirsch miał nad nim przewagę. Złapał go na gorącym uczynku, miał świadków i materiał dowodowy.

— To było ukartowane! — zawołał Paul z wściekłością. — Zastawił pan na mnie pułapkę, tylko dlatego że za dużo wiem i widziałem. To nikczemność.

— Myli się pan — rzekł Hirsch łagodnie. — To obrachunek ze wszystkimi poprzednimi nikczemnościami.

Paul zorientował się, że każde dalsze słowo jest zbyteczne. Odwrócił się na pięcie i nie spojrzawszy nawet na Hirscha, wyszedł bez słowa. Zrezygnował nawet z zatrzaśnięcia za sobą drzwi.

Były to dla Hirscha groźby jednoznaczne. Ale innej reakcji ze strony Paula nie oczekiwał. Z góry wiedział, że będzie musiał się zabezpieczyć. W tym celu przeprowadził trzy rozmowy telefoniczne. Pierwszą z Gizelą Wandel, która stosownie do polecenia przebywała w pokoju Karen Kerze.

Hirsch poprosił sekretarkę hotelu, aby wszystkie szczegóły wykradzenia formularza meldunkowego spisała protokółarnie, jak również wszystko to, co mieli na ten temat do powiedzenia szef recepcji i Karen Kerze. Poza tym poprosił o przysłanie mu do biura gościa nazwiskiem Lehm-gruber i przedłożenie wyciągu z jego rachunku.

Gizela Wandel, jak zwykle rzeczowa i usłużna, powiedziała tylko: „Tak jest”.

Z kolei Hirsch kazał się połączyć z dyrektorem Kerzem, który znajdował się właśnie w swojej fabryce. Powiedział mu, że Karen znowu przebywa w hotelu, ale jest gotowa wrócić do domu. Jeżeli Kerze się zgodzi, Hirsch dostarczy mu ją osobiście. Tak więc ten niemiły incydent byłby załatwiony w sposób względnie zadowolający.

Głos dyrektora Kerzego był pełen wdzięczności i uznania. Zaprosił Hirscha na skromną kolację w „ścisłym gronie”. Będzie również starszy radca Bartosch — oczywiście o ile przyjaciel Hirsch wyrazi swoją zgodę.

— Ależ zgadzam się jak najchętniej — rzekł zapytany.

Trzecią rozmowę odbył Hirsch z doktorem Konradem Giseniusem, który był akurat w swym biurze.

Hirsch zapytał naprzód, czy w sprawie Meinersa nie ma nic nowego. Pytanie to spotkało się z pełnym ubolewania zaprzeczeniem. Z kolei Hirsch zapytał, czy Gisenius w dalszym ciągu się interesuje Lehmgruberem. Na pytanie to padła ostrożna odpowiedź twierdząca z zastrzeżeniem: pod pewnym względem. Hirsch oświadczył teraz, że widzi się niestety zmuszony z przyczyn finansowo-handlowych wyrzucić na tego Lehmgrubera pewną presję. Rezultat będzie

chyba taki, że ów Lehmgruber będzie się starał stiobyó £8 wszelką cenę pieniądze, jakieś pięćset marek.

Gisenius zadowolony powiedział:

— Niech więc przychodzi do mnie!

Niezbyt mnie to interesuje — powiedział Gisenius, rozpierając się w fotelu. — Bo cóż może mi pan oferować? Mgliste twierdzenia, z którymi nie wiedziałbym, co począć. Nie mam najmniejszego zamiaru stawiać lekkomyślnie komukolwiek zarzutów, chodzi mi jedynie o sprawiedliwość.

— Mogę służyć nieodpartym materiałem dowodowym — powiedział Lehmgruber.

Obaj mężczyźni siedzący naprzeciw siebie w kancelarii Giseniusa przyglądali się sobie bez żadnych złudzeń. Z jednej strony siedział doświadczony w polityce praktyk i zarazem wykwalifikowany prawnik, z drugiej krętacz pozbawiony skrupułów, znający najbardziej przebiegłe chwytty i triki swego zawodu. Dwaj handlarze handlujący duchem czasu.

— Skąd pochodzą te dowody? — zapytał Gisenius jak najbardziej obojętnym głosem.

— Zebrał je specjalista, na którym można całkowicie polegać — zapewnił go Lehmgruber. — To nie jest pusta gadanina. Wszystko jest poparte kwitami, kopiami listów, zeznaniami świadków.

— Niech mi pan to pokaże.

— A więc chce pan kupić mój materiał? Co zamierza mi pan zaferować?

— Nie zwykłem kupować kota w worku. Podam cenę po przejrzeniu dowodów.

Lehmgruber skinął głową na znak zgody. Zabawa w ciuciubabkę nie była już dalej możliwa. Otworzył więc niemal ceremonialnie niezbyt grubą teczkę z aktami, wyłowił z niej szybkimi palcami pięć skoroszytów i podał je Giseniusowi z lekkim ukłonem.

— Pięć wypadków, z pańskiej „parafii”.

Gisenius sięgnął po materiał. Położył skoroszyty na stole, otworzył pierwszy z wierzchu i zagłębił się w zawartych w nim papierach.

— Jak pan widzi, same oryginały — powiedział Lehm-gruber. — I, jak już mówiłem, wpadły mi w ręce całkiem przypadkowo. Ale daję panu ten materiał z całym zaufaniem.

Gisenius znowu pochylił się nad papierami i zaczął je dokładniej przeglądać. Istotnie były to oryginały. Był to ważny i niemal wyczerpujący materiał. Niektóre dokumenty Gisenius znał już, przynajmniej ze słyszenia.

Akta pierwsze dotyczyły jednego z ministrów kraju związkowego. Była w nich mowa o zakupie jakiejś ziemi za podejrzanie wysoką cenę, o stałych zamówieniach rządowych w firmie, w której zięć ministra zajmował kierownicze stanowisko, o regularnych podwyżkach pensji tegoż właśnie zięcia bezpośrednio po każdym większym zamówieniu, o podejmowaniu większych sum pieniężnych na rzecz pewnej partii, z tym, że do kasy partyjnej wpływały kwoty znacznie mniejsze, o kupnie używanego wozu za taką cenę, jaką płaci się za nowy. Dla Giseniusa najważniejsze było jedno: ten minister nie należał do jego partii.

Skoroszyt drugi i trzeci zajmował się pewnym landra-tem, który należał do partii Giseniusa, i pewnym posłem do parlamentu. Szczegółowo były przytoczone wykroczenia powtarzające się stale przy różnych okazjach: nadużywanie władzy urzędowej, świadome fałszowanie danych, usuwanie załączników, kumoterstwo.

Skoroszyt czwarty był poświęcony redaktorowi naczelnemu jednej z miejscowych gazet. Dowody i załączniki mówiły o tym, że człowiek ów, udający szermierza wolności, ma na sumieniu liczne paskudne wykroczenia, a nawet przestępstwa. Było to tym bardziej godne uwagi, że redaktor ten często uprawiał szyderczą, dyskryminacyjną, demaskatorską krytykę osób zajmujących w aparacie państwowym wysokie stanowiska. W świetle dowodów i dokumentów był lubieżnikiem i bezwstydnym uwodzicielem nieletnich. Do teczki dołączone były dwa zdjęcia, siedem adresów, cztery zeznania świadków. Gisenius uznał, że już same dowody były warte tysiąc marek.

Przy skoroszyście piątym Giseniusa aż zatkało, kiedy zobaczył nazwisko, tak że musiał je przeczytać kilkakrotnie. Nazwisko to brzmiało: Bartosch. Johannes Bartosch. Starszy radca, prawa ręka premiera, ulubieniec władz, kolega i kompan wysokich dyplomatów, przyszyły zięć dyrektora Kerzego, wręcz wzorowy przykład na oskarżenie z paragrafu sto siedemdziesiąt pięć.

Gisenius szybko zamknął ten skoroszyt, jakby go on w ogóle nie interesował. Ułożywszy starannie wszystkie pięć skoroszytów jeden na drugim, spojrzął na Lehmgru-bera swymi wodnistymi, pozbawionymi wyrazu oczyma.

— Nie można powiedzieć, żeby to było interesujące. Dam panu za wszystko pięćset marek.

— Ależ, proszę pana, liczyłem co najmniej na tysiąc! — Lehmgruber udawał przerażonego-

— Nie zwykłem się targować. — Gisenius był jak najbardziej pewny swego, wiedział przecież, że Lehmgruber potrzebuje na gwałt pieniędzy, pięćset marek było teraz dla mego niemal kwestią życia i śmierci. Po cóż więc lekkomyślnie płacić więcej, niż potrzeba?

Lehmgruber skapitulował.

— Dobrze — rzekł z miną pokonanego. — Zrobione. Pięćset marek za te pięć skoroszytów. I drugie pięćset za ten szósty, dodatkowy, dotyczący mianowicie pana, panie Gisenius.

— Pan oszalał! — Oczy Giseniusa zrobiły się teraz lodowato zimne. — Żadne akta na temat mojej osoby nie mogą istnieć. Wszystko, co czynię, jest absolutnie bez skazy. Nigdy jeszcze nie naruszyłem obowiązujących w danym czasie przepisów i praw. Jeżeli więc istnieją jakieś akta na mój temat, to muszą być sfalszowane.

— Może — rzekł Lehmgruber z przesadną uprzejmością. Teraz on był górą i mógł się tym rozkoszować. — Ale czy akta fałszywe, zawierające fałszywe dowody, nie mogą być w pewnych okolicznościach tak samo niebezpieczne jak akta prawdziwe? Niech pan sobie to spokojnie przemyśli. I tak tych akt nie przyniosłem, są schowane w bezpiecznym miejscu. Niech mi więc pan wypłaci na razie pięćset marek. Reszta sama się później znajdzie.

C hętnie bym sobie z panem porozmawiał — rzekł Tantau łagodnie. — I to w pańskim interesie. — Sam decyduję o tym, co jest moim interesem — odburknął szorstko zagadnięty człowiek.

— Niestety — odparł Tantau z ubolewaniem w głosie — nie wszyscy bliźni będą się kierowali pańskimi życzeniami. Ja również nie będę.

— Niech mi pan zejdzie z oczu — powiedział nieznajomy pogardliwie. — Nie mam ochoty tracić czasu.

— Ale niedawno w kawiarni „Paris” miał pan do tego ochotę?

Tantau natrafił na ślad tego człowieka bez większych komplikacji.

I teraz Tantau był właśnie u niego. Tylko że ten człowiek nazywał się nie Mainers, lecz Siegert.

Stali teraz naprzeciw siebie w wąskim, ciasnym, parszywym pokoju umeblowanym. Urządzenie tego pokoju było żałosne. Przedmioty osobistego użytku — części ubrania, wiktuały, książki fachowe — świadczyły o tym, że właściciel od dawna i intensywnie ich używał. Pokój był straszną norą, pozbawioną nawet cienia przytulności i ciepła.

— Ostatnio — ciągnął cierpliwie Tantau — wypił pan w kawiarni „Paris” sporo piwa i jałowcówki.

— No i? — Człowiek, który miał na drzwiach wypisane nazwisko Siegert, powiedział to zaczepnie. — Co to kogo obchodzi? Miałem powody, żeby pić. Czyżby ostatnio zostało to zabronione?

— Wyszedł pan' stamtąd tylnymi drzwiami — powiedział Tantau w dalszym ciągu łagodnie i cierpliwie.

— Bo jakiś idiota głupio mnie zaczepił! Zrobiło mi się od tego niedobrze. A teraz niech się pan stąd wynosi. A może zechce pan twierdzić, że nie zapłaciłem rachunku? Czy po to pan tu przyszedł?

— A czy zapłacił pan?

— Płaciłem po każdej kolejce i po każdej kolejce dawałem napiwek.

Tantau przyglądał się człowiekowi nazwiskiem Siegert. Porównywał jego twarz z twarzą człowieka nazwiskiem Meiners, którą znał dotychczas tylko z fotografii. Nie można

zaprzeczyć, pewne podobieństwo między nimi było, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. — Przyjmijmy, że zaszła tu pomyłka — rzekł Tantau ostrożnie.

— Przyjmijmy, i wynoś się pan do diabła!

— Zna pan może niejakiego Michela Meinersa? — zapytał Tantau.

— Nudzi mnie pan! — zawołał człowiek, który miał na drzwiach wypisane nazwisko Siegert.

Tantau uznał, że zabrzmiało to szczerze. Człowiek nazwiskiem Siegert nie ociągał się z wypowiedzeniem tych słów ani chwili. Ale to nie było jeszcze dla Tantaua dowodem, że nie miał przed sobą Michela Meinersa. Zapytał go więc, wcale nie zbity z tropu: — A jak się panu podobały Targi Budowlane?

— Co mnie to świństwo obchodzi? — zawołał szorstko Siegert. — Pracuję w miejskim zakładzie wywozu śmieci, oczywiście w administracji.

— Od kiedy?

— Od kilku lat! A teraz niech się pan nareszcie wynosi! Cierpliwość moja już się wyczerpała. Mogę powiedzieć tylko tyle: za to, com wypił, zapłaciłem. Jak już mówiłem: z napiwkami. Kto będzie twierdził coś wręcz przeciwnego, temu skuję mordę.

— Jeszcze jedno, już ostatnie pytanie. Czy ostatnio jechał pan autobusem z Babenburga do Rheine-Bergen?

— Precz! — wrzasnął Siegert oburzony. — Jeżdżę z zasady koleją.

dealny z pana kierowca dla wywiadowcy — rzekł Tantau z uznaniem. — Nie stawia pan pytań, ma pan cierpliwość i jest pan wytrwały. Można na panu polegać.

— Możliwe — odparł Bennicken jak zwykle lakonicznie. Objechali już prawie całe miasto, a Bennicken przejawiał wprost godną podziwu obojętność. Czy Tantau zasięgał gdzieś informacji, czy wstępował na kawę — kierowca

Bennicken czekał. Jeżeli tego od niego wymagano, godzinami.

Tantaua coraz bardziej interesował ten barczysty, nieskory do rozmowy Bennicken. Był jak stalowa kasa pancerna — niewzruszony i niedostępny. Jak kasa, którą można otworzyć tylko siłą albo specjalnym kluczem.

— Niech się pan zatrzyma przy najbliższej budce telefonicznej — rzekł Tantau.

Bennicken nawet nie kiwnął głową. Jechał dalej wzdłuż Kaiserstrasse, aż do rogu Parkallee. Tu zatrzymał swoją taksówkę. — Tam po drugiej stronie — powiedział i wskazał kierunek prawym kciukiem. Ale Tantau tak od razu nie wysiadł. Sięgnął po swoją teczkę i wyciągnął z niej zdjęcie drużyny Szulza. Była to kopia oryginału — przezorny Tantau kazał sporządzić trzy takie kopie.

— Niech się pan temu przyjrzy.

— Znam — powiedział Bennicken, spojrzawszy przelotnie na zdjęcie.

— Od tamtych czasów prawie się pan nie zmienił. Zapewne już wtedy był pan wyraźną indywidualnością. — Tantau uśmiechnął się czarująco, ale nie wywarło to na Bennickenie najmniejszego wrażenia. Tantau jednak nie dał się zbić z tropu i wskazał na jednego z członków drużyny, którego jeszcze dotąd nie identyfikował. — Ale szanownego pana Giseniusa nie można prawie wcale poznać.

— To przecież Frammler — mruknął Bennicken.

— Ach tak! — rzekł Tantau jak gdyby nigdy nic i przymknął oczy, co było u niego oznaką zadowolenia. — A więc to Frammler!

Powiedziawszy to wysiadł, wszedł do budki telefonicznej i zaczął przerzucać kartki książki telefonicznej. Zatrzymał się przy literze F i po kilku sekundach natrafił na nazwisko Frammler. I wcale się przy tym nie uśmiechnął, nawet wtedy kiedy się dowiedział o niezbyt codziennym zawodzie tego pana.

Telefował jakieś siedem minut. Przeprowadził rozmowę z miejskim zakładem wywozu śmieci, z biurem personalnym tej instytucji, z urzędnikiem, który potrafił udzielić informacji o pracownikach.

— Na stację benzynową! — zawołał, sadowiąc się znowu obok Bennickena.

— Na jaką?

— Myślę oczywiście o tej, którą i pan ma na myśli.

— A więc do Schulza — mruknął Bennicken i dał gazu.

Jestem wręcz wzruszona — rzekła Karen Kerze. — Ukochany ojciec i troskliwy przyjaciel w idealnej harmonii. Widok ten raduje moje serce. Karen Kerze schodziła po schodach prowadzących z górnego piętra do holu. Obok niej znajdował się Johannes Bartosch. Z wyzywającą czułością trzymała go pod ramię.

— Tylko tak zawsze! — zawołał radośnie Willy Kerze. — Lubię, kiedy młodzież jest wesoła!

Bartosch skłonił się uprzejmie.

— Wydaje mi się, że pańska córka zamierza panu coś zakomunikować.

— No to jazda! — zawołał Kerze zachęcająco.

Nie patrząc na ojca Karen powiedziała jakby wyłącznie tylko do Martina Hirscha: — Zaręczamy się. — Powiedziała to takim tonem, jakby zamierzała kupić sobie parę nowych bucików.

— Naprawdę? — zapytał Kerze.

— Oczywiście jeżeli się pan na to zgodzi — rzekł Bartosch. Uśmiechnął się jak dyplomata, który ma za chwilę podpisać układ państwowy o epokowym znaczeniu. Dawał przy tym do zrozumienia, że wszystko to jest zasługą dyrektora Kerzego. — Proszę nie sądzić, że moglibyśmy zrobić coś bez pańskiej zgody.

— Czy ja dobrze słyszę?! — Kerze udawał bezgranicznie zdumionego. Spojrzał zwycięsko na Hirscha, który z pozornym spokojem napełniał sobie kieliszek. — Czy ten wasz zamiar jest rzeczywiście stanowczy i dobrze przemyślany?

— Pozwalam sobie pana zapewnić, że tak — odparł Bartosch.

— W takim razie moje serdeczne życzenia! — zawołał Hirsch i wychylił swój kieliszek do dna.

— Czy zdajecie sobie sprawę z wagi waszej decyzji? — Kerze się starał grać rolę zatroskanego ojca. — Trzeba wam wiedzieć, że nie ma w życiu ważniejszej decyzji.

Bartosch przechylił nieco głowę na bok i popatrzył na Karen z prawdziwą czułością posiadacza. Potem spojrział rozbrajająco na Kerzego i powiedział: — To jest dobrze przemyślane i odpowiada nurtującym mnie od dawna pragnieniom. Mam nadzieję, panie dyrektorze, że spotkam się z pańską przychylnością, jeżeli poproszę teraz o rękę pańskiej szanownej córki Karen.

Kerze skinął godnie głową. Już od szeregu dni przygotowywał się do tej sceny, miał ją ciągle przed oczyma duszy. Teraz, kiedy wielka chwila nadeszła, stwierdził uszczęśliwiony, że przebieg tej całej ceremonii odpowiada całkowicie jego wyobrażeniom. Szczęście jego było tym większe, że obecny był przy tym Hirsch, na którym wywarło to silne wrażenie. Kerze pragnął z całego serca, aby ta piękna chwila trwała możliwie jak najdłużej.

— Karen — rzekł więc dostojnie — moja droga córko, wiedz, że niczego bardziej nie pragnę jak twego szczęścia. — Zdawał się być całkowicie pewny swego. — Pytam więc: Czy i ty się zgadzasz?

— Ależ tak — odparła Karen dosyć niecierpliwie. I spojrzała na Hirscha.

— Jeżeli tak jest — rzekł Kerze uroczyście — nie mogę oczywiście stawać wam na drodze do szczęścia. — Wyglądał tak, jakby był gotów rozpostrzeć ramiona. Zawołał patetycznie:

— Pójdźcie w me ramiona, drogie dzieci!

Zgodnie z obowiązującymi w tego rodzaju sytuacjach zasadami Karen objęła go pierwsza. Przytuliła do niego swą gorącą, mocno umalowaną twarz. Równocześnie spoglądała wielkimi, pytającymi oczyma na Martina Hirscha. Ten patrzył na nią smętnie, ale nie powiedział ani słowa.

Przyszła teraz kolej na Bartoscha. I on, znalazłszy się w objęciach dyrektora, spoglądał w stronę Hirscha. Ale nie miał wcale takiego zamiaru, po prostu znajdując się

w tej pozycji nie mógł na Hirscha nie patrzeć. Patrzył w badawcze oczy Hirscha z wyższością, gdyż był przekonany, że zdobył się na najważniejszy krok w życiu, który mu zapewni wielkie sukcesy.

— Jestem bardzo szczęśliwy — powiedział Bartosch.

— My się doskonale rozumiemy! — zawołał Kerze.

Tymczasem Karen Kerze zbliżyła się do Hirscha i stanęła w odległości zaledwie kilku centymetrów od niego. Zdenerwowana powiedziała półgłosem:

— Martin, jedno twoje słowo, a wszystko to pryśnie jak bańka mydlana.

— Każde słowo jest tu zbyt cenne. Ani mi się śni przeciwstawić się twoim lekkomyślnym decyzjom. Jeżeli sama nie wiesz, czego chcesz, dlaczego właśnie ja mam rozstrzygać za ciebie?

— Wystarczy, żebyś powiedział, że mnie kochasz — szepnęła Karen natarczywie — a pójdę za tobą.

— Nie kocham cię — rzekł Martin Hirsch. — Ale jeżeli chcesz, możesz mimo to pójść ze mną. Tylko bez stawiania warunków! Jedno głupstwo nie da się naprawić drugim.

— Ach! — wrzasnęła Karen dziko, nie panując nad sobą. — Jesteś taki sam jak wszyscy! Potraficie tylko gadać i nic więcej! Ostatecznie jest zupełnie obojętne, przy kim idziemy na dno.

To zdumiewające — rzekł Tantau — do jakiego stopnia potrafimy się mylić.

— To prawda — rzekł Schulz. — Prawie wcale się na tym nie znam, ale pan ma z pewnością większe doświadczenie.

— Mam masę doświadczeń, i to przeważnie gorzkich, a niektóre były wręcz śmieszne. Ale niejednokrotnie miałem do czynienia ze świadkami, którzy złożyli przysięgę, a potem składali zeznania absolutnie nie odpowiadające prawdzie.

— Tak — rzekł Schulz, wzdychając ciężko — co wtedy robić? Wierzy się, przypuszcza, jest się przekonany. Ale co jest tą właściwą, jedyną prawdą, niewątpliwą rzeczywistością? Myślałem o tym, ale nigdy nie mogłem znaleźć wytłumaczenia, które by mnie zadowoliło.

Tantau oparł się o słupkę przy wjeździe i przyglądał z wzrastającym podziwem stojącemu przed nim Schulzowi: prosty i prawdopodobnie uczciwy człowiek. Podobał mu się, choć był niebezpiecznie naiwny.

— Gdzie się pan znajdował — zapytał — kiedy się panu wydawało, że ujrzał pan owego Michela Meinersa?

Schulz próbował w kilku słowach naszkicować sytuację. Wskazał, gdzie sam stał oraz gdzie parkował autobus. Odpowiadając na pytania Tantaua, opisał rzeczowo pogodę i stopień widzialności. Tymczasem Bennicken siedział z miną całkowicie obojętną w swojej taksówce.

— Nie stracił pan jeszcze cierpliwości? — zapytał Tantau.

— Skądże znowu! Pan chce nam pomóc, więc ja w miarę swych możliwości pomagam panu.

Tantau położył rękę na ramieniu Schulza. Odciągnąwszy go nieco na bok, tak żeby ani pracownicy stacji benzynowej, ani Bennicken nie mogli nic usłyszeć, zapytał:

— A więc wtedy był pan absolutnie pewien, że zobaczył pan Michela Meinersa?

— Wtedy tak. Ale przyznaję, że mogłem się pomylić.

— A teraz jest pan w stanie powiedzieć, czy była to pomyłka?

— Nie. — Schulz czuł się bezradny. Ten mały, zgarbiony, niepozorny Tantau górował nad nim wyraźnie. Schulz chciał mu pomóc, ale nie wiedział jak.

Tantau wyczuł tę jego gotowość do udzielenia mu pomocy. Schulz był dla niego sympatycznym wyjątkiem. Jego przejęcie się sprawą i gotowość do niesienia pomocy sprawiły, że Tantau po raz pierwszy odsłonił parę swoich najskrytszych myśli.

— O ile mi wiadomo — powiedział — widziano tego Michela Meinersa trzykrotnie. Raz na stacji benzynowej, a więc u pana, panie Schulz. Po raz drugi na Targach Budowlanych. Któż to go tam widział?

— Kerze — dopomógł mu Schulz. — Willy Kerze.
— Prawda! — zawołał Tantau i lekko przymknął oczy. —
Potem widziano tego Meinersa po raz trzeci, w kawiarni „Paris”,
rozpoznał go pan Hirsch. Nie było to zbyt trudne. Ale osobnik ten
nie może być tym samym człowiekiem, którego widziano tu na
stacji benzynowej, ani owym człowiekiem, który odwiedził Targi
Budowlane.
— Dziwne — rzekł Schulz, całkowicie bezradny. — Naprawdę
bardzo dziwne.
— Gdzieś tu musiała zajść pomyłka — powiedział Tantau
zamyślony. — Ale gdzie?

Chętnie bym sobie przejrzał spis pańskiego personelu —
rzekł Tantau uprzejmie. — Da się to zrobić? — Oczywiście
chętnie panu pomogę — zapewnił go kierownik kawiarni
„Paris”, nie ustępując uprzejmością Tantauowi. — Ale
obawiam się, że wgląd w nasze papiery... Nie, to się nie da zrobić.

— Mój panie — powiedział Tantau z łagodnością nabrzmiałą
groźbą — jak panu chyba wiadomo, przeprowadzam tu
poszukiwania z polecenia i w interesie pańskiego dyrektora
Hirscha. To on wraz z panem Giseniusem mnie tutaj wprowadził.
Powstaje więc pytanie: Czy zamierza mnie pan bojkotować?

Kierownik kawiarni oddalił się w błyskawicznym tempie.
Tantau, jak grzeczny prymus, położył ręce na marmurowym blacie
stolika, przy którym siedział.

Ruch w kawiarni był ze względu na wczesną porę wieczorną
niewielki. Przy parkiecie panował zwykły zgiełk i hałas: orkiestra
taneczna towarzysząca nastrojowej piosenkarce, pośrodku kilka
wirujących par, przy jednym ze stolików trzech przedwcześnie
rozochoconych panów, przy nich cierpliwy, przyzwyczajony do
czekania kelner.

Kierownik kawiarni wrócił czym prędzej z teczką w rękę.
Położył ją przed Tantauem i zapytał uprzejmie, czy gość jeszcze
sobie czegoś życzy.

— Proszę o piwo i podwójną jałowcówkę — rzekł Tantau. — A na dodatek osobnika, który się nazywa Ouahnke.

Kierownik zgiął się w ukłonie i szybko się oddalił. Tantau otworzył teczkę. Znalazł to, co się spodziewał znaleźć: spis personelu, zawierający informacje na temat tego, kto jaką funkcję pełni i gdzie mieszka. W spisie uwzględnione było wszystko, co do tego rodzaju przedsiębiorstwa należy: biuro, kuchnia, bar, garderoba, portiernia, obsługa sali, orkiestra, dziewczęta, sprzedawczynie papierosów, piosenkarki, artyści.

— Chciał pan ze mną mówić?

Tantau podniósł głowę. Stał przed nim Ouahnke, artysta estradowy o wzroku bohatera scenicznego i uśmiechu fryzjera. On też był przesadnie uprzejmy. Widocznie, pomyślał sobie Tantau, kierownik mu tak kazał. Ułatwiał to rozpoczęcie rozmowy, która mogła przecież stać się przykra.

— Niech pan usiądzie — rzekł Tantau.

Ouahnke usłuchał posłusznie tego wezwania. Był uosobieniem uprzejmości, ale przy tym z lekką ironią spoglądał na małego, niechlujnego człowieczka, którego kazano mu traktować z wyjątkowym respektem. Wzrok Ouahnkego zdradzał jego myśli: ani światowiec, ani artystyczna dusza, po prostu zwykły zjadacz chleba. Czego taki szuka w nocnym lokalu?

— Ktoś siedzi sam przy stole — rzekł Tantau — wypija dziewięć piw i dziewięć podwójnych jałowcówek. Jak pan sądzi, dlaczego to robi?/

— Zapewne dlatego, żeby się upić.

— A dlaczego chce się upić?

— Ze złości, z rozpacy, z przyzwyczajenia. Przeważnie winne są temu kobiety.

— Zgadza się — rzekł Tantau ubawiony. — Oczywiście może jeszcze wchodzić w rachubę cała masa powodów: kłopoty zawodowe, melancholia, choroba, atak szału. Ale przyczyny nienormalnego zachowania się leżą w siedemdziesięciu, osiemdziesięciu procentach istotnie w obrębie tak zwanych uczuć miłosnych.

— W naszym lokalu dziewięćdziesiąt procent gości upija się z tego powodu.

- Doskonale — powiedział Tantau wesoło. — A więc człowiek ten siedzi tutaj, pije, spogląda przed siebie. I usadowił się nie byle gdzie, lecz w miejscu, z którego może widzieć cały lokal, właśnie przy tym stoliku. Dlaczego?

Ouahнке nie potrafił całkowicie ukryć swego zdziwienia z powodu słów Tantaua, które uważał za czczą gadaninę.

— No cóż, może dlatego, żeby móc obserwować jakąś kobietę.

— Może. A więc obserwuje jakąś kobietę. Wchodzą tu w rachubę dwie kategorie: kobiety będące tu gośćmi i te, które należą do personelu. Tym z personelu chciałbym się przyjrzeć bliżej.

— Rozumiem — rzekł Ouahnке z uśmiechem. — Szuka pan adresów.

— Coś w tym rodzaju.

Tantau zaczął dokładnie przeglądać spis zatrudnionych. Przez szereg minut Ouahnке nie istniał dla nikogo.

— Doliczyłem się ośmiu kobiet — powiedział wreszcie. — A mianowicie: biuralistka, kucharka, garderobiana, dziewczyna sprzedająca papierosy, dziewczyna przy barze, piosenkarka i dwie tancerki. Czy pominąłem kogoś?

Ouahнке udawał, że się zastanawia. Potem powiedział:

— To chyba będą już wszystkie. Chce pan obejrzyć sobie każdą z osobna?

— Co też przyszło panu do głowy? Również i moja żądza użycia ma swoje granice. Wystarczy mi na razie, jeżeli sobie o tych paniach pogawędzimy. Zacznijmy od siły biurowej.

Jak się Tantau spodziewał, kierownik artystyczny okazał się w tej dziedzinie fachowcem nie lada. Informacje jego były wyczerpujące. Po chwili większość personelu kobiecego nie wchodziła już dla Tantaua w rachubę.

— A Marlена Sonnenberg, ta śpiewaczka — rzekł Tantau, mrugając oczyma — należy zapewne do przyjaciół dyrekcji?

— Zgadza się — rzekł Ouahnке zdumiony — prócz twierdzenia, że dama ta jest śpiewaczką. Ale skąd są panu znane te wszystkie szczegóły dotyczące spraw intymnych?

— Umiem czytać — odparł skromnie. Dołączyło się do tego jeszcze i to, że miał świetną pamięć: stwierdził i zapa-

miętał, że prywatny adres Marleny Sonnenberg jest identyczny z adresem Karla Schulza.

— Idziemy dalej — ciągnął Tantau. — Jak się przedstawia sprawa z tą Brygittą?

— Brygittą — zawołał z patosem Ouahnke — jest tu tancerką reprezentującą piękno i, żeby tak rzec, pozostaje pod moją osobistą opieką.

— Aha! — powiedział Tantau.

— Proszę tylko nie wyciągać fałszywych wniosków. Ta młoda dama cieszy się protekcją wysoko postawionej osobistości. Ale proszę, niech mnie pan nie pyta o szczegóły. Moje wysoce rozwinięte poczucie dyskrecji nie pozwoliłoby mi odpowiedzieć.

Tantau zrezygnował na razie z wypróbowania tej dyskrecji — przesunął tę próbę na później. Teraz powiedział tylko:

— Proszę poprosić do mego stołu sprzedawczynię pa pierosów. A potem, po upływie dziesięciu minut, niech tu przyjdzie do mnie kierownik kawiarni.

Ouahnke powiedział: „Tak jest”, i oddalił się bez słowa. Te parę minut spędzonych z Tantauem nauczyło go, wbrew jego własnej woli, respektu dla małego człowieczka.

— Pan sobie życzy papierosy czy cygara? — zapytała dziewczyna.

Tantau przyjrzał się jej dokładnie. Zarejestrował: dobrze zbudowana, nieco szorstka, skóra niezbyt zdrowa, ale w sumie miła, niemal słodka twarzyczka, bez szczególnego wyrazu, w wieku jakichś lat trzydziestu.

— Niech mi pani powie — zapytał Tantau jak gdyby mi mochodem — co panią właściwie łączy z tym pocziwym Siegertem?

— Ach ten! — zawołała dziewczyna gniewnie. — Niech mnie łaskawie zostawi w spokoju! To on pana tu przysłał? Może jest pan jego ojcem?

— Broń mnie Bóg! — powiedział Tantau. — Jak długo go pani zna?

— Od lat! — Powiedziała to tak, jakby się napiła wódki gorzkiej jak żółć. — Łazi wciąż za mną, ale to nie mój typ, teraz już nie! Co to jednak pana obchodzi?

— Jak pani już zapewne wiadomo, reprezentuję tu interesy dyrekcji. Zwróciliśmy uwagę na zachowanie tego pani znajomego.

— Mam go w nosie!

— Nic dziwnego — rzekł Tantau. — Poznałem tego uprzejmego pana, niestety nie tak gruntownie, jak bym chciał. Będzie więc pani musiała opowiedzieć mi o nim coś niecoś, ale, jeżeli mogę prosić, z całą otwartością.

Można ci tylko pozazdrościć — rzekł Martin Hirsch.
— Jesteś ze swego życia zadowolony.

Nie wiesz, co to komplikacje.

— Może jestem dureń — odparł Karl Schulz z uśmiechem zakłopotania na twarzy. — To podobno wiele rzeczy ułatwia.

— Nonsens! — zaprzeczył zdecydowanie Martin Hirsch.

— Głupcami są zwykle ci, którzy się uważają za mądrych.

Martin Hirsch przyszedł do mieszkania Schulza późnym wieczorem i zastał go samego. Siostra jego, Ewa, była w kinie, Marlena Sonnenberg, sublokatorka i tak dalej, w kawiarni „Paris”. Schulz miał więc czas zajmować się sobą: kształcił się!

— Czy twoja siostra nie powinna już dawno być w do mu? — zapytał Hirsch.

Schulz potrząsnął przecząco głową.

— Jest to tak zwany film wartościowy, takie trwają zazwyczaj dłużej.

— Nie jesteś więc zaniepokojony?

— A dlaczego miałbym się niepokoić? Kino jest tuż na rogu. Poza tym moja siostra nie jest już małym dzieckiem.

— I ja tak uważam — przytaknął mu Hirsch bez wahania.

— Powoli robi się z niej prawdziwa kobietka. Nie uważasz?

— Też mi się tak zdaje. — Jak zawsze czuł się dumny, kiedy mówił o swojej ukochanej siostrze. — Zwłaszcza w ostatnich dniach zrobiła się wyjątkowo kobieca.

Hirsch podniósł do ust kieliszek i wychylił powoli jego zawartość.

— Żyłem dość beztrosko — powiedział nagle. — Przyznaję. Miałem w życiu sporo przyjemności.

— Wszystko jest jeszcze przed tobą — zauważył Schulz. — Nie skończyłeś jeszcze czterdziestki.

— Mam trzydzieści osiem. Ale czasami wydaje mi się, że jestem starcem.

— Bzdury! — zawołał Schulz z przekonaniem. — Jesteś mężczyzną w kwiecie wieku, dziewczyna, która cię kiedyś dostanie, będzie mogła uważać się za szczęśliwą.

— Czy to twoje przeświadczenie?

— Ależ oczywiście, człowieku! — zawołał bardzo serdecznie Schulz.

— Cieszę się, że ty mi to mówisz.

— Jak to? Dlaczego? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Posłuchaj — powiedział Hirsch. — W ostatnich czasach wiele myślałem o sobie i o swoim życiu. I nagle zapragnąłem odmienić gruntownie moją egzystencję.

— I co dalej?

— Krótko i węzłowato: chcę się ożenić.

Karl Schulz zrobił wielkie oczy i oczy te stały się teraz jeszcze bardziej niebieskie. Pochylił się do przodu i sprężył się jak do skoku.

— Małżeństwo to rzecz dobra — rzekł głosem zdławionym. — Ale z kim?

— Z twoją siostrą Ewą — powiedział Hirsch po prostu.

Karl Schulz siedział przez długą chwilę jak skamieniały; sprawiał przy tym wrażenie, jakby intensywnie myślał. Wreszcie wciągnął głęboko powietrze i podniósł się na całą swoją wysokość. Martin Hirsch również dźwignął się na nogi. I tak stali naprzeciw siebie; Hirsch zaczął się już powoli szykować do tego, że jego przyjaciel rzuci się na niego.

— Człowieku! — rzekł wreszcie Schulz, z trudem łapiąc oddech. — Ależ się cieszę!

Pokleпали się po plecach, wydali z siebie okrzyki zadowolenia. Ale po chwili Hirsch poczuł, że poczciwy Schulz nieruchomieje.

Schulz spojrział na niego badawczo:

— Czy poczyniłeś już u mojej siostry jakieś kroki wstępne?
— Nigdy bym sobie na to nie pozwolił — oświadczył Hirsch uroczyście. — Ewa nic jeszcze o tym nie wie.
— To oczywiście z twojej strony bardzo przyzwicie, ale i dosyć głupio. Nie uważasz?
— Czyż miałem działać za twoimi plecami?
— Jak powiedziałem, jest to bardzo przyzwicie. I nie mam też nic przeciwko temu.
— To najważniejsze.
— Najważniejsza jest tu moja siostra. Ostatecznie z nią się chcesz żenić.
— I mam na to twoją zgodę?
— Z całego serca, Martin! Oczywiście pod warunkiem, że Ewa cię zechce. Ale właściwie dlaczego nie miałaby cię chcieć?
— Właśnie! — zawołał Hirsch uszczęśliwiony i pewny siebie.
— Ale jedno musisz wiedzieć: na tym skończyłyby się twoje przygody z babami.
— Zrobione! — Hirsch wyciągnął radośnie rękę.
Karl Schulz tak serdecznie ją uściśnął, że Hirscha aż zabolalo.
— Przydałoby się z tej okazji wypić butelkę szampana — rzekł Hirsch.
— Przydałoby się! Ale nie możemy tego zrobić, bo moje mieszkanie nie jest luksusową restauracją.
— W takim razie, mój drogi, proponuję, żebyśmy wyszli Ewie naprzeciw. Jej film powinien się skończyć lada chwila. Potem wszyscy troje pójdziemy do mnie, pogawędzimy sobie i wypijemy naszego szampana. Zgoda?
— Wygląda na to, że ci bardzo spieszo — powiedział Schulz, mrugając porozumiewawczo.
Opuścili mieszkanie, zbiegli ze śmiechem po schodach i znaleźli się na ulicy pogrążonej w nocnym mroku. Schulz był wzruszony. A Hirsch czuł się jak chłopaczek przed otrzymaniem upominku gwiazdkowego.
Wędrowali po nocy pełni cichej, radosnej pogody. Szli w stronę rogu ulicy, na którym mieściło się kino o szumnej

nazwie „Filmpalast”. Reflektory oświetlały jaskrawo asfaltową jezdnię. Ale wejście do kina pogrążone było w łagodnych ciemnościach.

— Czyżby film się już skończył? — powiedział Hirsch z lekkim zdziwieniem.

— Wykluczone! — zawołał Schulz beztrzesko. — Oszczędzają na prądzie, znam przypadkowo właściciela, jest moim klientem. Okropny sknera! Zawsze za wcześnie wyłącza światło.

— Dobrze by było, byś się nie mylił, Schulz.

Wyglądało jednak na to, że się mylił — uświadamiali to sobie coraz wyraźniej, w miarę jak się zbliżali do kina. Wyłączone było również światło stanowiące oświetlenie fasady frontowej i okienek reklamowych. Przy wejściu jakiś grubas zakładał metalową kratę. Z plakatu uśmiechała się piersiasta piękność, w jej już i tak ciemnych oczach było ciemno i mroczno.

Schulz i Hirsch podeszli bliżej. Schulz podszedł do grubasa i zapytał:

— Ostatni seans już się skończył?

— Pół godziny temu.

— Nikogo już w kinie nie ma?

— Sala jest pusta. Czy pan szuka swojej siostry, panie Schulz?

— O szukaniu nie może być mowy — uciął Schulz z godnością. Nie miał ochoty na to, żeby pierwszy lepszy wdzierał się w jego życie prywatne. — Przechodzę tędy zupełnie przypadkowo. Czy pan widział może moją siostrę?

— Ależ oczywiście, nie można przecież nie zauważyć takiej miłej i ładnej panny jak pańska siostra, panie Schulz!

— Dobrze już, dobrze — wykrztusił Schulz z trudem. — Pewnie poszła jeszcze trochę na spacer.

— To zupełnie zrozumiałe. Dzisiejsza wiosenna noc jest jak jedwab, chciałoby się być znowu młodym. Czy jest coś piękniejszego od zakochanej pary?

— Co takiego?! — zawołał Schulz gniewnie.

— Przepraszam, odwołuję. Mogłem się pomylić. Ale młodzieniec, z którym pańska siostra była w kinie, sprawia jak najlepsze wrażenie.

— Chodźmy — rzekł stanowczo Hirsch i ujął przyjaciela pod ramię.

Schulz szedł z nim lekko oszołomiony. Zwiesił głowę i powiedział ponuro:

— Przysięgam ci, Martin, że nic o tym nie wiedziałem.

— To przecież jeszcze o niczym nie świadczy — rzekł Hirsch zduszonym głosem. Musiał odchrząknąć, żeby móc mówić dalej.

— Mógł to być zwykły przypadek.

— Nie sądzę. U Ewy przypadków tego rodzaju nie ma. Wiem to dokładnie.

Powoli Karl Schulz zaczął się wyzwalać z otępienia i w głosie jego pojawiły się zaczepne nutki.

— Przecież nie może mi tego zrobić! Po prostu zniknąć z jakimś typem w ciemnościach. Nie, to niemożliwe!

— Przespacerujemy się jeszcze trochę. Ewa sama się znajdzie.

— To już teraz wyłącznie moja rzecz — powiedział Schulz z naciskiem. — Proszę cię, nie mieszaj się do tego. Najlepiej będzie, jak pójdziesz do domu. Jutro dam ci znać... jeśli będzie trzeba.

Gdy Tantau wszedł, Hirsch siedział przy swoim biurku. Próbował się uśmiechnąć do gościa, choć gość przychodził o tak późnej porze.

— Taki hotel jest przedsiębiorstwem, które mnie zawsze fascynuje — rzekł Tantau.

— Co niestety wychodzi później hotelowi na złe. Na przykład dziś wieczorem próbował pan wywrócić do góry nogami całą kawiarnię „Paris”.

— To prawda.

— Czyżby pan zapomniał, jak brzmi zlecenie, które panu dano?

— Skądże znowu! Nawiasem mówiąc, to pańska wina, że tu jestem. Jestem tutaj, bo mnie pan dziwi. Zaraz to panu wyjaśnię: Kilka lat temu pracowałem we Frankfurcie, oczy-

wiecie zawsze tylko wtedy, kiedy miałem na to ochotę. Pewnego razu wysłano mnie tutaj, do Rheine-Bergen.

— Jeszcze jak to pamiętam! Zakłócił pan wtedy spokój w całym moim hotelu. Był pan wobec moich gości tak natarczywy i natrętny, że wielu z nich wołało czym prędzej spakować manatki.

— Goście ci mieli do wyboru albo kryminał, albo wyjazd, i wybrali lepszą ich zdaniem częścią. Ale to zadanie przyprawiło «u»ie o utratę zarobku. Spółka Hotele Europa poskarżyła się memu chlebodawcy i wyleciałem z pracy.

— Bardzo mi przykro — powiedział Hirsch cicho.

— Wyleciałem — ciągnął pogodnie dalej Tantau — i osiedliłem się w małej wiosce niedaleko Rheine-Bergen. Podoba mi się tam i chciałbym tam dokonać mego żywota, od czasu do czasu uprawiając dawny zawód. Ale nie odbiegajmy od tematu: zostałem wtedy wylany na zбитy pysk wskutek meldunku złożonego na mnie przez dyrektora hotelu „Unter Drei Kronen”. Był to pański meldunek, panie Hirsch, prawda?

— Tak — rzekł Hirsch osowiały. — Ale nie mogłem takich skutków przewidzieć i nie leżały one w moich zamiarach.

— Meldunek ten, który mnie przyprawił o utratę pracy, oczywiście gruntownie przestudiowałem. Muszę przyznać, że obiektywnie rzecz biorąc, był wspianiały. Jasny, doskonale przemyślany, niezwykle przekonująco sformułowany. I właśnie dlatego, drogi panie Hirsch, dziwię się panu.

— Panie Tantau, o ile mi wiadomo, ma pan jedynie i wyłącznie szukać niejakiego Michela Meinersa. Znalazł go już pan?

— Chciał pan powiedzieć — sprostował Tantau — że mam polecenie znaleźć człowieka, którego niektórzy, między innymi i pan, rozpoznali jako Michela Meinersa.

— Czy to nie to samo?

— Niestety nie. — Tantau zaczął palcami lewej ręki masować sobie podbródek.

— Czy dobrze pana zrozumiałem? — zapytał Hirsch zaniepokojony. — Pan mi nie wierzy?

— Nie bezpośrednio panu, ale nie mam zaufania do pańskiego daru obserwacyjnego. I właśnie to odrobinę mnie

niepokoi. Sprecyzuję to wyraźniej. Otóż kiedy przyglądam się bliżej tej wspólnotcie interesów, do której i pan należy, dochodzę do takiego mniej więcej wniosku: Ludzie porządni, poważni, a może tylko zasługujący na to, żeby ich traktować z respektem. Bądź co bądź towarzystwo godne uwagi. I trzech z nich twierdzi, że rozpoznali tego Meinersa. Było ich trzech, prawda?

— Tak.

— Przyjrzyjmy się tej trójce. A więc pan Schulz, jak mi się zdaje, prosty, solidny, poczciwy. Sam przyznaje, że się mógł pomylić. Dalej pan Kerze. Nie znam go jeszcze osobiście, ale wiem o nim niemało. Energiczny człowiek interesu, nie pozbawiony fantazji — jakżeby inaczej mógł robić interesy? — dążący śmiało do celu, i prawdopodobnie niecałkowicie wolny od impulsywności. I wreszcie pan, panie Hirsch. W tej trójce pan jest człowiekiem bez przesądów, sceptycznym, ironicznym i bardzo realistycznie patrzącym na świat. Pytam się więc: dlaczego pan właśnie miałby się mylić? Czyżby pan chciał się mylić? Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

— Nic już w ogóle nie rozumiem! — zawołał Hirsch, jeszcze bardziej zaniepokojony.

— Czy mam mówić jeszcze wyraźniej? No więc chcę powiedzieć, że jeżeli pan się myli, to musi istnieć po temu specjalny powód. Jeszcze wyraźniej: omyłka jest może czystym wyrachowaniem. Zrozumiał mnie pan teraz?

— Jeszcze mniej niż dotychczas — odparł Hirsch.

— Wytlumaczę to panu. Twierdził więc pan w obecności przyjaciół, że widział pan owego Michela Meinersa. Tym rzekomym Meinersem jest niejaki Siegert. Mieszka od kilku lat w Rheine-Bergen, pracuje w miejskim zakładzie wywozu śmieci, w administracji. Ów Siegert przychodził wielokrotnie do kawiarni „Paris”, interesuje się dziewczyną sprzedającą tam papierosy.

— Tego nie wiedziałem!

— Ale twierdził pan, że to był Michel Meiners. Dlaczego?

— Dlatego, że byłem o tym przekonany.

— To brzmi niemal prawdopodobnie. Ale proszę mi wybaczyć, mnie to nie przekonuje. Jestem gotów respektować pański swoisty bieg myśli, pańskie życzenia specjalne. Musi pan je tylko zakomunikować mnie lub swoim przyjaciołom. Może pan wybierać. Ale musi się pan szybko zdecydować. W tej chwili człowiek nazwiskiem Siegert, ten sam, którego pan rozpoznał jako Michela Meinersa, siedzi w restauracji „Die Schwarze Katze”. Może go pan sobie obejrzyć. Może pan również zawiadomić swoich przyjaciół. Wreszcie, jeżeli pan chce, może pan oddać się z całkowitym zaufaniem w moje ręce. Zaraz albo jutro, ale, proszę, nie później. Decyzja należy do pana.

Owego dnia, krótko przed północą, przeprowadzone zostały dwie rozmowy telefoniczne, które miały pozostać bez skutków. Kiedy jednak próbowano je później zrekonstruować, wyszły na jaw jaskrawe sprzeczności. Brzmiały przy tym względnie niewinnie i mniej więcej tak:

Rozmowa pierwsza: Hirsch do Giseniusa, godzina 23.44 do 23.46

Hirsch: Słuchaj no, muszę pomówić z tobą w pilnej sprawie.

Gisenius: Jestem zajęty. Ale o co chodzi?

Hirsch: Człowiek, którego uważałem za Meinersa, siedzi w tej chwili w restauracji „Die Schwarze Katze”. Wygląda jednak na to, że to wcale nie jest Meiners. Człowiek ten ma się nazywać Siegert. Co robić?

Gisenius: Namyślę się. Dziękuję ci za telefon.

Rozmowa druga: Gisenius do Frammlera, godzina 23.47—23.51

Gisenius: Słuchaj no, Frammler. Potrzebuję kogoś bezpartyjnego z wielkim doświadczeniem.

Frammler: To ja!

Gisenius: W restauracji „Die Schwarze Katze” siedzi podobno człowiek, którego Hirsch rozpoznał jako Meinersa. Człowiek ten ma nosić nazwisko Siegert. Miałbyś ochotę przyjrzeć mu się z bliska?

Frammler: Jeszcze jak! „Die Schwartze Katze” to właściwe miejsce do takich spotkań.

Gisenius: Mógłbyś zadzwonić do Bennickena, niech cię zawiezie i niech ci towarzyszy.

Frammler: Zrobi się.

Gisenius: Spróbuj się czegoś dowiedzieć. Może ten człowiek ma powody, żeby występować w roli Meinersa. Może jest przez kogoś nasłany?

Frammler: Wyniucham to z pomocą boską i Bennickena.

Fajerant! — zawołał Frammler do właściciela knajpy „Die Schwarze Katze”. — Zarządzam godzinę policyjną. — Tyś chyba zwariował — powiedział ciepło knajpiarz. — U mnie godzina policyjna zaczyna się zawsze o pierwszej.

— Jest teraz pierwsza — zawołał Frammler, uśmiechając się. Dotknął zegarka, który wskazywał czternaście minut po północy. — Poślij swoich parszywych gości do diabła. Z wyjątkiem jednego, którego ci wskażę.

— Człowieku! — zawołał knajpiarz — przyjaźń przyjaźnią, ale mnie przyda się każdy fenig, który da się z tej budy wyciągnąć.

— Mimo godziny policyjnej? — Powiedział to Bennicken, który stał za Frammlerem niby potężny kocioł parowy.

— Nie będziesz stratny — oświadczył Frammler. — Pokryję ewentualne straty. Więcej: zorganizuję tu prywatne przyjęcie. Wyjdiesz na tym dobrze pod każdym względem.

— To co innego — rzekł knajpiarz. Potem zakasał rękawy i zrobił taką minę, jakby chciał splunąć w ręce.

— Jeszcze chwileczkę — powstrzymał go Frammler. — Naprzód przyjrzymy się nieco bliżej twoim gościom.

Frammler i Bennicken lustrowali oczyma obecnych, którzy nie zwracali na nich najmniejszej uwagi. W zadymionej budzie siedziało nie więcej niż dziesięć osób. Siedzieli przy stołach, po których było wyraźnie widać, że są szorowane w dosyć długich odstępach czasu. Drewniane ściany były upstrzone plakatami reklamującymi piwo, emblematami związkowymi i zdjęciami grupowymi. Zbierały się tu periodycznie takie stowarzyszenia, jak „Weseli Hodowcy” i „Przyjaciele Natury”.

— Ten tam — rzekł Bennicken i uniósł w górę swój kanciasty podbródek, jakby zamierzał coś wywąchać.

— Człowieku — powiedział zdumiony Frammler — w tym naprawdę widzę pewne podobieństwo do Meinersa. Ale to przecież w żadnym razie nie może być Meiners!

— Zobaczymy — odparł Bennicken.

Frammler zwrócił się do knajpiarza:

— Słuchaj no, mój drogi gospodarzu! Teraz powyrzucasz swoich gości. Zostanie tylko ten jeden, przy którego stole siądziemy. Dla tego nie ma godziny policyjnej. Zrozumiano?

— Mój drogi — usiłował przestrzec ostrożnie Frammlera knajpiarz — mam nadzieję, że nie wpakujesz mnie w tarapaty i nie urządzisz tu żadnego grubszego skandalu.

— Odpieprz się — powiedział na to Frammler poufale.

— A może mam ci się na świeżo przypomnieć? Wyzwanie to było niepotrzebne, bo knajpiarz znał Frammlera dosyć dobrze. W ciężkich czasach robili razem takie rzeczy, że określenia „szmugiel” i „na lewo” byłyby w tym wypadku stosunkowo jeszcze niewinne. Przedsięwzięcie biorstwo przewozowe, uruchomione swego czasu przez Frammlera, a zajmujące się „transportem nieboszczyków”, dostarczało właścicielowi knajpy „Die Schwarze Katze” alkooholu z alianckich zapasów wojennych. A to zobowiązywało. Był to rodzaj koleżeństwa powojennego, zrodzony w walce o chleb powszedni.

Frammler w asyście Bennickena ruszył w kierunku stołu stojącego w kącie. Sunął przez lokal tanecznym krokiem, jakby to była sala tańca. Bennicken natomiast krążył ociężale, jakby się przedzierał przez zasypany śnieżne. Obaj

usiedli obok człowieka, który niewątpliwie miał w sobie coś z Meinersa, na przykład ową melancholijną zadumę, która oczywiście mogła być wywołana potężnymi porcjami piwa i jałowcówki.

— Pan pozwoli, prawda? — zapytał Frammler po zajęciu przy stole miejsca. Siedzący przy stole nawet nie spojrzął na nich, zdawały się go interesować jedynie niezupełnie opróżnione szklanki i kieliszki.

— Co on mówi? — zapytał Bennicken.

— Że nas serdecznie wita — odparł Frammler z uśmiechem. — Cieszy się niezmiernie, że nas poznał. Pali się po prostu do tego, aby pogawędzić sobie z nami.

— No to niech ma tę przyjemność! — powiedział Bennicken protekcjonalnie.

Człowiek o wodnistych oczach skierował na przybyszów zdziwiony, pytający i niechętny wzrok. Potem powiedział z trudem, bo język mu się już plątał:

— Czego panowie właściwie ode mnie chcą?

Frammler zmierzył go badawczym spojrzeniem, pochylił się nieco do przodu i powiedział:

— Pan pozwoli, nazywam się Frammler.

— No i co? — Człowiek przy stole dopił do końca swoje piwo.

— A to jest pan Bennicken — powiedział następnie Frammler niezwykle uprzejmym tonem.

— Tak jest! — ryknął Bennicken groźnie. — To ja!

— Mam was w dupie! — rzekł tamten pogardliwie i wychylił do dna kolejny kieliszek jałowcówki. Potem zawołał ostro: — Służba! Jeszcze raz to samo!

Frammler rozparł się na krześle, oczy mu zabłyśły. Poprawił się na swym miejscu również Bennicken, i to z taką energią, że krzesło pod nim jęknęło. Potem obaj spojrzeli na siebie. Ułamek sekundy, i już wiedzieli, że się ze sobą zgadzają — jak za dawnych czasów. Potem Frammler obrzucił szybkim spojrzeniem lokal: knajpiarz wykonał już prawie całkowicie jego polecenie. Niemal wszyscy goście już zniknęli, dwaj ostatni kierowali się właśnie do wyjścia. W zadymionym pomieszczeniu śmierdziało alkoholem.

— Przynies naszemu przyjacielowi to, czego żąda — powiedział Frammler do knajpiarza. — Mała wódka na pewno mu nie zaszkodzi.

— Niech panowie usiądą przy innym stole — powiedział ostro gość przy stoliku. Był mocno pod gazem i nie potrafił już orientować się w szybko i gruntownie zmieniającej się sytuacji. — Przecież teraz w tej budzie jest dosyć miejsca.

— Miły kompan z tego naszego przyjaciela — rzekł Frammler ubawiony.

— Już niedługo — dorzucił Bennicken.

Knajpiarz przyniósł piwo i podwójną jałowcówkę i postawił jedno i drugie na stole. Ponadto postawił dwa grube, masywne kufle oraz dortmundzkie eksportowe w butelkach, ulubiony napój Frammlera, kiedy trzeba było podjąć działania specjalnego typu. Knajpiarz uważał widocznie, że właśnie coś takiego nastąpi.

— Jak cię znam — rzekł Frammler do knajpiarza — zechcesz teraz obliczyć utarg dzienny. Najlepiej będzie, jeżeli pójdziesz do pomieszczenia obok, tam ci nikt nie będzie przeszkadzał.

— W porządku. — Knajpiarz odwrócił się na pięcie i znikł. Z przyjemnością zostawił tę trójkę samą. Ostatnie spojrzenie upewniło go, że zostawia za sobą obrazek niemal idylliczny: trzech pijacy, jeden już zupełnie wstawiony, siedzą przy stole w całkowitej harmonii. Był gotów przysiąc, że takie właśnie odniósł wrażenie, gdyby zaszła potrzeba. Zanim znikł w sąsiednim pomieszczeniu, zgasił jeszcze kilka lamp.

— Panowie chcą czegoś ode mnie? — zapytał osaczony nieznamy.

— Że też pan wszystko potrafi zauważyć! — zawołał Frammler, potężnie ubawiony. — Czy nazwisko pana brzmi Merker?

Nieznamyemu zaczęło powoli świtać w głowie, że powinien mieć się na baczności.

— Do stu diabłów! — warknął. — Czego wy właściwie ode mnie chcecie?

— Przede wszystkim — rzekł Frammler, z rozkoszą splatając ręce na brzuchu — chcieliśmy wiedzieć, czy nazywa

się pan Merker, czy też inaczej. Bo prawdopodobnie uszło pańskiej uwagi, żeśmy się przedstawili, jak to jest w zwyczaju między ludźmi cywilizowanymi. W takich wypadkach wytworny pan zwykł wymieniać swoje nazwisko, prawda? A może zależy panu na tym, aby nie uchodzić za wytwornego? Głęboko by to nas dotknęło.

— Tak jest — powiedział Bennicken. — Bardzo głęboko.

— Dobrze już, dobrze — powiedział gość przy stole. — Nazywam się Siegert. A teraz zostawcie mnie w spokoju i wynoście się do stu diabłów!

— Słyszałeś, Bennicken? — zapytał Frammler zachwycony. — Ten pocziwina nazywa się Siegert.

Bennicken kiwnął potakująco głową. Na jego twarzy, przypominającej dziadka do orzechów, pojawił się wyraz gniewnego zadowolenia.

Frammler przechylił głowę nieco na bok i zapytał:

— Meiners się pan przypadkiem nie nazywa, co?

— Niech się pan wypcha z tymi swoimi idiotyzmami! — zawołał człowiek, który się podawał za Siegerta. — Nie mam ochoty, by mnie stale fałszywie nazywano.

— Ale podawał się pan za Meinersa, prawda?

— Bzdury! Zupelne bzdury! — Siegert próbował wstać. — Możecie mnie panowie...

— Panie! — krzyknął Frammler ostrzegawczo. — Niech pan łaskawie zapanuje nad sobą, jesteśmy ludźmi wielce delikatnymi.

Siegertowi udało się podnieść tylko na kilka centymetrów, gdyż zdzielił go zaraz potężnie w głowę siedzący obok Bennicken. Bennicken prawie wcale się nie poruszał i twarz miał zupełnie bez wyrazu, jedynie jego ramiona pracowały jak dźwignie maszyny, z dużą siłą, szybko, rytmicznie, precyzyjnie. Jedna z jego rąk grzmotnęła Siegerta w kark, druga walnęła go prosto w twarz, w ciągu trzech sekund Siegert otrzymał siedem uderzeń. Głowa jego tańczyła jak kula między dwoma biegunami automatu muzycznego.

— Na pomoc! — wybełkotał Siegert, kiedy Bennicken skończył. Był blady, w oczach jego czaił się strach. Próbował raz jeszcze krzyknąć „na pomoc!”, ale Bennicken zno-

wu go uderzył. Tym razem cios był wymierzony z góry na dół, prosto w głowę. Rozległ się suchy trzask, jakby ktoś strzelił z pistoletu.

Siegert zwałił się na stół z bezgranicznie zdumionym spojrzeniem, głowa jego przewróciła kufel i znieruchomiła w kałuży piwa.

— Drobiazg — rzekł Bennicken. Potem ostrożnie sięgnął poprzez głowę Siegerta po kieliszek z jałowcówką i opróżnił go do dna.

— Jesteś w doskonałej formie — powiedział z uznaniem Frammler. — Jak za dawnych czasów.

— Czego się człowiek nauczy, to mu zostaje na wieki!

— odparł Bennicken zadowolony, ocierając z warg pozostałości jałowcówki. Oczy mu błyszcząły.

— Chciałbym cię prosić o jedno — rzekł Frammler ciepło. — Nie demoluj mu gęby. Mówię to nie tylko przez po czucie piękna, ale i jako stary praktyk. Zbyt widoczne skutki bijatyki wywołują zawsze głupie pytania. Zajrzyj mu do kieszeni, czy ma jakieś papiery, portfel czy coś w tym rodzaju.

Bennicken zanurzył rękę we włosach swej ofiary, wyciągnął biedaczysku głowę z kałuży piwa i posadził ciężko oddychającego przez usta Siegerta normalnie na krześle. Potem sięgnął do lewej kieszeni marynarki, gdzie się zwykle nosi portfel, i zaczął wyciągać całą jej zawartość.

— To na razie wystarczy — powiedział Frammler. Wziął portfel, otworzył go zwinnymi palcami i zaczął wyciągać papiery: dowód osobisty, ostatni odcinek potwierdzający odbiór pensji, dwa listy prywatne, paczuszkę zawierającą bilety wizytowe. Przejrzał wszystko dokładnie.

— Nie ma to jak niemiecka dokładność i gruntowność — powiedział Frammler wniebowzięty. — Ale tak to u nas jest, w tym nas tak łatwo nikt nie prześcignie: dzie więciu na dziesięciu spośród tych, którzy się dostaną w moje ręce, nosi wszystkie dowody przy sobie. Są za wsze przygotowani na spotkanie z policją albo na następny nalot. To mamy we krwi! Wierzaj mi, że posiadanie u nas, przy takim narodzie, zakładu pogrzebowego to prawdziwa frajda.

, — Co dalej? — zapytał Bennicken, niezbyt ciekaw tych wywodów. — Nazywa się Siegert?

Frammler kiwnął potakująco głową. — Siegert. Zatrudniony w miejskim zakładzie wywozu śmieci, w administracji parku samochodowego. Przebywa tu w Rheine-Ber-gen od lat trzech, dawniej mieszkał gdzieś tam w tej strefie. W każdym razie nie ma nic wspólnego z żadnym Meinersem, nie zgadza się ani miejsce urodzenia, ani pochodzenie, ani zawód. Jest tylko pewne podobieństwo, jeżeli chodzi o tę baranią twarz.

— Głupio wyszło, co?

— Niczego innego nie oczekiwałem — odparł Frammler. — Należało raczej stosować się do moich rad i wskazówek.

— Zostawimy go tutaj?

— Chwileczkę, wolnego. Najważniejsze musimy jeszcze z niego wydobyć. A mianowicie: dlaczego podawał się za Meinersa?

— A podawał się?

— Hm... — Frammler nagle się zamyślił. — W każdym razie dopuścił do tego, że go wzięto za Meinersa. Dlaczego? Dla zabawy? Chyba nie. Musiał to robić w jakimś określonym celu. Ale w jakim?

— Może wie to Hirsch?

— Bennicken! — zawołał uroczyście Frammler. — Przyjrzyj się dokładniej tej mordzie! Czy mógłbyś wziąć tego człowieka za Meinersa?

— Nigdy — oświadczył Bennicken z przekonaniem, nie odrywając wzroku od jaskrawo oświetlonej twarzy. — Tego na pewno nie wziąłbym za Meinersa.

— Ale Hirsch go wziął — stwierdził Frammler z niewzruszonym spokojem. — A może raczej należałoby powiedzieć: Hirsch chciał go wziąć za Meinersa.

— Nie wierzę w to, człowieku — powiedział Bennicken tępo.

— Wypoleruj go — powiedział Frammler zdecydowanie, wskazując na Siegerta. I zrobił rękami taki ruch, jakby zamierzał włożyć rękawiczki. — Jazda, Bennicken, pospiesz się! Nie będziemy tu przecież nocowali!

Bennicken sięgnął po kufel Frammlera i energicznie chlusnął piwem Siegertowi w twarz. Tamten drgnął, otrząsnął się i prawie równocześnie otworzył oczy. Upłynęło parę sekund, zanim się zorientował, gdzie jest, kto się przy nim znajduje i co się w ogóle z nim dzieje.

Frammler zachowywał się cierpliwie, nawet pobłażliwie. Bennicken, jak zawsze, próbował dostosować się do zachowania swego przyjaciela i kolegi. Kiedy Frammler uśmiechnął się łagodnie, na twarzy Bennickena pojawił się uśmiech od ucha do ucha. Odczekali jeszcze kilkanaście sekund, aby fachowo „obrobiony” przez nich Siegert mógł przyjść do siebie.

— Dlaczego — zapytał Frammler łagodnie — podawałeś się za Meinersa?

— Ależ nie robiłem tego — odparł Siegert z trudem — naprawdę. Nie wiem, czego ode mnie chcecie. — I szybko, niemal gorączkowo dodał: — Nie znam żadnego Meinersa! Przy najlepszych chęciach nie wiem, kto to taki.

— Nie tylko że jest nieuprzejmy — stwierdził ze smutkiem Frammler — ale jeszcze próbuje nas okłamywać. Bardzo mi się to nie podoba. Tobie chyba też nie, mój drogi Bennicken, prawda?

Bennicken podniósł się z krzesła. Błyskawicznie wałnął Siegerta jedną ręką w pierś, potem palcami niby macki dźwigu uniósł go w górę, dał mu kolanem potężnego kopniaka w okolicę żołądka i puścił go. Siegert upadł na swoje krzesło, czkając i z trudem chwytając powietrze.

— Co mam powiedzieć? — wykrztusił wreszcie. — Czego ode mnie chcecie?

— Nas dwóch — zapytał groźnie Frammler, pochyliwszy się nieco do przodu — oczywiście nie znasz, co?

— Nie — odparł Siegert całkowicie załamany.

— A takich nazwisk jak Schulz, Gisenius i Kerze nigdy nie słyszałeś, prawda?

— Nie słyszałem.

— Ale nazwisko Hirsch jest ci znane, co? A może mam pomóc twojej pamięci? Hirsch, dyrektor hotelu „Unter Drei Kronen” i kawiarni „Paris”! Znany ci jest czy nie znany?

— Znany.

— No więc — rzekł Frammler bardzo zadowolony. Uśmiechnąwszy się do Bennickena, wyłowił z kieszeni śnieżnobiałą chustkę do nosa i ruchem niemal ceremonialnym osuszył sobie ręce.

Bennicken usiadł, rozstawiając szeroko nogi. Spoglądał na Siegerta niemal z miłością i wreszcie powiedział do niego:

— No więc! Dlaczego nie od razu w ten sposób?

— Służba! — zawołał Frammler wyraźnie w dobrym humorze.

— Po jednym dla nas wszystkich, ale czegoś dobrego! Zasużyliśmy sobie na to!

Momentalnie przybiegł z sąsiedniego pomieszczenia właściciel knajpy.

— Cóż to? — zapytał, zwracając się do Siegerta — upadł pan czy co?

— Tak jest — odparł dworsko Frammler. — Nasz przyjaciel wlał w siebie nieco za wiele, potknął się i upadł, zanim zdążyliśmy go pochwycić. Czy nie tak było, Siegert?

— Tak było, prawda? — rzekł Bennicken z naciskiem.

— Tak — powiedział Siegert pokornie. — Tak było.

— Zdarza się — podchwycił skwapliwie gospodarz, rad, że tylko na tym się skończyło.

Tej samej nocy przyszedł Tantauowi do głowy pewien pomysł. Był to jeden z tych pomysłów, które określał jako rezultat świadomie uproszczonego myślenia. Od dziesiątków lat próbował raz po raz — prawie zawsze z powodzeniem — zmusić się do takiego toku myśli: jakie tu może być najprostsze, najbardziej lapidarne rozwiązanie, takie, na które wpadłby każdy przeciętny prostaczek?

Tantau dobrze wiedział, od samego początku, jakie może tu być rozwiązanie. Ale ociążał się z praktycznym wypróbowaniem tego najprostszego ze wszystkich rozwiązań. Z różnych powodów. Przede wszystkim zabawne są drogi okrężne, zabawa w chowaniec dawała mu wiele radości.

Poza tym ilekroć wpadała mu w ręce jakaś nowa sprawa, ogarniała go zawsze dziwna ochota, żeby wyzwolić nagie uczucia ludzkie i wciągnąć je do akcji. Trzecia przyczyna była następująca: starzał się, za wiele przebywał tylko ze sobą, jedną z jego ostatnich przyjemności było stwarzanie sobie i rozwiązywanie małych, przeważnie niewinnych łamigłówek. Zrobił się skromny. Nadzieja, że natrafi na skomplikowaną zbrodnię wielkiego formatu, stawała się coraz bardziej znikoma, ale całkowicie jeszcze jej nie porzucił.

Właśnie szukał tego, co nazywał rozwiązaniem „małego Moryca”. Korciło go poza tym, żeby raz jeszcze spróbować, czy mała tabliczka mnożenia ciągle jeszcze się sprawdza. W tym celu rozłożył na stole mapę Rheine--Bergen.

— A więc człowiek ten przybywa od strony Babenburga — powiedział do siebie, wodząc przy tym palcem po mapie. — Celem jego jest Rheine-Bergen. Na stacji benzynowej siedział w autobusie. Między stacją benzynową a stacją końcową nie ma przystanku. Toteż, jak powiedział Benni-cken junior, wysiadł na stacji końcowej, tu na targowisku bydłęcym, z walizą i teczką w rękę. Nic nie wskazuje na to, żeby tam wsiadł do taksówki. Przypuszczać więc można, że w pobliżu targowiska zamieszkał w jakimś hotelu. Sądząc po jego wyglądzie, wchodziłby tu w grę jedynie pokój drugo- lub trzeciorzędny.

Tantau wziął teraz do ręki przewodnik po mieście, do którego dołączony był plan miasta. Przejrzał spis hoteli, wynotował sobie pięć spośród tych, które znajdowały się w niezbyt wielkiej odległości od targowiska, i zapisał numery ich telefonów. Uczyniwszy to, wyciągnął z kieszeni spodni portmonetkę, wyjął z niej dziesięć dziesięciofenigów-wek — należność za pięć rozmów telefonicznych — i podniósł się, postępując trochę przy tym — ostatecznie był już człowiekiem starym i miał prawo czuć się o tej późnej porze zmęczony. Owinął cienką szyję szalem, wsadził na swą siwą głowę zdeptany kapelusz i ostrożnie wymknął się po schodach na dwór. Nie zastanawiając się długo, ruszył w stronę telefonu publicznego, znajdującego się w pobliżu

jego mieszkania — był to w pewnej mierze „jego” telefon, bo często z niego korzystał.

Wrzucił dwie monety, podniósł słuchawkę, nakręcił pierwszy z numerów figurujących na jego kartce. Potem postawił lapidarne pytanie: — Czy mieszka u was niejaki pan Meiners, Michel Meiners?

Odpowiedź była równie lapidarna i brzmiała: „Nie”.

To samo powtórzyło się z drugim hotelem. Przy telefonie następnym — dzwonił tym razem do hotelu „Am Alten Po-stamt” — odpowiedź była nie mniej lapidarna, tylko zamiast „nie” odpowiedziano „tak”.

RAPORT NR 3

STENOGRAM PRZESŁUCHANIA POLICYJNEGO LUDWIGA FRAMMLERA, przeprowadzonego przez inspektora policji kryminalnej Sanda dnia 1 maja 1961 r. w związku z wypadkami w dniu 20 kwietnia 1945 r.

Na wezwanie zjawia się Ludwig Frammler. Zaznajomiony z przedmiotem przesłuchania i wezwany do mówienia prawdy podaje, co następuje:

Personalia:

Nazywam się Ludwig Frammler, mam czterdzieści cztery lata, z zawodu jestem właścicielem zakładu pogrzebowego.

Odnosnie do sprawy:

Czego pan właściwie chce ode mnie? Nie mam w ogóle nic do zeznania. Mam swoje przedsiębiorstwo i rozbudowuję je. Reszta mnie nie interesuje. I co to znaczy: wtedy, szesnaście lat temu? Czy pan może przypomnieć sobie dokładnie, co pan robił we środę ubiegłego tygodnia? Nie może pan! Czegóż więc pan chce ode mnie? Czy uważa mnie pan za cudowne dziecko?

I cóż to dziś znaczy wojna? Jak dawno temu to było! Niech pan zapyta naszą szanowną młodzież. Ci niechlujni

młodzieńcy nie pamiętają nic, zupełnie nic. O nic się nie pytają, nic nie chcą wiedzieć, mają w nosie doświadczenia dorosłych. Przydałaby się im własna wojna, żeby dostali trochę po łbie.

Czym więc mógłbym panu służyć? Prawdą? Nie, drogi panie, niech mnie pan nie doprowadza do śmiechu! Tym, co uważam za prawdę? To mogłoby już być bliższe prawdy. O tym można by nawet pogadać. Ale ostrzegam: nie jestem ani jasnowidzem, ani historykiem, a obydwa te zawody mają ze sobą wiele wspólnego. Tylko że historycy to w gruncie rzeczy ludzie interesu. Mają swoje teorie, chcą je sprzedawać, obojętne, czy nieświadomionym studentom, czy myślącym czytelnikom gazet. Jasnowidze zaś muszą być poetami, jeśli chcą się utrzymać na powierzchni. Jeżeli o mnie chodzi, jestem grabarzem. Czy może istnieć uczciwszy zawód?

Twierdzi pan, że ma pan cierpliwość. To dobrze, będzie panu potrzebna. Bo choć nie wiem, jak pan sobie wyobraża to, co się wówczas działo, to jedno mogę przypuszczać: pan zapewne sądzi, że już wtedy Europa Środkowa wyglądała jak Dzikie Zachód. Nic podobnego! Nie było również żadnego noża w plecy, żadnej tragedii Zachodu i tym podobnego zawracania gitary. Była tylko i wyłącznie wojna — twarda, surowa, uczciwa. To wszystko. Co należy przez to rozumieć, zaraz to dokładnie wytłumaczę.

Trzeba panu wiedzieć jedno: że jestem człowiekiem na wskroś przepojonym humanizmem. I mam jeden z owych zawodów, bez których żaden śmiertelnik obejść się nie może: jestem grabarzem. Zawód drugi to akuszeria, pomaganie przy rodzeniu. Obie te czynności są nieodzowne na początku i końcu każdego życia, obie związane są z krwią, ropą i smrodem. Nie mówię tego po to, żeby się żalić lub przechwalać, chcę tylko przez to powiedzieć: moi państwo, takie jest życie. Człowiek musi się do tego przyzwyczaić, musi się z tym pogodzić. Przyjdzie na świat: kał i uryna. Śmierć: rozkład, smród, gnicie.

Tego uniknąć nie można. Stałem się więc nie tylko tym, czym jestem, to znaczy humanistą, ale również realistą,

który widzi sprawy takimi, jakie są naprawdę, a nie takimi,' jakie by je pragnął widzieć czytelnik dodatków niedzielnych. Życie codzienne to zazwyczaj pole walki, a czegoś dopiero spodziewać się można po wojnie?

Istnieją rzecz oczywista prawdziwi mężczyźni, wedle trafnego określenia, urodzeni dla wojny, mający doskonale rozwinięte możliwości realizacji tego celu. Byliśmy wtedy takimi mężczyznami. W ciągu miesięcy przeżywaliśmy wspólnie ostatnie drgawki wojny. Jeden znał drugiego na wylot, od głowy aż do dupy. Proszę zwrócić uwagę, że użyłem określenia dupa! Mogłem powiedzieć pośladki, jak mówią ludzie wykształceni. Ale nie — mówię dupa! Niech to będzie dla pana dowodem, że staram się przedstawiać wydarzenia ówczesne jak najbardziej zgodnie z rzeczywistością.

A więc wieczorem dziewiętnastego kwietnia wkroczyliśmy do Steinwiesen. W zagrodzie, w której rozmieściliśmy się, panowała atmosfera przytulna, sielska, piec był jeszcze, że tak powiem, ciepły i pachniało świeżym chlebem. Znowu obudziła się w nas chęć do życia. Weszliśmy jak do ziemi obiecanej. Hirsch jak zawsze o trzy kroki nas wyprzedził, wyczuwał takie rzeczy jakimś szóstym zmysłem.

Z początku gospodarz próbował nam robić pewne trudności, ale tylko z początku. Chciał okroić należące się nam kwatery i nawet usiłował odmówić nam gościny, której mieliśmy prawo się spodziewać. No cóż, przemówiliśmy mu do rozumu, zwłaszcza Bennicken, który zawsze w takich sytuacjach umiał znaleźć właściwe słowa.

Dlaczego o tym wspominam? Bo to bardzo znamienne dla tego wszystkiego, co się później stało. Była więc cała kupa rozpierających się, piekących chleb cywilów, ludzi, którzy nic nie robili, tylko czekali na koniec wojny. A w odległości niewielu kilometrów znajdowali się Rosjanie, którzy, jak wiadomo, podpalali wszystko, co się do palenia nadawało, i gwałcili wszystkie kobiety. I pomiędzy jednymi a drugimi my, zmęczeni, wyczerpani, zgłodniaли żołnierze. Nic dziwnego więc, że czym prędzej powróciliśmy do stanu gotowości bojowej.

Wszystko odbyło się wedle starych, wypróbowanych reguł: cywile precz, żołnierze do środka! Nie udawajmy tu teraz, nie grajmy komedii, wojna to nie dziecinna zabawa. Najlepszym żołnierzem jest zawsze ten, kto zostaje przy życiu! To się u szarego szeregowego nazywa taktyka! Cywile niewiele się na tym znają. A już nic a nic nie kapuje się chłop, co to siedzi na swych workach ze zbożem jak na desce klozetowej — taki każde zakłócenie spokoju uważa za zamach na swoje życie prywatne. Niewiele inaczej wygląda sprawa z babami. Są one dla żołnierza wręcz prowokacją. Ale to im właśnie sprawia rozkosz.

Niech mi pan nie próbuje teraz mówić o moralności, cnoście i innych takich rzeczach. Takie sentymentalne brednie mogą w czasach pokojowych temperować żądną przygód młodzież, ale na wojnie mężczyzna uczy się wreszcie znowu zachowywać zgodnie z naturą. Krótko mówiąc: za pomocą perswazji znaleźliśmy z cywilami wspólny język i wreszcie wypiliśmy razem po kieliszku. Potem jeszcze jeden i jeden, i tak dalej.

W ten sposób ugaszone zostało, że tak powiem, pierwsze pragnienie. W najprzyjemniejszy sposób napełniliśmy nasze puste brzuchy. Niech pan teraz zgadnie, na co nas potem wzięła chęćka. Zgadł pan, widzę to po pana twarzy. Nie było to zresztą takie trudne. Ale jak to w praktyce zrobić? To był wówczas problem. Cóż bowiem takich siedmiu mężczyzn jak my miało w praktyce do dyspozycji? Zniszczoną babę wiejską, piegowatego podlotka, no i jedną uciekinierkę oraz jej córkę.

Te dwie ostatnie były wielce obiecujące. Mówię to z należąca temu miejscu szczerością. Matka musiała mieć około trzydziestki, niemiecki typ, zażywna, leniwa w ruchach, trochę ospała i gruntownie znająca się na rzeczy. Córka — to była wykapana matka, tylko to było jeszcze dopiero pół porcji, pod każdym względem. Ale podobno niemało jest takich, którym się to właśnie podoba. Cóż jednak w tego rodzaju sytuacji oznacza słowo „podoobać się”? Funkcjonować — dopiero to byłoby tu właściwe słowo.

Między matką a córką rozsiadł się nasz Hirsch. A gdzie siedział nasz Hirsch, tam robiło się przyjemnie, zwłaszcza

damulkom bez przesądów. Po drugiej butelce Hirsch otoczył ramieniem jedną z tych dwu istot wchodzących w rachubę. Obok siedział Meiners i zachwyconym wzrokiem oseska wpatrywał się w niecałkowicie jeszcze rozwiniętą córkę.

Pytanie: *Pan nie cenił sobie zbytnio Meinersa?*

Odpowiedź: *Zadaniem moim jest przecież ocenianie go nie jako człowieka, lecz jako żołnierza. Jako człowiek był dla mnie nie zapisaną kartą. Jako żołnierza znałem go dopiero kilka tygodni.*

Pytanie: *A więc pańskim zdaniem nie był dobrym żołnierzem?*

Odpowiedź: *Wiem tylko, że nie był żołnierzem doświadczonym, wskutek tego zawsze stanowił pewien balast.*

Pytanie: *Może pan przytoczyć dowody na jego brak doświadczenia?*

Odpowiedź: *Właśnie byłem w trakcie dawania takiego przykładu. Przychodzimy więc na kwaterę, znajdujemy dwie kobiety, podniecamy je — takie baby reagują szybko. Jak zawsze przoduje Hirsch. Ale i niejeden spośród nas nie był od tego. Pan wie: na bezrybiu i rak ryba. A co robi ten początkujący szczeniak Meiners? Odnosi się do małej jak do bóstwa! Odnosi się do niej jak do księżniczki z bajki. Małą to roznamiętniło. Zaszły jej wargi, w oczach pojawiły się kokieteryjne błyski, kiedy wychodziła na stronę, maszerowało za nią co najmniej trzech spośród nas. A ten Meiners się do niej modlił i nie miał odwagi jej dotknąć.*

Rzecz jasna, żeśmy sobie z niego pokpiwali. Przy każdym kawale Meiners robił się czerwony jak pomidor. W pewnej chwili oczy zaszły mu z wściekłości łzami, ale oczywiście nie odważył się otworzyć pyska. A co najbardziej niepojęte, to to, że w pewnej chwili postanowił sobie nie pić więcej z nami. Był jak jagnię na zielonej łące. Patrzył temu dziecku w oczy — nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Przynajmniej z początku.

Reasumując: tak zanadto przyjemny ten wieczór nie był. Ale można było wytrzymać — wody było pod dostatkiem. I wiem tylko tyle: obudzilem się dokładnie tam, gdzie zasnął. Tylko że nie siedziałem przy stole, ale leżałem pod nim.

Pytanie: *Utrzymuje pan więc, że nie wiadomo panu, co zaszło w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego kwietnia?*

Odpowiedź: *Niestety czuję się zmuszony tak właśnie twierdzić. Czynię to ze szczerym ubolewaniem. Sam rad bym wiedzieć, jak to się dalej rozwinęło, kto z kim i tak dalej. Ale byłem włany, cudownie włany! Uważam, że nic lepszego nie mogło mi się przydarzyć. Bo jeżeli mam być zupełnie szczerzy, matka była mi za stara, córka za młoda, w tej dziedzinie jestem zwolennikiem solidnej przeciętnej. Tak, pokrywka musi pasować do garnka — wszystko inne to miłosna romantyka. Już wtedy zawsze mówiłem: żadnych eksperymentów!*

Następnego ranka byliśmy mocno zmęczeni i zapewne głupiośmy wyglądali. I choć jestem humanistą — co za wiele, to niezdrowo! Miałem wrażenie, że mi do czaszki wmontowano motor. Ale jedno chciałbym tu wyraźnie stwierdzić: piliśmy teraz nie dlatego, że ten pacykarz na stolcu kanclerza Rzeszy obchodził urodziny, przysięgam na Boga. Wydawało nam się po prostu, że zapasy się kończą, że nadchodzą suche dni — chleję więc, bracie, dopóki masz co! A może mieliśmy te szlachetne trunki zostawić Sowiecom? No więc! To było wręcz patriotyzmem chlać, ile tylko wlezie.

Jak już powiedziałem, rano po takiej nocy odpowiednio też wyglądał. Dlatego tak mi piekielnie trudno przypomnieć sobie szczegóły. Jedno tylko sobie jeszcze przypominam: kiedym wciągał buty, było już jasno. I jeszcze jedno pozostało mi w pamięci: działający na nerwy krzyk tej uciekinierki, matki. Znalazła swoją córkę w stodole — sprawa była jednoznaczna.

Pytanie: *Czy może pan podać szczegóły?*

Odpowiedź: *Mogę! Ostatecznie trupy były zawsze moją specjalnością. Ale to, co jest dziś moim zawodem, było wówczas rodzajem hobby. Skoro pan pyta o szczegóły, powiem tylko tyle: gwałtowne uderzenie karku o jakiś przedmiot z metalu. Albo raczej, aby sytuację opisać bardziej po ludowemu: ktoś musiał dziewczynę rzucić na siano — po co, tego chyba bliżej tłumaczyć nie muszę. Suknia jej też zresztą odpowiednio wyglądała. A teraz szczegół z zakresu gospodarki wiejskiej. Pod sianem, na które dziewczynę rzucono, znajdowała się brona. Wie pan, co to brona? Przyrząd w rodzaju indyjskich desek z gwoździami, tylko o wiele potężniejszy — do orania i równania ziemi.*

Pytanie: *Reakcja matki więc odpowiadała tragicznemu wydarzeniu? A może miał pan wrażenie, że była to tylko komedia?*

Odpowiedź: *Proszę mi oszczędzić subtelności tego rodzaju. Są baby, które wrzeszczą zawsze — i dlatego, że się je kładzie na łopatki, i dlatego, że się tego nie robi. Nic nie można na to poradzić.*

W każdym razie Schulz kazał mi wtedy zaopiekować się tą damą. Tak też uczyniłem. I to z zastosowaniem psychologii! Było to konieczne. Bo zamiast bić się w piersi i czuć się współwinną — ostatecznie mogła lepiej uważać — ta osoba próbowała szukać winnych. Baby są już takie! I to babsko ułatwiło sobie oczywiście zadanie. Zaczęła od razu podejrzewać nas. Tak, nas!

To mnie oczywiście doprowadziło do szewskiej pasji. Ale dałem jej szkołę. Argumenty moje były druzgocące. „Niech pani wymieni nazwisko — powiedziałem — jedno nazwisko, a nie zaraz wszystkie siedem!” Potem kazałem jej trochę pomyśleć. Bo przecież w tej zagrodzie były jeszcze inne istoty rodzaju męskiego; w okolicy roilo się po prostu od mężczyzn. Poza tym mógł to być nieszczęśliwy wypadek. Ta mała dała się przecież spoić niezgorzej. Nie była nawet w stanie porządnie zaśpiewać: Deutschland, Deutschland iiber alles!

Miałem więc pełne ręce roboty. Na tym przeszedł mi cały ranek. Ale to była ostatecznie ważna sprawa. Kiedy

z tym skończyłem, dołączyłem się, z opóźnieniem, do naszej drużyny. Chłopaki mieli już zadanie bojowe. Schulz skierował mnie na skraj lasu. Ale nie zdążyłem tam jeszcze dotrzeć, jak się zaczęło. Rosjanie zaczęli nas prażyć ciężkimi pociskami. Cały skraj lasu był jednym piekielnym kotłem.

Nie pozostało nam więc nic innego, jak wycofać się w porządku.

Pytanie: *A Meiners?*

Odpowiedź: *Zaskoczyli go Rosjanie. Nic się nie dało zrobić.*

Pytanie: *Czy wiadomo panu, kto się szczególnie interesował owego wieczora tą dziewczyną, którą znaleziono potem rankiem nieżywą? Nazywała się Bogdański, prawda?*

Odpowiedź: *Czy nie powiedziałem już tego? A więc przede wszystkim Hirsch, ale tego interesowało wszystko, co miało długie włosy. No i oczywiście Meiners, patrzył na nią, jakby ją chciał zjeść. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi. W pewnym stopniu leciałem na nią i ja, tak jak my wszyscy. Tak już jest na wojnie. Im śmierć jest bliżej, tym bardziej się człowiekowi chce tych rzeczy. Tylko że w danej chwili ważniejszy był dla mnie i miłszy alkohol. Zrozumiano?*

Jakkolwiek byśmy na tę sprawę patrzyli, proszę nie zapominać, że była wojna. Wojna, śmierć, płodzenie to rodzeństwo, ale nie tylko one. Jest jeszcze cała masa innych obrzydliwości, które należą do tej rodziny. Niech pan nie czyni odpowiedzialnymi za to wszystkich starych frontowców. Niech pan zwróci się do Boga, do Hitlera albo do kogoś innego, jeżeli ten jest nieuchwytny.

Gdyby nasz Führer był jeszcze wśród nas, z pewnością byłby gdzieś znowu członkiem honorowym, ofiarą wojny, przepędzonym z ojczystej ziemi albo pośrednio prześladowanym przez reżym nazistowski. I miałby do swej dyspozycji tuziny adwokatów. A w ogóle to my też mamy adwokata, i to jeszcze jakiego!

Powiem panu na zakończenie tylko jedno: jeżeli ma pan olej w głowie, to zamknij pan czym prędzej tę swoją teczkę z aktami. A może chce pan, aby podejrzewano pana o to, że podkopuje pan powstającą z popiołów wolę zbrojnej obrony? Kto chce być w Niemczech szanowany, ten musi szanować wszystko, co ma związek z wojskiem! Co przez to należy rozumieć, określają zawsze ci, którzy mają najsilniejszy głos. Tylko ostatnie świntuchy nie stają wówczas natychmiast na baczność.

Spis treści

Tom pierwszy

1. Co umarło, winno być pogrzebane 7
2. Żyć i pozwolić żyć innym . . . 37
3. Bądź przyjacielowi przyjacielem . . 83
4. Skutki mecenatu kulturalnego . . .113
5. Zające jeszcze nie drżą, ale
polowanie już się zaczyna 181
6. Pamięć umiera wielokrotnie 201